

Wszystko
dla pań

VERA COWIE

CIENIE MIŁOŚCI

Przekład
Izabela Bukojemska



1

Liz! Nareszcie! Witaj po powrocie z buszu.

Elizabeth Everett zmusiła się do uśmiechu. Z radością wróciła na stare śmiecie, do głównej siedziby agencji reklamowej Brittan, Barnes i Beckwith na Vauxhall Bridge Road w Londynie, tyle że od chwili, gdy weszła przez wahadłowe szklane drzwi, było to już trzecie identyczne powitanie.

Pracowała tu do siedmiu lat i, jak to z dumą mawia Brittan, była ich „najlepszym twórcą tekstów reklamowych”.

Uściskała i pocałowała Bertiego Fry'a, swojego najstarszego przyjaciela w agencji i pierwszego mentora. Kiedyś ten mężczyzna o posturze niedźwiedzia wziął pod swoje skrzydła nieopierzone pisklątko, potem jednak Liz nie tylko zaczęła latać o własnych siłach, lecz znacznie przewyższyła mistrza.

- Bertie! Jak się cieszę, że już wróciłam. Co słychać?

- Trochę się zmieniło od czasu, gdy wyjechałaś pławić się w słońcu.

- Pławić się w słońcu! Dobrze sobie! - Liz wspomniała ostatnie pół roku ciężkiej pracy. Pomagała w rozruchu australijskiej filii agencji. - A więc, co nowego?

- Nadchodzą Jankesi. To znaczy już nadeszli. Mamy świeżutkiego dyrektora kreatywnego, Thomasa Careya.

- A co z Billem Sampsonem?

- Nie mógł wytrzymać z Melanie.

- A kto może?

- Nasz nowy szef. Podobno sprowadzono go zza Atlantyku tylko w tym celu.

Liz spojrzała na przyjaciela z powątpiewaniem. Widziała już całą procesję kierowników grup, a nawet dyrektorów kreatywnych. Przychodzili, a potem szybko znikali.

- Czyżby tym razem wujek Fred Barnes znalazł cudotwórcę?

- Jakiś łowca głów podkupił Careya Hendricksa-Mahona z Nowego Jorku.

Liz uniosła brwi.

- Przecież nikt przy zdrowych zmysłach z własnej woli by stamtąd nie odszedł.

- Ale on odszedł. Podobno wujek Fred obiecał mu u nas swobodę działania. Pewnie ma nadzieję, że najlepsi klienci Hendricksa-Mahona przepłyną Atlantyk razem z Careyem. W grę wchodzi sto milionów dolarów. Niezła suma, co? W każdym razie Careyowi przypadają teraz najlepsze zlecenia. Dostał *L'amoureuse*. Francuzi mają ogromny budżet na reklamę. Szykują się do wylansowania nowej linii kosmetyków, współgrającej z perfumami, dla których wymyśliłaś jakże chwytliwe hasło. Carey chyba czekał na twój powrót, żeby zacząć pracę nad kampanią. Ale jeśli się mylę i nie poprosi cię o współpracę, to znaczy, że nie jest aż tak cudowny, jak wydaje się naszym szefom.

Pochlebstwo sprawiło Liz przyjemność, ale nie potraktowała go zbyt poważnie. W ciągu siedmiu lat pracy widziała już wielu cudownych dyrektorów, którzy nie spełnili oczekiwań.

Jesteś świetna i tyle mówił dalej Bertie. - To ciebie szef poprosił, żebyś mu towarzyszyła przy tworzeniu nowej filii. John Brittan po prostu wysoko cię ceni, a nasz nowy idol już o tym wie. Do Careya na pewno też dotarły wieści o twoich najnowszych sukcesach. Poza tym niewątpliwie przejrzał to, co wcześniej napisałaś. Bertie szturchnął Liz w ramię. - Zresztą nie on jeden cieszy się z twojego powrotu. Bez ciebie to nie ta sama agencja. Więc jak? Lunch u Luigiiego? Opowiesz mi wszystko o naszej nowej australijskiej gałęzi...

- Która już zaczęła rodzić owoce - pochwaliła się Liz, wsiadając do windy.

Weszła do swojego pokoju, z przyjemnością wciągnęła powietrze. Cieszyła się, że w jej królestwie nic się nie zmieniło. Duży gabinet był czysty i schludny. Taki, jak ona sama. Biurko stało przy ścianie. Deska rysunkowa znajdowała się przy wielkim oknie. Ktoś włożył kwiaty do kubka na ołówki, wyżej powieszono transparent:

Witaj nasza panno Everett

Takimi słowami: „To nasza panna Everett”, John Brittan przedstawił ją obiecującym klientom.

Liz, wzruszona tym miłym gestem, uśmiechnęła się i powąchała kwiaty. Westchnęła na widok piętrzącej się na biurku sterty korespondencji, raportów i akt. Mimo wszystko cieszył ją powrót do agencji i fakt, że nadal, mimo półrocznej nieobecności, odgrywała tu ważną rolę. Zabrała się do przeglądania poczty. Pierwszą rzeczą, na którą się natknęła pośród tekstów do akceptacji i propozycji nowych ogłoszeń, było zamówienie na reklamę butów firmy Mila Frey. Pewnie przysłał je jeden z naszych wiernych amerykańskich przyjaciół, odgadła. Na pięknym, lśniącym papierze sfotografowano kilka par zachwycająco zgrabnych kobiecych nóg od kolan do stóp. Ich ustawienie świadczyło o tym, że do właścicielek dotarły już poufne wiadomości o nowych, wytwornych butach. Każda para eleganckich nóg obuta była w najnowsze modele ręcznie robionych, kusząco pięknych pantofli Mila Frey. Cudowne wzory, wysokie szpilki - słowem ostatni krzyk mody. Hasło reklamowe brzmiało: „Niech twoje pantofle mówią za ciebie!”.

Ładne, przyznała Liz. Naprawdę bardzo ładne. Tak samo ładnie przedstawiała się lista magazynów mody, w których będzie się ukazywała kampania reklamowa: pisma o niebotycznych cenach, drukowane na papierze najlepszej jakości. Ale jeżeli ktoś może sobie pozwolić na tak drogie buty, wydatek na najlepsze magazyny to doprawdy pestka.

Liz właśnie przeglądała listę zleceń z ostatniego kwartału, gdy otworzyły się drzwi i usłyszała zadane śpiewnym głosem pytanie:

- No i jak ci się podobali przystojni, opaleni Australijczycy?

Do pokoju wpłynęła młoda kobieta, która była ucieleśnieniem ekskluzywnych perfum *L'amoureuse*, przedmiotu największej i najważniejszej kampanii reklamowej w dziejach BB&B. Przysiadła na brzegu biurka Liz, podciągając już i tak króciutką spódniczkę, żeby jeszcze bardziej odślonić nogi, niewątpliwie warte wystawiania na widok publiczny.

- Witaj, Melanie - powiedziała obojętnie Liz. Wyczuwała, że dziewczyna swoim zwyczajem zaraz sprawi jej przykrość.

- Och, wcale nie jesteś opalona. Tylko nie mów, że nie spędzałaś każdej wolnej chwili na plaży, prażąc się w bikini na słońcu.

Liz zawsze unikała paradowania w kostiumie kąpielowym, o czym Melanie doskonale wiedziała, więc kpiny podwójnie ją zabolaly. Przez pół roku zdążyła już zapomnieć, jak podła potrafi być Melanie.

Melanie i Liz poznały się kilka lat temu i natychmiast się znienawidziły. Liz, po dyplomie z anglistyki uzyskanym w Cambridge z pierwszą

lokata, została przyjęta jako czwarta lokatorka w Recliffe Gardens. Melanie, wówczas początkująca aktorka, już tam mieszkała. Przy pierwszym spotkaniu obrzuciła taksującym spojrzeniem Liz i natychmiast stwierdziła, że korzystnie wygląda przy wysokiej przysadzistej dziewczynie, jaką była Liz.

Filigranowa Melanie miała metr sześćdziesiąt, ważyła czterdzieści siedem kilo i umiejętnie eksponowała apetyczne krągłości. Była też porażająco piękna, a jej twarz należała do tych, które kamera wprost kocha: idealny kształt serca, cera koloru rozkwitającej kamelii, chmura jedwabistych, granatowoczarnych włosów. Oczy, ocienione falbaną gęstych rzęs, przywodziły na myśl gwiazdy i szafiry, usta pobudzały mężczyzn do najdzikszych fantazji. To, że poza tą olśniewającą fasadą nie było nic - ani serca, ani rozumu - wielu mężczyznom nie sprawiało najmniejszej różnicy. Całymi tabunami uganiali się za Melanie.

Za każdym razem, gdy te piękne oczy spoczęły na Liz, malowała się w nich pogarda. Liz miała wyraziste, regularne rysy. Nigdy jednak się nie malowała, więc ani nie podkreślała zalet, ani nie tuszowała wad. Jej mysiobrazowe włosy, choć miękkie i delikatne, były proste jak druty. Gdy raz zrobiła trwałą, wyglądała jak narzeczona Frankensteina, więc potem cały czas plotła sobie francuski warkocz. Miała nieskazitelną cerę, miły uśmiech, białe równe zęby i wielkie, wymowne oczy, niestety nieokreślonego szaroburego koloru. Na domiar złego jej twarz często przybierała wyraz melancholii. Ludzie czasami pytali Liz, dlaczego jest smutna, podczas gdy była tylko zamyślona.

Melanie od samego początku wykorzystywała swoją przewagę nad Liz, aby wyeksponować własne atuty. Bezwstydnie podkreślała kontakt między nimi dwiema. W towarzystwie nowo poznanych mężczyzn mówiła na przykład: „A to Liz, podpora naszego domowego kwartetu. Bardzo silna i zdolna dziewczyna”. W obecności innych osób często mawiała: „Liz, kochana, czy mogłabyś mi zdjąć to czy tamto z górnej półki? Niestety nie jestem taka wysoka”, albo: „Liz, moja droga, proszę otwórz ten słoik. Moje drobne ręce są za słabe. Nie to, co twoje”. Mężczyźni oczywiście natychmiast służyli pomocą, ale zło już było wyrządzone. Najbardziej ucierpiała na tym samoocena Liz. Poczucie własnej wartości spadło do zera, gdy kiedyś przez przypadek dziewczyna usłyszała jak ktoś nazwał ją „ukochanym słońciem Melanie”. Na szczęście w pracy odnosiła sukcesy. Gdy została przyjęta do BB&B, natychmiast poszukała sobie mieszkania i kwartet Melanie przekształcił się w trio.

Niestety sześć lat później ich drogi znów się zeszły. Melanie została wybrana jako „dziewczyna kampanii *L'amoureuse*”. Nie udało jej się

zrobić kariery na scenie - nie miała talentu, jak uważała Liz. Jednak podczas któregoś z kolei nieudanego przesłuchania zwrócił na nią uwagę łowca modelek i wkrótce stała się znana. Nie brała udziału w pokazach, bo przy niewielkim wzroście i zbyt kobiecej figurze nie prezentowała się dobrze na wybiegach. Natomiast jej podobiznę publikowały te same magazyny, w których zamieszczano zdjęcia Lindy Evangelisty, Cindy Crawford czy Claudii Schiffer. Melanie była uosobieniem kobiecości. Jej największy kapitał stanowiła twarz - na fotografiach wyglądała jak marzenie. Jednak czas nie stoi w miejscu. Melanie miała już dwadzieścia siedem lat, choć przyznawała się do dwudziestu trzech. Więc gdy zaproponowano jej lukratywny kontrakt na „twarz” międzynarodowej kampanii reklamowej znanej francuskiej firmy, która chciała wylan-
sować nowe perfumy, bez wahania przyjęła ofertę.

Przy okazji wróciła do dawnej manieri wykorzystywania Liz jako tła kontrastowego. Bardzo ją irytowało, że Liz nie tylko pracuje w agencji, która zajmuje się kampanią reklamową perfum, ale także napisała scenariusz i teksty. Bez skrupułów robiła wszystko, by tylko zepchnąć dawną współlokatorkę na dalszy plan. Niestety ze zdumieniem odkryła, że „nasza panna Eeveret” jest w agencji gwiazdą numer jeden. Wszyscy bardzo cenili Liz. Piękne modelki można mieć na pięćdziesiąt, a tak utalentowanej autorki tekstów jak Liz trzeba szukać ze świecą, powiedział jej otwarcie John Brittan. Zagroził Melanie poważnymi konsekwencjami, jeżeli będzie się źle odnosiła do Liz. Mając na względzie swój własny interes, Melanie grzecznie obiecała zachowywać się, jak należy. Przez pierwszych kilka miesięcy dotrzymywała słowa. Jak się okazało, tylko po to, by zyskać na czasie.

Gdy kampania reklamowa odniosła ogromny sukces i sprzedaż perfum wzrosła o sześćdziesiąt procent, Melanie zaczęła wykorzystywać fakt, że jest niezbędną. A gdy John Brittan wyjechał do Australii, zmieniła życie swojego służbowego opiekuna w piekło. Jednocześnie zdołała oczarować szefa francuskiej firmy. Wobec tego mogła już sobie bezkarnie pozwalać na ataki złego humoru i groźby, że odejdzie.

Gdy Liz wróciła z Australii, pozycja Melanie była już niepodważalna. Dziewczyna wiedziała, że może mówić i robić, co tylko chce, a już zwłaszcza wobec kobiety, która w żaden sposób jej nie zaszkodzi, nawet jako niezwykle utalentowana autorka tekstów. Oprócz tego Melanie musiała się zemścić na Liz za przychylność Johna Brittana. Melanie nie cierpiała usuwać się na drugi plan, tym bardziej że, jej zdaniem, to nie hasło reklamowe Liz tak podniosło sprzedaż perfum, lecz wspaniała twarz modelki.

Liz nawet będąc w Australii, słyszała dosyć plotek, by nie dziwić się, że Melanie osiągnęła tak wysoką pozycję. Mimo to jednak nie mogła uwierzyć, gdy Bertie powiedział, że nowego dyrektora kreatywnego sprowadzono z Ameryki specjalnie po to, by utrzymał w ryzach wrażliwą supergwiazdę. Na pewno nie miał łatwego zadania. Chociaż z drugiej strony mężczyźni wpatrzeni w Melanie nie przejmowali się zbyt jej humorkami. Faceci lecą do Melanie jak ćmy do światła, ja przyciągam ich najwyżej tak, jak kapusta motyla bielinka, pomyślała Liz i uśmiechnęła się ironicznie.

Miała poczucie humoru. Potrafiła śmiać się z siebie. Ostrego języka używała do obrony własnej i jako oręża przeciw męskiej nieczułości na jej wdzięki. Gdy słyszała zdania w rodzaju: „Liz Everett? Och, świetna dziewczucha”, mogła albo płakać, albo właśnie uruchamiać poczucie humoru i ostry języczek. Twarz miała „surową”, nie upiękzoną żadnymi kosmetykami, ale wewnątrz bardzo bogate, a w piersi biło gorące serce. Niestety nikt - w każdym razie żaden mężczyzna - nie interesował się nią na tyle, by odkryć, co znajduje się pod tak nieciekawą powłoką. A Liz, niepewna siebie jako kobieta, nigdy nie zdobyła się na odwagę, by to ukazać.

- Co słyszać u najmądrzejszej osoby w agencji? - zakpiła Melanie.

- Nie mam pojęcia. Może ty mi powiesz?

- Och, daj spokój! Dobrze wiesz, że mnie nazywają Pięknością, a ciebie... Melanie na widok miny Liz natychmiast zmieniła kierunek ataku. W ogóle cię nie rozumiem - powiedziała przekornie. - Nie mogłabyś czegoś ze sobą zrobić?

- Na przykład? Wytatuować sobie ozdobę na czole?

Melanie, całkowicie pozbawiona poczucia humoru, nawet się nie uśmiechnęła. Dla niej wygląd zewnętrzny był najważniejszą sprawą w życiu, a brak urody wydawał się jej gorszą katastrofą niż pożar, powódź czy trzęsienie ziemi albo wojna. Tymczasem Liz prawie chyba w ogóle nie przywiązywała wagi do swojego wyglądu. Oczywiście, była lubiana, nawet popularna, ale uważano ją tylko za dobrego kumpla. Nie brakowało jej towarzystwa. Na przykład codziennie z grupką kolegów chodziła na lunch do Learn Luigiego. Noga Melanie nigdy by w takim miejscu nie powstała. Panna Howard jadła tylko w takich restauracjach, jak Daphne's albo Alistair Little czy San Lorenzo, i zawsze na cudzy koszt. U Luigiego Liz płaciła sama za siebie, jak zresztą wszyscy z paczki.

- Och! - Melanie wrzuciła ramionami z pogardą. Chyba rzeczywiście uroda i mądrość to za dużo jak na jedną osobę. Sama nigdy nie odczuwałam potrzeby posiadania wybitnego umysłu. Po co to osobie,

która wygląda tak, jak ja. A poza tym mężczyźni nie przepadają za zbyt inteligentnymi kobietami.

- Tylko ci, których takie inteligentne kobiety onieśmialają.

- To akurat nie dotyczy Toma Careya. Och, jaki on mądry! - Głos Melanie nabral słodyczy. A na dodatek niesamowicie przystojny... bardzo amerykański. Zabiera mnie dziś na lunch, tak jak zawsze, odkąd zaczęła tu pracować.

- Masz szczęście - odpowiedziała grzecznie Liz.

- Zamierzam rozkochać go w sobie na śmierć.

- Przecież go stracisz, jeżeli umrze.

Melanie patrzyła na nią tępo.

- Nieważne - powiedziała Liz. - Biegnij zrobić się na bóstwo, żebyś była jeszcze piękniejsza.

Melanie ulżyła sobie trzaskając drzwiami. O, tak pomyślała Liz, zabierając się z powrotem do przeglądania korespondencji jedno spojrzenie na tę twarz i już mężczyźni wyciągają ręce prosto w nadstawione kajdanki. Jeden rzut oka na mnie i koniec. Drugi raz nie spojrzą. Wzruszyła ramionami i zaśmiała się. Po tylu doświadczeniach potrafiła się już śmiać ze swoich sercowych niepowodzeń. No dobrze - filozofowała - skoro przeżyłaś dwadzieścia osiem lat z tą zwyczajną twarzą i wielkim ciałem, to przeżyjesz kolejne czterdzieści parę, więc dziękuj losowi za to, co ci dał i pamiętaj, że nie możesz mieć wszystkiego. I tak dostałaś dużo...

Stała na czele zespołu autorów tekstów. Była też na tyle utalentowana, by robić projekty graficzne do swoich haseł i scenariuszy. John Brittan dawał jej wielką swobodę, bo przez lata pracy w agencji zapisała na swoje konto wiele sukcesów. Nie chciał jej stracić, a nie wątpił, że łowcy głów bez przerwy kuszą ją atrakcyjnymi ofertami. Liz była mistrzynią w tym, co robiła. Zresztą sama doskonale zdawała sobie z tego sprawę. Klęski ponosiła jedynie w stosunkach z mężczyznami. Nigdy z nikim się nie związała. Uznała, że jej kłopot polega na tym, iż nie jest dość dobra dla mężczyzn, którzy jej odpowiadają, i o wiele za dobra dla tych, którzy być może by jej pragnęli. Chociaż wątpiła, że tacy istnieją.

Gdyby miała matkę, która dawałaby jej rady i niosła pociechę, może wszystko potoczyłoby się inaczej. Ale matka umarła na atak serca, gdy Liz miała jedenaście lat. Dojrzewającą dziewczynką opiekowała się starsza siostra ojca, bezdzietna wdowa, jak wszyscy Everettowie hojnie obdarzona przez naturę solidną posturą i wspaniałym intelektem. Ciotka zawsze kierowała się zdrowym rozsądkiem, więc niezbyt dobrze rozumiała lęki

trapiące nastolatki. Sama bardzo pewna siebie, nie potrafiła zauważyć problemów z niską samooceną u Liz.

Gdy Liz miała siedemnaście lat, dwaj bracia zabrali ją, zresztą dość niechętnie, na bal w Klubie Rugby. W sukience, którą ciotka uważała za odpowiednią dla niewinnej dziewczyny, a wyjątkowo fatalną pod względem dopasowania do figury, Liz mogłaby wygrać pierwszą nagrodę w konkursie na najbardziej elegancką gospodynię wiejską. A nie miała nikogo, kto by doradził jej lub pocieszył. Ciotka zbyłaby jej wielkie rozczarowanie krótkim komentarzem: „Elizabeth, musisz przewyciężyć tę chorobliwą nieśmiałość. Nie możesz stać jak ostatnia gapa pod ścianą i czerwienić się, gdy tylko ktoś na ciebie spojrzy. Rozmawiaj z ludźmi, zawieraj znajomości. Ja zawsze tak postępowałam i dobrze na tym wyszłam”.

Słabiutki kiełek poczucia własnej wartości, nawet bez ostrych uwag ciotki nie miał szans, by się rozrosnąć w mocną roślinę. Liz stała pod ścianą przy drugiej okazji, przy trzeciej... Gdy na piątym balu nadal nikt jej nie prosił do tańca, uznała, że dzieje się coś złego, i że to zło tkwi w niej samej. Bo inaczej skąd by się brała absolutna obojętność chłopców? Z jakiego innego powodu ich wzrok prześlizguje się po niej tak, jakby jej nie było, i zakotwicza się na grupkach ładnych dziewcząt, stojących trochę dalej? Doszła do wniosku, że jest za wysoka, za wielka. Dziś kobieta musi być szczupła i delikatna, mówiła sobie. Dobrze wiedziała, co magazyny mody uznają za ideał urody. Przy modelkach wydawała się dwa razy wyższa i cięższa. Kobiety nie powinny być zbudowane jak wojownicy, buntowała się w duchu. Jednak ojciec Liz wyglądał jak klon Arnolda Schwarzeneggera, a ona wszystkie geny wzięła od ojca, nie od drobniutkiej matki. W wieku, kiedy poczucie własnej wartości jest delikatną roślinką, wymagającą troski, fakt, że płeć przeciwna odrzucała Liz, podziałął jak łopata bezlitośnie wykopująca dopiero co powstające korzenie, a cierpkie uwagi ciotki dokonały reszty.

Nienawiść do siebie sięgnęła szczytu, gdy na studiach Liz usłyszała nietaktowną uwagę chłopaka ze starszego roku. Spytał: „Dlaczego czujesz się jak siostra przełożona z dawnych lat?” I zaraz sam sobie odpowiedział, całkowicie pograżając biedną dziewczynę: „Ale loczki by ci nie pasowały. Nie jesteś zbyt kobieca”. Słowa kolegi śmiertelnie ją zraniły.

W Somerville ani razu nie została zaproszona na Majowy Bal. Nawet żaden chłopak z młodszego roku nie poprosił, żeby się z nim umówiła na randkę. Tak więc zamknęła się w sobie i skoncentrowała wyłącznie na studiach. W niedługim czasie znano ją już tylko jako kujona,

choć zawsze gotowego do pomocy w nauce i do wygłaszania inteligentnych monologów podczas zajęć. Skończyła studia z pierwszą lokatą. Pod względem naukowym, Liz była bardzo popularna wśród przedstawicieli płci przeciwnej. Wydeptali ścieżkę do jej drzwi, bo potrzebowali korepetycji. W innym przypadku droga pozostałaby nie tknięta.

Liz wiele godzin spędziła na rozmyślaniach, co takiego przyciąga mężczyzn do kobiet. Cokolwiek to było, ona tego nie miała. Widocznie zapomniano zaprosić na jej chrzest wróżkę obdarowującą tym darem.

Nie znaczy to, że w ogóle była pozbawiona męskiego towarzystwa. Faceci śmiali się z celnych ripost Liz, bezwstydnie wykorzystywali jej dobrą wolę i miękkie serce, traktowali ją jak kumpla, ale nigdy nie proponowali randki. Jeśli chodzi o walkę płci, pozostawała na uboczu. Pod koniec studiów w ostatniej chwili zaproszono ją do restauracji, by zastąpiła dziewczynę, która złapała od młodszego brata odrę. Oczywiście wszystkie inne studentki miały już plany, tylko Liz była wolna. Ona zawsze była wolna. Wtedy po raz pierwszy w życiu wyszła z kimś wieczorem, więc jej wrodzona nieśmiałość i brak pewności siebie dały o sobie znać ze zdwojoną siłą, choć partner nie był kimś nadzwyczajnym. Po jakimś czasie poszła do toalety. Gdy wracała, usłyszała, że zastanawiają się, w jaki sposób się jej pozbyć i resztę wieczoru spędzić we troje: dwaj mężczyźni i ładna dziewczyna, której obaj pożądali. To ostatecznie zrujnowało poczucie własnej wartości Liz.

Gdy wreszcie się pozbierała po tym upokorzeniu, wycofała się z pola walki. Ale tylko pod pewnym względem. Postanowiła działać na swój sposób. W pracy była naprawdę dobra. Mężczyźni wyraźnie dali Liz do zrozumienia, że nie potrzebują jej jako kobiety. No to zdecydowała, że poradzi sobie inaczej.

W wieku dwudziestu ośmiu lat miłość według Liz była czymś, co zdarza się wyłącznie innym ludziom. W agencji przeważali mężczyźni, a wielu z nich ciągle wypływało Statkiem Miłości. Liz zdobywała się jedynie na to, by z nabrzeża machać im na pożegnanie. W zadumie mówiła sobie, że przecież stać ją na bilet, bo zarabia bardzo dobrze. Ale musiałaby wykupić pojedynczą kabinę. I chyba była na to skazana już do końca życia.

Jej rozmyślania przerwał dzwonek telefonu.

- Liz Everett - rzuciła szorstko.

- Dzień dobry. Witam po powrocie. Nazywam się Tom Carey. Mam nadzorować pani kampanie. Czy moglibyśmy się spotkać jeszcze dziś? Chciałbym panią poznać, ale przede wszystkim porozmawiać o *L'amoureuse*. Trzecia godzina pani odpowiada?

- Tak odparła krótko.
- Doskonale. Więc widzimy się w moim gabinecie o trzeciej.

Miły, niski głos, pomyślała Liz. I przyjemny akcent. Ale poza tym jaki jest Tom Carey? Dobrze byłoby się czegoś o nim dowiedzieć jeszcze przed spotkaniem.

Paczka Liz zawsze zajmowała u Luigiego ten sam długi stół w niszy, na tyłach głównej sali. Jedząc cielęcinę z parmezanem, Liz plotkowała z kolegami. Ona opowiadała o filii agencji w Sydney, oni o nowym dyrektorze kreatywnym.

Dowiedziała się, że jak na razie nie doprowadził do żadnych zadrażeń. Co więcej, trzyma Melanie w ryzach wprost idealnie, „na sposób, w jaki najbardziej lubi być trzymana, czyli w łóżku”, utrzymywali mężczyźni. Kobiety natomiast uważały, że to dlatego, iż „pozwala jej popisywać się przed sobą”.

- Stanowią ładną parę - dodał ktoś.
- Nie jest żonaty? spytała Liz.
- Chyba nie. Ale to Amerykanin. Sama wiesz, jacy oni są. Może płaci alimenty trzem byłym żonom? Niesamowicie przystojny facet - westchnęła graficzka Lucinda Rivett. Gdyby szefowie chcieli, żeby to mnie trzymał w ryzach, z radością bym mu na to pozwoliła.

Więc jest młody? zdziwiła się Liz. Myślała, że Carey będzie z pokolenia Johna Britтана. Melanie wykazywała upodobanie do starszych mężczyzn. Poza tym oni na ogół mieli więcej pieniędzy.

- Trzydzieści siedem lat wyjaśnił Ben Carey.

- Och - szepnęła Liz. Nigdy jeszcze nie pracowała z młodym, no, powiedzmy stosunkowo młodym dyrektorem. Wszyscy poprzedni byli po czterdzieście albo starsi, żonaci lub rozwiedzeni i powtórnie żonaci. Miała nadzieję, że przy odrobinie szczęścia praca z Careym też będzie się dobrze układała. Dotychczasowi szefowie, gdy już się poznali na Liz, przestawali ją ściśle nadzorować. Koncentrowali się na słabych ogniwach łańcucha produkcyjnego i na budowaniu własnej kariery. Wszyscy są tacy sami, pomyślała.

- Oprócz tego, że jest przystojny, ma też wielkie doświadczenie. Prowadził w Stanach kilka wysokobudżetowych kampanii - dodał Bertie Fry. - Zarabiał dla firmy dziesiątki milionów dolarów. Wujek Fred nie jest taki głupi, gdy chodzi o przyjmowanie ludzi do pracy. A tak przy okazji, widziałas już naszego amerykańskiego przyjaciela? Z nami spotkał się zaraz po przyjeździe.

- Zobaczę się z nim o trzeciej.

- A więc dzisiejszego popołudnia nie będzie czasu na miłość. Steve Ashton uśmiechnął się złośliwie. - Zwykle, gdy je lunch z Melanie, widzimy go dopiero po czwartej.

- Ale dziś ma spotkanie z „naszą panną Everett” - napomniał go Bertie. - A ona, tak samo jak ja, widziała wielu dyrektorów kreatywnych przyjmowanych do pracy i wyrzucanych. Na pewno nie padnie z wrażenia. I nie wydaje mi się, żebyśmy musieli zanadto współczuć Careyowi z powodu narzuconego mu obowiązku opieki nad Melanie. Jemu się to raczej podoba. A więc niech korzysta, póki może. Bertie, który po ojcowsku był dumny z Liz i szczerze ją lubił, zakończył konfidencjonalnie: - Nie bój się, Liz. Nie taki diabeł straszny.

2

Jednak Bertie Fry bardzo się mylił. Jedno spojrzenie na Toma Careya i Liz już wiedziało, że szykują się wielkie kłopoty. Nowy szef idealnie pasował do wyobrażenia Liz o kulturalnym przełożonym. Gdy weszła do pokoju, natychmiast wstał zza biurka, rzucił jej uśmiech jasny jak światło lasera i podszedł, by podać rękę. I żaden postronny obserwator, nawet wyjątkowo uważny, nie zauważyłby, że Liz została ugodzona potężnym seksualnym pociskiem.

Tom Carey był wysoki – o wiele wyższy niż ona – i dobrze zbudowany, choć szczupły. Miał ciemnoblonde włosy, chłodne, przenikliwe niebieskozielone oczy, szerokie ramiona, wąskie biodra i długie nogi. Przypominał Liz Steve'a McQueena w jednym z jej ulubionych filmów, *Sprawa Thomasa Crowna*.

Wujek Fred wiedział, co robi, pomyślała oszołomiona. Gdy Melanie zobaczyła ten okaz urody, na pewno od razu zaczęła wołać: „Tatusiu, kup mi go!”. Jednak Liz natychmiast się zorientowała, dlaczego Barnes zatrudnił właśnie tego człowieka. Tom Carey oprócz prezencji miał również autorytet.

Usiadła na krześle dla gości przy biurku. Na blacie leżały jej wszystkie teksty i rysunki z poprzednich kampanii. Nawet te, nad którymi pracowała przed wyjazdem do Australii, dotyczące reklamy najnowszego gatunku piwa w puszkach.

- Są doskonałe - powiedział, stukając palcem w papiery. - Potrafisz zrozumieć istotę produktu. Jak to robisz? Skąd bierzesz pomysły? - Wydawał się nie tylko zaciekawiony, lecz wprost głęboko zainteresowany.

Jednak Liz jak zawsze zachowała ostrożność.

- Najpierw dużo czytam o produkcie. O zaletach, sposobie zbytu, o tym, co go odróżnia od podobnych, które już znajdują się na rynku. Potem zastanawiam się, jak pokazać te zalety. Analizuję własne pomysły, rysuję je w miarę, jak mi się nasuwają. Gdy któryś z nich mi się podoba, gdy mi mówi „weź mnie”, przygotowuję prezentację. Jeżeli dyrektor finansowy zaakceptuje koszty, pokazujemy wszystko szefowi kreacji.

- A więc też jesteś miłośniczką Alicji... - Uśmiech rozjaśnił mu nie tylko twarz, ale też oczy.

Serce Liz wywróciło koziołka. *Alicja w krainie czarów* była dla niej książką magiczną, ale nie spotkała jeszcze żadnego mężczyzny, który czułby to samo. A już nigdy by się nie spodziewała, żeby od razu rozpoznał aluzję.

- Czytałem tę książkę co najmniej dziesięć razy - mówił dalej Tom Carey. - Ty też dużo czytasz, prawda?

- Aż tak bardzo to widać?

- Tak. Mówisz pięknymi zdaniami: jasno, z pełną świadomością znaczenia słów, oryginalnie. Teraz już rozumiem, dlaczego przeżyłaś tu tylu dyrektorów. - Odchylił się na krześle i spojrzał na nią z namysłem. Liz zmuszała się, by siedzieć nieruchomo pod jego badawczym spojrzeniem. Po dobrej chwili powiedział: Twoje najlepsze hasło bardzo się różni od tego, co podoba się w Australii.

- Różnice kulturowe - wyjaśniła krótko Liz.

- Oczywiście. A skoro już rozmawiamy o kulturze. Byłaś tam w operze?

- Tak. Wiele razy.

- Jesteś miłośniczką opery?

- Po prostu lubię muzykę.

- I co jeszcze lubisz?

Liz przez chwilę zastanawiała się, do czego te pytania prowadzą.

- Gotowanie. Dobre jedzenie - odpowiedziała w końcu.

- Wiedziałem! Bez tego twoja reklama spaghetti z wiejskim sosem nie byłaby taka udana. Czyli mamy ze sobą jeszcze jedną rzecz wspólną. Uwielbiam włoskie potrawy: *prosciutto, osso bucco, lasagne, risotto alla primavera...* Byłaś we Włoszech?

- O, nie raz.

- Tak myślałem. Widać to w twoich tekstach.

- Jesteśmy tym, co piszemy - powiedziała lekko.

- No właśnie - zmienił temat - a jeśli chodzi o *L'amoureuse*. Nie o perfumy, ale o nowy makijaż. Masz już jakieś pomysły?

- A powinnam? - spytała ostrożnie. Nie chciała pracować przy tej kampanii, bo musiałaby ciągle przebywać z Melanie.
 - Och, mam nadzieję, że zrobisz dla makijażu to samo, co dla perfum.
 - Ja tylko napisałam hasło...
 - Ale było wspaniałe: „Gdy brakuje ci miłości, *L amoureuse* ją zwabi”.
 - Do sukcesu kampanii w znacznym stopniu przyczyniała się Melanie. Tom Carey nie podjął tematu.
 - A co myślisz o samych perfumach? - spytał.
 - To czysta esencja seksu.
 - Pewnie dlatego kobiety tak je lubią. Ty też ich używasz?
 - Nie.
 - Dlaczego?
 - W ogóle nie używam perfum.
- Znów zmierzył ją wzrokiem.

A mimo to hasło trafiło w dziesiątkę. Z pewnością właśnie dlatego Francois Jourdain chce wykorzystać twój talent w następnej kampanii. Prosił, żebym cię zatrudnił przy tworzeniu reklamy nowej linii kosmetyków.

Liz zdecydowanie nie chciała się tym zajmować. Melanie bez przerwy by ją upokarzała.

Jeszcze nie widziałam zlecenia - powiedziała wymijająco. - Gdy przyszło, byłam w Australii.

- Nie szkodzi, dopiero zaczynamy. Pewne jest tylko to, że zaangażujemy Melanie jako „twarz” kampanii.

- Oczywiście. Kobiety się z nią identyfikują. Melanie wygląda jak marzenie, a właśnie to klientki kupują, gdy płacą majątek za małe flakoniki perfum.

I dlatego ty ich nie używasz? Bo nie lubisz kupować marzeń?

- Jestem osobą praktyczną. Marzenia nie wydają mi się najlepszą rzeczą do noszenia.

Z trudem wytrzymała jego taksujące spojrzenie. Natychmiast jednak zmieniła temat. Zaczęła mówić o innych zleceniach. Rozmowa o sprawach, na których znała się najlepiej, trochę ją uspokoiła. Tak im się dobrze rozmawiało, że gdy zabrzączał interkom ze zdumieniem zauważyła, że siedzi u nowego szefa już od godziny.

- Przepraszam - powiedziała wstając. - Nie chciałam zajmować tyle czasu.

- Nie przepraszaj. Mówisz tak samo pięknie, jak piszesz. Żałuję, że musimy kończyć. Przygotowuj wstępną prezentację zgodnie z naszymi

ustaleniami. Niedługo znów się spotkamy i omówimy dalsze posunięcia. Ale na razie zaczynaj i dobrze się staraj. Stawiam na ciebie.

Dla ciebie zrobiłabym wszystko, myślała Liz w drodze do swojego pokoju. Z całego serca zazdrościła Melanie. Tom Carey, mężczyzna z seksualną charyzmą, okazał się również wybitnie inteligentny, bardzo odczytany i zwiedził kawał świata. Liz nie podobało się w nim tylko to, że wykorzystywał swoją seksualność, by utrzymać w ryzach kobietę, której próżność wymagała nieustannego zaspokajania. Ale przecież, jak sobie zaraz przypomniała, wcale nie jest pewne, że Carey sypia z Melanie. To tylko plotki. Sprowadzono go tutaj może właśnie dlatego, że potrafił zaspokoić potrzeby rozkapryszanej panny. Nie potrafiła sobie wyobrazić, by „wujek” Fred wziął na siebie rolę rajfura. Był zbyt staroświecki. Nie potrafiła jednak też wyobrazić sobie Toma Careya wystawiającego na sprzedaż swój niesamowity urok. No dobrze, więc *L'amoureuse* jest najbardziej lukratywnym i największym zleceniem w historii agencji. I nie ma się co dziwić, że Trzej Mądrzy Starcy nie chcą go stracić. Ale żeby do pomocy brać ogiera, który uszczęśliwi gwiazdę kampanii? Nie, na pewno nie mieli takich intencji. To dżentelmeni w starym stylu. Jeżeli Tom Carey sypia z Melanie, to tylko z własnej woli. Postanowiła jednak poczekać z wydaniem ostatecznego wyroku.

Tego wieczoru, gdy wróciła do domu, zrobiła coś, co rzadko jej się zdarzało. Rozebrała się i starannie obejrzała twarz i ciało w wysokim lustrze wiszącym na drzwiach łazienki. Czyżby nie miała racji, odmawiając sobie kupowania marzeń? Czyżby źle robiła, mówiąc ludziom: „Przyjmijcie mnie taką, jaka jestem, albo odejdźcie”. Czy właśnie dlatego odstawiono ją na boczny tor?

Potem, w łóżku, rozmyślała nad sobą. Gdyby jej kazano przygotować kampanię reklamową z Elizabeth Everett w roli głównej, jak by się do tego zabrała? Które cechy by uwypukliła? Jak przekonywałaby mężczyzn, że warto spróbować? Na początek, ponieważ nie ma wartości jako przedmiot czysto dekoracyjny, skoncentrowałaby się na aspektach funkcjonalnych. Jest inteligentna, zdolna, ładnie pisze i rysuje. Umie zmienić bezpiecznik, naprawić kontakt. Doskonale gotuje, dobrze prowadzi samochód, w scrabble'a przeważnie wygrywa. Jednak kucharkę, elektryka czy szofera można sobie zatrudnić. Natomiast ona musi pokazać mężczyznom, że za tą fasadą zwykłej, przeciętnej kobiety kryje się bardzo barwna postać. Tyle że nikt tego nie zauważa, co oznacza, że prezentacja, jaką dla siebie stworzyłyby, nie odniosłaby sukcesu.

Przez cały następny dzień przetrwiała tę myśl. Kolejnego dnia spotkała się na lunchu ze swoją najbliższą przyjaciółką, Jilly Markham, i podzieliła się z nią swoimi wątpliwościami. Jilly była ekspertem w sprawach kobiecej urody.

- Jilly, chcę cię o coś zapytać. Tylko proszę, mów szczerze. Co mogę zrobić, żeby ładniej wyglądać?

- Dlaczego nagle ci na tym zaczęło zależeć? Myślałam, że już dawno się poddałaś - zdziwiła się Jilly. Znała Liz i jej kompleksy od lat. Pracowały razem nad jednym z pierwszych zleceń Liz w agencji.

- Nieważne. Po prostu mi powiedz.

- Przecież już ci mówiłam - westchnęła Jilly. - Nie jesteś ładniutka i nigdy nie będziesz. Masz zbyt mocne rysy, chociaż budowę całkiem dobrą, tyle że nic nie robisz, by to podkreślić. Ile razy prosiłam, żebyś mi pozwoliła zająć się sobą? Mogłabym zdziałać cuda. Zaręczam ci, że często mam do czynienia z kobietami, na które nikt by nie spojrział po raz drugi. Ale kilka pociągnięć pędzelkiem, trochę sztuczek i metamorfoza jest całkowita. Nawet gdy potem te kobiety nie są niczym więcej niż makijażem. Natomiast u ciebie trzeba tylko uwypuklić zalety. To spowoduje, że będziesz warta o wiele więcej niż drugiego spojrzenia mężczyzn. Szkoda, że w zakątku twojej duszy, w którym powinna się rozpierać wiara w siebie, króluje przekonanie, że wyglądasz jak córka Drakuli. Gdybyś tylko mi pozwoliła wypróbować na sobie moje pudry i szminki... Dlaczego nigdy się na to nie zgodziłaś? Tyle razy cię prosiłam.

- Już raz sama spróbowałam. Wyglądałam koszmarnie.

- Pewnie dlatego, że usiłowałaś zrobić z siebie kogoś, kim nie jesteś. - Na widok miny Liz krzyknęła: - Wiem! Na pewno zakręciłaś sobie loczki i użyłaś do twarzy nieodpowiednich kolorów. Nie jesteś piękną, ale masz ciekawą osobowość - mówiła dalej Jilly. - Przypominasz raczej młodą Lauren Bacall niż Goldie Hawn. Może wreszcie pozwoliłabyś mi się tobą zająć? Nawet sobie nie wyobrażasz, jak ci to pomoże. W tej chwili jesteś bardzo zgaszona.

- Aż tak to widać?

- Och, Liz, znam ciebie i twój kompleks niższości. - Jilly spojrzała przyjaciółce w oczy. - No, powiedz, kim jest ten mężczyzna?

- Dlaczego myślisz...

- Daj spokój - przerwała Jilly. - Od lat zajmuję się twarzami kobiet. Wiem, że naszą siłą sprawczą są pragnienia, by wyglądać jak najlepiej właśnie dla mężczyzny. Dlaczego ty miałabyś się różnić od innych? Chociaż nie powiem, bardzo się o to starasz. Jednak, moja droga, Matki Natury

się nie oszuka, niezależnie od tego, co utrzymują feministki. Zaraz po instynkcie samozachowawczym plasuje się instynkt przedłużania gatunku. Sama nie jestem Elizabeth Taylor, ale doskonale daję sobie radę.

- Ty jesteś bardzo ładna i zgrabna, ja przypominam z grubsza ociosany pień.

- Bzdura! Dziewięćdziesiąt lat temu taka figura, jak twoja, była idealem kobiecej urody. To, że teraz modne są chudzińki, nie znaczy jeszcze, że masz iść do klasztoru.

- Naprawdę? Więc posłuchaj, jak kiedyś wyraził się o mnie pewien mężczyzna. Cytuję: „Może ona nawet nie studiowała w uniwersyteckim gmachu z czerwonej cegły, ale sama jest tak zbudowana”. Choć minęło już sporo lat, Liz nadal doskonale pamiętała te bolesne słowa.

- Wszędzie pełno głupich i niewrażliwych facetów - stwierdziła spokojnie Jilly, ale w duchu ich przeklinała. - Niech ci się nie wydaje, że jesteś jedyną kobietą, która czuje się odrzucona. Mnie też porzucano. Dwa razy, jak wiesz. Cała sztuka polega na tym, by się pozbierać i udowodnić zarówno temu mężczyźnie, jak i wszystkim innym, że ignorując cię, popełniają wielki błąd. Nic tak nie podnosi na duchu, jak sukces.

- I nic nie niszczy bardziej niż klęska.

- Czy naprawdę zamierzasz przez całe życie uważać, że jesteś nic niewarta? Kto to jest? spytała po raz drugi Jilly. Widziała już wiele kobiet zauroczonych mężczyzną, ale zupełnie tego nieświadomych. Jednak Liz do tej pory nic takiego się nie zdarzyło.

- To bardzo atrakcyjny mężczyzna, który jednak nie uważa, że bym ja też była atrakcyjna.

- Więc się postaraj! Na miłość boską, zrób coś!

- Na przykład co? Awanturę?

- Przestań wreszcie być defetystką i po prostu zajmij się swoim wyglądem.

- Nie stanę się przez to ani niższa, ani szczuplejsza.

- Jeśli chcesz, poszukam topora i trochę cię ociosam - warknęła Jilly. Obie się roześmiały. Napięcie opadło.

Znając wrażliwość przyjaciółki, Jilly podjęła rozmowę łagodniejszym tonem.

- Dlaczego masz taką obsesję na punkcie swoich wymiarów?

- Bo ich nienawidzę! odparła gwałtownie Liz. - Jak można widzieć kobietę w kimś, kto jest zbudowany jak kolumna? Mężczyźni bardzo wyraźnie dawali mi do zrozumienia, że lubią, gdy gram w ich drużynie, ale po meczu nie są mną zainteresowani.

Jilly wypięła trochę wina, zanim zadała następne pytanie.

- Czy nigdy nie przyszło ci do głowy, że może wcale nie chodzi tu o twój wzrost i wagę? Charakter masz też nielekki. Poza tym bezlitośnie tępisz głupców. Niektórzy mężczyźni nie tolerują takich kobiet. Jednak jeżeli rzeczywiście chcesz coś zrobić ze swoim wyglądem, chętnie ci pomogę. Po prostu pokażę, ile można osiągnąć prostymi środkami. Przecież nie masz nic do stracenia.

- Poza ostatnimi złudzeniami, jeżeli się nie uda.

- Och, oczywiście, że się uda. Wcale w to nie wątpię. No, skocz na głęboką wodę. Odrzuć workowate sukienki i kolory popiołu. Kup sobie rzeczy, które wyeksponują wszystko, co w tobie najlepsze. Jesteś jak surowy materiał, trzeba cię tylko wygładzić i nadać połysk. Nigdy nie wydobędziesz się z poczucia klęski, jeżeli przynajmniej raz nie spróbujesz.

- Wiem - przyznała Liz. - Ale się boję. Jeżeli znów pójdę na dno, to już będzie ostatni raz - powiedziała z przeszywającą serce rozpaczą.

Jakie to dziwne, pomyślała Jilly. Kobieta tak pewna swoich umiejętności zawodowych, jest tak boleśnie słaba i bezbronna, gdy chodzi o jej kobiecość. Jasne, że wszyscy mają jakieś kompleksy. Przecież dręczyły nawet księżnę Di. I to samo dolega Liz. Jest całkowicie wyprana z poczucia własnej wartości. Jeżeli szybko się temu nie zaradzi, w końcu ta biedna dziewczyna oszaleje.

- W każdym razie dziękuję, że próbowałaś podnieść mnie na duchu - powiedziała Liz i poprosiła kelnerkę o rachunek. Wiem, że zawsze mi dobrze życzysz.

Następnego dnia odbyło się cotygodniowe zebranie. Jak zwykle omawiano postęp prac nad zleceniami przyjętymi przez zespół Liz. Tym razem jednak najwięcej uwagi poświęcono kampanii *L'amoureuse*.

Tom Carey jasno przedstawił strategię.

- Klient życzy sobie nowej kampanii, która łączyłaby reklamę perfum i linii kosmetyków o tej samej nazwie. Chce, żebyśmy pokazywali Melanie w bardzo romantycznych sceneriach. Cały scenariusz powinien być zbudowany wokół Melanie. Kobiety mają się z nią identyfikować jako uosobieniem linii kosmetyków. Zamierzam zrobić, cykl składający się z sześciu półtoraminutowych spotów i przydać im tyle blasku, ile tylko zdołam.

- Czy zachowujemy hasło? - spytał ktoś.

- Tak. Ale potrzebny będzie nowy scenariusz. - Spojrzał na Liz. - Chciałbym coś w rodzaju tej wspaniałej kampanii *Gold Blend* sprzed kilku lat. Chodzi mi po prostu o stworzenie miniopery mydlanej. I to jest twoje zadanie - zwrócił się do Liz.

Ale ona myślami była daleko stąd. Rozpamiętywała wczorajszą rozmowę z Jilly. Ocknęła się dopiero wtedy, gdy Bertie Fry dał jej kuksańca w bok. Zauważyła, że wszyscy się w nią wpatrują.

- Słucham? O, przepraszam, zamyśliłam się.

- Znasz jakieś wystarczająco egzotyczne miejsce na kręcenie reklam?

- Jest kilka możliwości - powiedziała niepewnie. Próbowała zgadnąć, o co chodzi, bo nie słyszała ani jednego słowa z wypowiedzi Toma Careya.

- Może Maroko? zaproponował Bertie Fry, rzucając Liz koło rautunkowe. - Bardzo romantyczny kraj. Przystojni szejkwowie i takie...

- Nie, po Saddamie Husseinie koniec z szejkami - rzucił sucho Tom.

- Lepsze byłyby Karaiby - odezwała się Liz. Jej bystry umysł od razu zdołał skorzystać z pomocy Bertiego. - Biały piasek, ogromny księżyc, szum fal... Melanie w obłoku białego szyfonu i muzyka Chopina...

- Kraina Barbary Cartland - szepnął ktoś złośliwie.

- I scenariusz w typie Cartland? - spytał inny uczestnik spotkania. - Dziewicze marzenia, romantyczne nieporozumienia... Sześć spotów, a każdy kończy się napisem: „Ciąg dalszy nastąpi”?

- Wiem! - Liz już się zorientowała czego dotyczy dyskusja, i bez trudu się włączyła. - Jeżeli osią historyjki ma być Melanie i jej uroda, trzeba włączyć do akcji także mężczyznę. Albo lepiej dwóch. Która kobieta nie poczułaby się poruszona tym, że walczą o nią dwaj mężczyźni? Właśnie ta walka będzie powodowała napięcia. A każdy odcinek będzie się kończył w najbardziej dramatycznym momencie.

- Dałaś sobie radę - pochwalił cichutko Bertie.

- Dziękuję za kuksańca - odszepnęła.

Spotkanie ożywiło się. Zebrani ludzie rzucali różne pomysły, dyskutowali, ale po godzinie nie doszli do żadnych wniosków. Wiadomo było tylko, że scenariusz napisze Liz, gdy już klient zaakceptuje ogólną koncepcję. Po skończonej debacie Tom Carey poprosił Liz, żeby jeszcze nie wychodziła.

Zostali sami, ale właśnie w tym momencie zadzwonił telefon. Czekając, aż Tom skończy rozmowę, Liz patrzyła przez okno. Co bym zrobiła, gdyby to o mnie walczyli dwaj mężczyźni? - myślała. Już zaczynała wyobrażać sobie scenerię, zastanawiać się nad cechami rywali...

- Grosik za twoje myśli - usłyszała nagle. Tom Carey już po raz drugi w ciągu kilku dni niepostrzeżenie stanął tuż za jej plecami. Trochę się wystraszyła. Jego woda kolońska mocno pachniała cytryną.

- Płacisz mi za nie o wiele więcej niż grosik - zripostowała wesoło i odeszła kilka kroków.

- Ale każdy grosik jest dobrze wydany. Mogłabyś napisać zarys scenariusza? W piątek spotykam się w Paryżu z Francois Jourdainem. Chciałbym mu zaprezentować nasz pomysł.

- Spróbuję. Rozwinę to, o czym rozmawialiśmy. - Liz wzięła ołówek i blok rysunkowy. Szybko naszkicowała sceny pierwszego spotu: kobieta, Melanie, przygotowuje się do ślubu, do którego został jeszcze tydzień.

Spojrzała na Toma Careya. Miał dziwną minę.

Słyszałem o doskonałych związkach, ale twój talent do łączenia słów z obrazem jest najbardziej idealnym mariażem, jaki kiedykolwiek widziałem.

Ach, to dlatego, że od dawna jestem po ślubie z moją pracą - wyjaśniła pogodnie.

- I to ci wystarcza?

Co za pytanie, pomyślała z irytacją, ale zaraz się opanowała.

Bez pracy nie będę miała z czego żyć. A lubię odrobinę komfortu: dach nad głową i telewizor. Poza tym uwielbiam dogadzać swojej kotce lososiem.

- Więc to nie kot z Cheshire?'

Liz potrząsnęła głową.

- Cesarzowa jest cudzoziemską władczynią.

W tym momencie do pokoju wpadła Melanie.

- Tom, mówiłeś... och! Stała jak wryta. Jej oczy zwęziły się mocno. Melanie nie ufała nikomu, a już zwłaszcza żadnej kobiecie, choćby nawet Liz.

- Zaraz wychodzę - powiedziała Liz, wykorzystując okazję do ucieczki. Rozmawialiśmy o kampanii, ale już skończyliśmy. - Gdy chciała zabrać swoje rysunki, Tom położył na nich rękę, muskając przy tym dłoń Liz. Jej żołądek wywinął koziołka.

- Zostaw mi to - poprosił. Pokażę Francois. Nawet jeżeli to tylko wstępne szkice, dadzą mu pojęcie o tym, jak zamierzamy poprowadzić kampanię. I o ile go znam, będzie zachwycony tak samo, jak ja...

- O co chodzi? - przerwała mu ostro Melanie.

- Dowiesz się, w odpowiednim czasie - odparł Tom, wkładając rysunki do teczki.

- Jeśli to dotyczy *L'amoureuse* - parsknęła Melanie - powinnam być powiadamiana o wszystkim na bieżąco. W końcu ja i kampania to jedno.

' Kot z Cheshire - postać z powieści „Alicja w krainie czarów” Lewisa Carrolla. Najsłynniejszy jest jego uśmiech: pozostawał w pokoju po tym, jak kot już wyszedł (przyp. tłum.).

- Owszem, w oczach odbiorców - zgodził się Tom. Ale to agencja wykonuje całą robotę, by przekonać o tym klientów. Zobaczysz wyniki naszej pracy dopiero przed wejściem na plan. Tam ty będziesz odgrywać główną rolę.

Tom mówił miłym, ale stanowczym głosem i Liz ze zdumieniem zauważyła, że Melanie łatwo przyjmuje jego argumenty, zresztą zapewne dzięki kilku ostatnim słowom. Sprytnie, pochwaliła go w duchu. Jak dobrze już zdążył poznać Melanie.

Tom zabrał ze sobą na weekend do Paryża Melanie. Nic dziwnego pomyślała Liz, gdy się o tym dowiedziała. W poniedziałek po południu Careya poprosił Liz do siebie. Był w doskonałym humorze. Powiedział jej, że Francois Jourdain entuzjastycznie przyjął pomysł nowej kampanii i kazał zaczynać pracę. A co najważniejsze, zwiększył budżet o dwadzieścia pięć procent. Można było ruszać ze wszystkim. Pierwsze reklamy powinny ukazać się w telewizji i w kinie za siedem miesięcy, kiedy zacznie się szaleństwo gwiazdkowych zakupów. Według Toma, Jourdain nie szczędził Liz pochwał, ale ona wiedziała, że przygotowana przez Careya prezentacja była co najmniej tak samo dobra, jak jej szkice. Musiała przyznać, że wśród wielu zalet Tom miał również tę, że w pełni popierał i wspomagał osobę, która dobrze się spisywała w pracy. Jednak gdy coś mu się nie podobało, trzeba było mieć się na baczności. Przekonał się o tym kierownik zespołu realizującego inne zlecenie. Liz nie mogła się tylko pogodzić z pełnym zaangażowaniem postępowaniem Careya wobec Melanie. Mężczyźni już tacy są, pocieszała się, że tracą głowę na widok pierwszej lepszej ładnej dziewczyny.

Przez półtora miesiąca w wielkim napięciu pracowała od rana do wieczora. W końcu uznała, że potrzebuje chwili wytchnienia. Napisała pierwszą wersję lekkiej, lecz w pełni wiarygodnej historii miłosnej, co było łatwe, bo sama tkwiła w okowach romantycznych marzeń. Potem namalowała piękne, kolorowe obrazki na prezentację. Jeżeli klient to zaakceptuje, kampania przejdzie do drugiego etapu: robienia zdjęć. Zajmie się tym studio filmowe. Do współpracy agencja zaprosiła reżysera, który nakręcił już sporo nagrodzonych reklam. Miał nadzieję, że staną się jego przepustką do Hollywood. Melanie dostała specjalnie zaprojektowaną garderobę. Przygotowano też kosmetyki Domu Jourdain z nowej linii *L'amoureuse*. Z Paryża miała przyjechać specjalistka od makijażu.

Tom wybrał kilka lokalizacji. Liz uznała, że wskazane plenery dobrze „zagrają”. Carey był najlepszym dyrektorem kreatywnym, z jakim pracowała. Nic nie umknęło jego uwadze. Wszyscy pracownicy agencji

Brittan, Barnes & Beckwith bardzo go cenili. Liz uważała, że w pełni zasługiwał na szacunek i że wcale nie został sprowadzony z Ameryki tylko po to, by zajmować się Melanie. Cieszyła ją również opinia szefa o niej samej. Tom chwalił pracę Liz i jej sposób kierowania zespołem. Teraz więc, gdy już wykonała swoją część zadania, bez obaw poprosiła o parę dni urlopu. Zgodził się od razu.

- Na pewno jakieś wykończona po tych ostatnich tygodniach. Od czasu do czasu trzeba od nowa naładować baterie. Wybierasz się w jakieś miłe miejsce?

- Do rajy - odparła żartobliwie, chociaż nie miała żadnych planów. Czowała tylko, że musi wyjechać.

- A zabrałabyś mnie ze sobą?

- Wydaje mi się, że jesteś tam przez cały czas, z Melanie - wypaliła, zanim zdążyła pomyśleć.

Och, dlaczego to powiedziałam? - rozpaczła potem. Po jej słowach twarz Careya przybrała chłodny wyraz. Popatrzył na Liz tak lodowatym wzrokiem, że zadrżała. Naprawdę potrzebuję wakacji, mówiła sobie wieczorem, gdy się pakowała. Ciągłe widziała ich razem - bo Melanie postanowiła dać wszystkim do zrozumienia, że Tom jest jej własnością. Wrażliwość Liz została wystawiona na poważną próbę. Chociaż kto by pomyślał, że tak potężna postać może być też delikatna. Niestety, w miarę upływu czasu Tom Carey coraz bardziej pociągał Liz. W żaden sposób nie mogła się otrząsnąć z zauroczenia. Z trudem zachowywała się wobec niego naturalnie. A teraz ta głupia i przepelniona zazdrością uwaga zrujnowała dobre stosunki między nimi. Niezależnie od tego, o czym marzyła, od dziś na pewno już będą ich łączyć jedynie sprawy służbowe. Jednak te marzenia były najlepszą rzeczą, jaka przytrafiła jej się w całym życiu. A ona wszystko zniszczyła. Jak mogła się okazać taką idiotką!

Następnego ranka, po nocy spędzonej na oskarżaniu samej siebie, zanosła kotkę do sąsiadki z sutereny. Obie z Cesarzową bardzo lubiły tę kobietę. Potem wsiadła do golfa kupionego za bożonarodzeniową premię. Nie miała żadnego pomysłu, dokąd jechać. Wiedziała tylko, że nie chce odwiedzić rodziny. Rok temu jej ojciec przeszedł na emeryturę po trzydziestu pięciu latach pracy jako starszy partner w konsultingowej firmie inżynierskiej. Sprzedał duży dom w Wimbledonie, kupił bungalow w swoim rodzinnym miasteczku w Suffolk i zamieszkał tam razem z siostrą. Mieli spory ogród, w którym pracował godzinami. Ciotka, znana z ogromnego talentu organizacyjnego, włączyła się w życie okolicznej społeczności.

Ojciec nie martwił się tym, że w przeciwieństwie do starszych braci, Liz nie wykazywała chęci do małżeństwa. Nigdy nie narzucał dzieciom swojego zdania ani nie wtrącał się do ich życia. Ciotka natomiast nie pochwałała stylu życia bratanicy. Liz zależało jednak tylko na aprobacie ojca. Wiedziała, że póki ona jest zadowolona, ojciec też jest zadowolony. Zresztą nie mieszała się wzajemnie do swoich spraw.

Pojechała na zachód. Nie знаła dobrze tej części kraju. W dzieciństwie rodzice zabierali ją na wakacje wyłącznie do Torgnay. Będzie jechała, aż jakieś miejsce jej się spodoba. Tam się zatrzyma. Nieważne, dokąd dojedzie. Po prostu chciała zobaczyć coś nowego.

3

Drugiego dnia wieczorem znalazła się daleko na południu półwyspu kornwalijskiego. W porze lunchu wyjechała z Truro i od tego momentu wybierała boczne drogi, żeby uniknąć autostrady do Penzance. Minęła Falmouth, potem Rosemullion Head i skierowała się do Helford Passage. Nadszedł już czas kolacji. Była głodna, więc zatrzymała się przed małą, przyjemną gospodą z pokojami gościnnymi, zbudowaną na przylądku, który wznosił się nad opadającą tarasami doliną. Z góry roztaczał się piękny widok na rzekę Helford. Weszła i spytała, czy mają wolny pokój. Mieli. Rozpakowała się, zjadła kolację, potem poszła na spacer. Jechała cały dzień, potrzebowała trochę ruchu. Chciała rozprostować nogi i zmęczyć się tak, by odegnać zamęt w myślach ostatnio krążących wyłącznie wokół Toma Careya. Inaczej nie mogłaby usnąć. Wiedziała, że już przegrała, ale nic nie mogła poradzić na to, że wciąż o Tomie myśli. Fakt, że razem pracują, tylko podsycił zawiść w stosunku do Melanie, która była z nim o wiele bliżej. Liz ciągle marzyła o tym, by znaleźć się na miejscu Melanie. Martwiło ją, że nie jest to możliwe. Co gorsza, złościła się na swoje tchórzostwo, bo nawet bała się spróbować.

Jak na ironię, była to wymarzona noc dla kochanków. W górze wielki księżyc, srebrzyste, bezchmurne niebo; w dole, prawie sto metrów niżej rzeka przypominająca wypolerowane srebro i wietrzyk, łagodny jak oddech kochanka. Pogrążona w myślach szła powoli przed siebie. Nie zwracała uwagi na drogę. Dopiero gdy zobaczyła dom i usłyszała

muzykę, uświadomiła sobie, że znajduje się na terenie prywatnej posiadłości. Widocznie nie zauważyła rozwidlenia ścieżek. Weszła na tę, która wiała się w dół po zboczu, prowadząc do niewielkiej zatoczki, zasłoniętej od strony szczytu klifu rozrośniętymi rododendronami.

W dwóch trzecich zbocza, na wyrzeźbionym przez erozję tarasie, ktoś wybudował niewielką, lecz piękną willę. W świetle księżycy wyglądała jak posypana białym lukrem. Otaczał ją również mały, lecz perfekcyjny ogród we włoskim stylu, pełen kwiatów, marmurowych posągów i fontann. Liz czuła słaby zapach lonicery i mocniejszy aromat róż, limony i ziół: rozmarynu, ogórecznika, szaflwii. W nocnym powietrzu rozbrzmiewał przepiękny mezzosopranowy głos. Liz wielką miłośniczką muzyki rozpoznała utwór *Bailero*, z cyklu *Pieśni z Owernii*.

Jak zahipnotyzowana, bezwiednie zaczęła schodzić coraz szerszą ścieżką. Po chwili znalazła się w ogrodzie. Nikogo tu nie było. W domu nie paliły się światła. Właściciel pewnie po ciemku słuchał muzyki z płyt. Liz usiadła na marmurowej ławce. Całkowicie poddała się nastrojowi nocy, pięknu otoczenia i cudownemu głosowi, którego nie rozpoznała, ale wiedziała, że nigdy go nie zapomni. Zamknęła oczy i dała się ponieść uczuciom. Pozwoliła, by przepełniła ją tęsknota. W końcu poczuła w oczach łzy. Gorące krople spłynęły jej po policzkach. Ukryła twarz w dłoniach. Siedziała tak, aż muzyka umilkła. Ostatnia nuta jeszcze przez moment wibrowała w powietrzu, wreszcie też wybrzmiała. I dopiero wtedy, gdy nastąpiła zupełna cisza, wyrwał jej się bolesny szloch.

- Kto tam? - Pytanie, zadane mocnym, dźwięcznym głosem otrzeźwiło Liz. - Wiem, że ktoś tu jest. Kto to?

W panice Liz poderwała się do ucieczki. Gwałtownie wytarła mokrą twarz grzbietem dłoni. Nie chciała, by przyłapano ją na demonstracji uczuć.

- Proszę zaczekać! - nakazał głos. Było w nim tyle mocy, że Liz mimo woli zatrzymała się i obejrzała. Zobaczyła mężczyznę z białą łaską, którą się jednak nie posługiwał. Gdy podszedł bliżej, po gęstych siwych włosach poznała, że nie jest już młody, ale jego twarz wydała jej się wybitnie ładna. Nie nosił ciemnych okularów. Promienie księżycy lśniły w jego czarnych jak węgiel, niewidzących oczach. - Niech pani nie ucieka - polecił, chociaż już nie tak władczo, bo wyczuł, że Liz się zatrzymała.

- Przepraszam, nie chciałam się tu wdziarać - wybuchnęła potem usprawiedliwień. - Nie zauważyłam, że weszłam na czyjś teren,

dopóki nie usłyszałam muzyki i nie zobaczyłam willi... byłam pewna, że wkroczyłam w bajkową krainę.

Mężczyzna cicho się zaśmiał.

- Ale ja nie jestem potworem z bajki. Cieszę się, że spodobał się pani mój dom. Czy mogę wiedzieć, z kim mam przyjemność dzielić zainteresowania? - dodał z humorem.

- Nazywam się Elizabeth Everett. Zatrzymałam się tam, w gospodzie... Zapominając, że mężczyzna nie widzi, bo nie zachowywał się jak niewidomy, wskazała ręką kierunek. Po kolacji wyszłam na spacer i sama nie wiem jak znalazłam się tutaj. Zobaczyłam willę, usłyszałam muzykę i poddałam się temu urokowi. Jeszcze raz przepraszam za wtargnięcie do pana ogrodu. Nie zrobiłam tego celowo.

- Nie ma za co przepraszać. Zbył sprawę machnięciem ręki. Naprawdę bardzo mi miło, że podoba się pani zarówno mój dom, jak i muzyka.

- Palladiańska willa to ostatnia rzecz, jakiej spodziewałabym się w Kornwalii. Oczywiście! - Liz strzeliła palcami. Cały czas wydawało mi się, że gdzieś widziałam podobną... Już wiem! To Villa Paradiso², na północ od Vicenzy...

- Tak, ma pani rację przyznał z uśmiechem. - Mój ojciec był Włochem, matka pochodziła z Kornwalii. Gdy okoliczności zmusiły mnie do wycofania się z czynnego życia, postanowiłem zbudować replikę pewnego domu, który podobał mi się najbardziej ze wszystkich, jakie kiedykolwiek widziałem. Skopiowałem tamtą willę, tyle że moja jest o połowę mniejsza. Ten mały występ w klifie nie pomieściłby nic tak dużego, jak oryginał.

Musi być bardzo bogaty, pomyślała Liz. Uważnie przyglądała się twarzy mężczyzny. Wydawała jej się znana podobnie jak dom.

- Chyba pana już gdzieś widziałam - powiedziała. Czuję, że powinnam... czy jest pan sławny?

- Kiedyś byłem.

- Grał pan na scenie?

- Rzeczywiście, to, czym się zajmowałem, wymagało gry. - W chwili rozbawienia jego głos przybrał tony, które Liz natychmiast rozpoznała.

- Och, oczywiście! Wiem, kim pan jest. John diMarco! Tyle razy pana słuchałam.

- Tak, to ja.

² Paradiso (wł.) raj (przyp. tłum.).

- Co za noc! Prawdziwa bajka. Mam prawie wszystkie pana płyty. Uwielbiam Don Giovanniego również za jego rozum.

- Jak to miło. - Roześmiał się głośno. - Zawsze próbowałem być zarówno uwodzicielskim jak i mądrym Don Giovannim.

- I tak było. Znawcy nazywają pana Don Giovannim wszech czasów.

To prawda - powiedział bez fałszywej skromności. Ale teraz mogę śpiewać tylko w studiu nagraniowym. Od sześciu lat nie stałem na scenie.

- Słyszałam, że pan się wycofał, ale nie wiedziałam, że zamieszkał pan w raju.

- Niewiele osób o tym wie.

- Pójdę już. Jeszcze raz przepraszam za najście.

- Nie, proszę, nie uciekać. - Wyciągnął rękę, by ją zatrzymać. - Cieszę się, że pani tu jest. Na skrzyżowaniu pewnie pomyliła pani drogę. Jedna ścieżka prowadzi wzdłuż krawędzi klifu, druga biegnie w dół, tu, do mnie. Jednak jest tam furka, na ogół zamknięta.

- Nie zauważyłam furki. Ale byłam tak głęboko pogrążona w myślach, że w ogóle nic nie widziałam.

Zagubiona owieczka zażartował. Nie odpowiedziała, więc mówił dalej: - A co pani robi w Kornwalii? Krótkie wakacje?

Tak, chwila odpoczynku od pracy.

- Przyjechała pani sama?

Liz skinęła głową. Znów zapomniała, że John diMarco nie może jej zobaczyć.

- Owszem dodała szybko.

- Skąd pani jest?

- Z Londynu. Tam mieszkam i pracuję.

- Jako kto?

- Piszę teksty do reklam.

- I dobrze to pani robi?

- Tak.

- Miło to słyszeć. Szanuję ludzi, którzy wierzą w siebie. Ja zawsze w siebie wierzyłem. - Rozległo się dźwięczne uderzenie w gong. - Ach, Adelina wzywa mnie na drinka przed snem. Czy taki stary człowiek, jak ja może zaprosić młodą kobietę na mały poczęstunek?

³ Don Giovanni (Don Juan) tytułowy bohater opery Wolfganga Amadeusza Mozarta (przyp. tłum.).

Liz zawahała się. Była oczarowana Johnem diMarco. Od pierwszej chwili widziała w nim bratnią duszę, ale jak zwykle powstrzymywała ją wrodzona nieśmiałość.

- Proszę - nalegał. - Pokażę pani dom. Będę go mógł zobaczyć jeszcze raz, pani oczami.

Te słowa przeważały.

- Jeśli tak...

- Świetnie! Pokrewne dusze to coś bardzo rzadkiego, ale chyba je w sobie odkryliśmy. Wiem, że tak jest, bo zauroczyła panią noc, muzyka i moja posiadłość. Chodźmy, pokażę pani więcej tego piękna.

Ruszyła za śpiewakiem. Bez wahania kroczył po wysypanych żwirami drózkach. Przeszli obok marmurowej fontanny, w której nimfa wylewała wodę z dzbanka. Dotarli do łagodnych kamiennych schodów, kończących się na dolnym tarasie. Potem po następnych schodach weszli na taras prowadzący do domu. Zapalono już lampy. Przez francuskie okna Liz zobaczyła wspaniałe wnętrza. Po chwili znaleźli się w pięknym jak klejnot holu, wysokim na dwa piętra, biegnącym przez całą długość domu, od frontu na tyły. Na ścianach, między aksamitnymi draperiami widniały freski. Każdy malowany i złożony mebel był arcydziełem sztuki dekoracyjnej. Marmurowa podłoga lśniła. Imponujące schody pokrywał cenny chodnik. Przy wielkim kominku John diMarco pociągnął za haftowaną taśmę od dzwonka i poprowadził Liz do mniejszego, lecz równie eleganckiego pokoju.

Proszę, niech pani usiądzie - powiedział, wykonując ręką szeroki gest.

Liz usiadła. W tej samej chwili do pokoju weszła kobieta w średnim wieku, tak samo wysoka jak Liz i podobnie zbudowana, ale emanująca pewnością siebie. Jej czarne włosy srebrzyły się na skroniach. Miała śniadą cerę i czarne oczy. Poruszała się z wdziękiem i godnością królowej. Niosła srebrną tacę z dzbankiem i szklanką.

- Ach... Adelino, proszę, przynieś jeszcze jedną szklankę. Mamy niespodziewanego gościa. Poznaj panią Elizabeth Everett. Znalazłem ją w ogrodzie, zasłuchaną w twój śpiew.

- To pani śpiewała? - spytała Liz ze zdumieniem.

- Adelina nagrała tę płytę kilka lat temu - wyjaśnił John diMarco.

- To było piękne. Ma pani cudowny głos.

- *Grazie, signorina* - szepnęła Adelina uśmiechając się, ale jej czarne oczy bacznie obserwowały dziewczynę, nie pomijając najmniejszego szczegółu. Najwidoczniej zadowolona i uspokojona, postawiła tacę na

stoliku na kółkach, ustawionym obok wielkiego fotela, w którym zasiadł pan domu. Potem wyszła tak samo cicho, jak weszła.

- Adelina jest moją gosposią - wyjaśnił John diMarco. Uśmiech słyszalny głosem dawał do zrozumienia, że gospodarz wie o wrażeniu, jakie Adelina wywarła na Liz.

Po paru sekundach kobieta wróciła z drugą szklanką. Ustawiła ją obok pierwszej i bez słowa wyszła, zamykając za sobą drzwi. Liz zastanawiała się, czy powinna pomóc w nalewaniu drinków, ale gdy zobaczyła, jak zręcznie diMarco sięga po dzbanek i napełnia szklaneczki koniakiem, ucieszyła się, że tego nie zrobiła. Potem z dużą precyzją podała jej szklaneczkę.

- Jak pan to robi? - spytała zafascynowana.

- Słyszę pani oddech. Mój słuch, z konieczności, bardzo się wyostrzył. - Sięgnął za dzbanek i wyjął ze srebrnej skrzyneczki długie, cienkie cygaro cherrot. Teraz, gdy nie muszę się już przejmować wieczornymi występami i stanem swojego gardła, przy wyjątkowych okazjach pozwalam sobie na cygaro do koniaku - wyjaśnił. - A dziś właśnie zdarzyła mi się taka okazja. Człowiek chętnie wyciąga ręce po niespodziewaną radość, tak samo, jak godzi się z oczekiwanym bólem. - Zapalił cygaro i z przyjemnością wypuścił dym.

- Od dawna pan nie widzi?

- Od sześciu lat. Miałem wypadek podczas przedstawienia *Don Giovanniego*, które dawaliśmy w plenerze, w Weronie. W scenie z posągami Komandora upadłem i uderzyłem się w głowę. Z początku nie odczułem żadnych skutków, ale po pewnym czasie okazało się, że uszkodziłem sobie nerw wzrokowy. Traciłem wzrok powoli, lecz nieubłaganie. I tak miałem szczęście, że trwało to ponad rok. Zdażyłem jeszcze zaprojektować i wybudować ten dom.

- Wspaniałe przedsięwzięcie - powiedziała entuzjastycznie Liz. Prawdziwy raj.

Uśmiechnął się pobłaźliwie.

- Może dla pani, ale to nic szczególnego.

Liz odwzajemniła uśmiech.

- Jednak mieszka pan w raju. Gdybym ja miała tyle szczęścia, wątpię, żebym chciała wrócić i opowiedzieć ludziom, jak tam jest.

Powoli popijała koniak. Był gładki jak jedwab. Czuli, że sływa do jej żył, ogrzewa i uspokaja. Co za wspaniałe człowiek, myślała. Ile może mieć lat? Pięćdziesiąt? - zgadywała. Wycofał się ze sceny w okresie, gdy jego głos brzmiał jeszcze całą pełnią. Najwyżej trochę ponad pięćdziesiąt, zdecydowała.

- Ile ma pani lat? spytał, jakby czytał w myślach Liz.
- Dwadzieścia osiem.
- Ach... jaka młoda. Jestem o trzydzieści lat od pani starszy.
- Dałabym panu zdecydowanie mniej.
- Wiem. Nigdy nie wyglądałem na swój wiek. Za młodych lat wydawałem się starszy niż w rzeczywistości. Po pięćdziesiątce natomiast nadal mogłem śpiewać i grać Don Giovanniego.

Znów usłyszała w jego głosie subtelne rozbawienie. Traktował ją jak damę. A Liz nie miała wprawy w prowadzeniu salonowych rozmów ociekających miodem, ale złośliwych - więc jednocześnie cieszyła się z tego i była wdzięczna. Z okładek płyt i z biografii, którą czytała parę lat temu, wiedziała, że był donzuanem zarówno na scenie, jak i w życiu. Jego miłosne podboje przeszły do legendy. Zostawiał za sobą tłumy wielbicielek od Stuttgartu po San Francisco. Nawet teraz, gdy już się starzał, był bardzo przystojny. W młodości musiał być porażająco atrakcyjny. Fotografie zamieszczone w biografii pokazywały piekielnie męskiego bruneta. A mężczyźni, którzy tak wychodzą na zdjęciach, w rzeczywistości są jeszcze bardziej pociągający. Przez głowę Liz przemknęło pytanie, jak Tom Carey wychodzi na zdjęciach. Natychmiast zmusiła się do odegnania tych myśli.

- Niech mi pan coś powie o Adelinie - poprosiła. - Na pewno występowała na scenie.

- Jak pani sama słyszała, to cudowny mezzosopran. Była moją kochanką. Odrzuciła sławę, żeby mi towarzyszyć w tej samotni. Teraz mieszkamy razem, spokojni i zadowoleni. A pani ma kochankę?

Słyszac tak bezpośrednie pytanie, Liz niemal straciła oddech.

- Nie - odparła krótko.

- Dlaczego? Wydaje mi się, że w naszych czasach, kiedy najsilniejszą ludzką obsesję stanowi seks, kobieta pozbawiona kochanka, a raczej kochanków, jest jak kot bez ogona, czyli nienaturalną postacią.

- Więc widocznie jestem wybrykiem natury.

- Ma pani piękny głos. Kontralt. Śpiewa pani?

- Tylko w łazience.

- Czy wygląda pani tak samo, jak panią słyszę?

- Nie.

- Ach. - Nie powiedział nic więcej i zmienił temat rozmowy. Gdy zegar, delikatne cacko z porcelany i złota, wydzwonił godzinę, Liz ze zdumieniem spostrzegła, że właśnie mija jedenasta.

- Och, nie zauważyłam, że już jest tak późno! Bardzo przepraszam. Nie chciałam tak długo zawracać panu głowy.

- Nic się nie stało... czas szybko upłynął, bo dobrze nam było w swoim towarzystwie. Ale, skoro tyle rozmawialiśmy, nie miałem okazji oprowadzić pani po domu. Wobec tego czy zechciałyby pani przyjść tu jutro? Zapraszam na pierwszą.

- Och, ale... nie chcę się narzucać.

- Proszę nawet tak nie myśleć. Przy pani czuję się lepiej. I jestem zaintrygowany. Nie pamiętam, kiedy tak dobrze mi się z kimś gawędziło. Niech pani sprawi przyjemność staremu człowiekowi i przyjdzie na lunch.

Nieprzyzwyczajona do tego, by mężczyzna roztaczał przed nią swój urok, Liz uległa. Poza tym, czy miała coś innego do roboty?

- Dziękuję, z przyjemnością pana odwiedzę.

- Cieszę się. Więc czekam o pierwszej.

- Czy dojdę do gospody drogą, którą tu przysłałam? - spytała Liz, odstawiając szklaneczkę na tacę.

- Tak. Ścieżka skręcająca w prawo prowadzi do wyjścia. Gdyby furka była otwarta, proszę, z łaski swojej, ją zamknąć.

John diMarco wstał i podał Liz rękę. Zmysłowo pogładził dłoń dziewczyny.

- Ładne, długie, szczupłe palce, piękne paznokcie. Ręce potrafią wiele powiedzieć. Ja nauczyłem się widzieć przez dotyk. Czy mogę panią zobaczyć?

- Oczywiście.

Stała nieruchomo, gdy John diMarco delikatnie przebiegał koniuszkami palców po jej czole, obwodził oczy, dotykał policzków, nosa, ust. Tam palce się zatrzymały na chwilę, potem pobiegły dalej, po podbródku i szyi.

- Jakie namiętne usta - szepnął, przesuwając ręce na ramiona Liz. Jest pani wysoka i ma szerokie ramiona, jak Adelina. Ona też jest olśniewająca.

Te słowa wstrząsnęły Liz. Czy dobrze słyszała? Naprawdę powiedział, że jest olśniewająca?

- Nikt tego pani jeszcze nie mówił? - spytał, wyczuwając jej reakcję.

- Nie... nigdy.

Mruknął po włosku coś, co zabrzmiało jak przekleństwo, a potem powiedział po angielsku:

- Co takiego jest w naszych czasach, co każe kobietom wstydzić się swoich prawdziwie kobiecych kształtów? Adelina mówiła mi, że współczesne kobiety zawzięcie walczą o to, by wyglądać jak patyczaki. *Basta!* Czyżby mężczyźni nie potrafili rozpoznać bogini, gdy ją widzą?

Liz aż otworzyła usta. Najpierw powiedział, że jest olśniewająca, a teraz nazywa ją boginią! A przecież uchodzi za doskonałego znawcę kobiet.

- Chyba panią zaskoczyłem powiedział, gdy milczała.

- To nieporozumienie tysiąclecia wydukała. Jeżeli w ogóle przywodzę na myśl boginie, to tylko dlatego, że jestem większa niż ich posągi.

- Bzdura! Jakiego koloru ma pani włosy?

- Myszowate.

- A oczy?

- Szarobure.

- Sama się pani deprecjonuje. Dlaczego?

Na tak bezpośrednie pytanie mogła odpowiedzieć jedynie prawdę:

- Bo nigdy nie pozwolono mi myśleć, że jestem czymś lepszym niż kłoda drewna.

- Kto pani nie pozwalał? Mężczyźni?

Milczała. John diMarco wydobyl na powierzchnię wszystko, o czym przez ostatnich kilka godzin udało jej się zapomnieć. Była jednak również świadoma, że ten mężczyzna, o niezwykłej intuicji i zdolności do współodczuwania, w jakiś sposób przecina wewnętrzny, bolesny wrzód, który nabrzmiewał w niej od incydentu z Tomem Careym.

Doskonale wiesz, dlaczego prawi ci komplementy, drwiła z siebie. Bo jest niewidomy. Nie może cię zobaczyć i tylko dlatego nie widzisz w jego oczach obojętności. Przez chwilę, wierząc w jego pochlebstwa, zapomniała, jak wygląda, ale teraz czuła się tak, jakby postawił przed nią wysokie lustro, w którym mogła się dokładnie obejrzeć. Wzdrygnęła się.

- No, już dobrze powiedział tak łagodnie, że Liz aż zacisnęło się gardło. - Jest pani surowym materiałem o wielkiej wartości, który trzeba tylko trochę wygładzić i subtelnie wykończyć. Nawet diament nie będzie lśnił, póki się go nie oszlifuje. Laik uzna diament w stanie surowym za bezwartościowy kamyk. A pani potrzebuje jedynie szlifu. Proszę mi wierzyć, znam się na tym. Każda kobieta może być olśniewająca. Pani ma wspaniałą postawę, a profilu mogłaby pani pozazdrościć Wenus z Milo. Zresztą jej wymiary i proporcje również nie pasują do współczesnego ideału urody. Proszę nie popełniać błędu i nie obniżać swojej wartości. Nie mogę pani zobaczyć, ale rozmawialiśmy. Wybitna osobowość, bystry umysł, ładny sposób mówienia. Myślę, że pani... bujność stanowi dla wielu mężczyzn zagrożenie. Nie potrafiliby sprostać ideałowi, więc wolą się wycofać. Moim zdaniem jest pani młodą kobietą o wielkim potencjale, ale małej wierze w siebie. I dlatego właśnie siedziała pani w moim ogrodzie i płakała... prawda?

Liz zadrżała. Najpierw wysłuchała tak cudownych słów, mówionych miodopłynnym głosem, a tu nagle wylano na nią kubel zimnej wody.

- Jest pani młoda, a młodość to pora szczęścia, popełniania błędów i uczenia się na nich. Jednak kłopot polega na tym, że młodym ludziom brak doświadczenia, by mogli sobie radzić z nieszczęściem. To przychodzi z wiekiem. Czy teraz jest pani nieszczęśliwa z powodu mężczyzny? W pani wieku na ogół tak właśnie bywa.

- To tylko zauroczenie. Otrząsnę się z tego - powiedziała bezbarwnym głosem.

- A więc nie odwzajemnia pani uczu?

- Nawet o nich nie wie.

- Ach... rozumiem.

Liz wiedziała, że to prawda. John diMarco mimo ślepoty widział więcej niż ludzie o doskonałym wzroku.

- Czytała pani *Kamień księżycowy* Collinsa? - spytał.

- Tak, dawno temu - odparła, zastanawiając się, co to ma wspólnego z ich rozmową.

- Pamięta pani Rosannę Spearman? Biedna służąca i była złodziejka od pierwszego wejrzenia zakochała się we Franklinie Blake'u, a on nie tylko ani razu na nią nie spojrział, lecz nawet nie był świadomy jej istnienia.

Liz milczała. Była zdumiona tym, że John diMarco tak doskonale rozumie jej uczucia.

- Rosanna rozpaczliwie pragnęła, by Franklin traktował ją jak człowieka, żywą istotę, ale nie wiedziała, jak to osiągnąć - mówił dalej. - Jedynym sposobem wydawała jej się konfrontacja. Ale okoliczności na to nie pozwoliły, więc popełniła samobójstwo. Nie sądzę, by pani zaszła już aż tak daleko, ale radziłbym zmusić tego mężczyznę, by zauważył, że pani istnieje. Jeżeli się nie uda, to znaczy, że tak było pani pisane. Nie zawsze możemy osiągnąć to, czego pragniemy. Ale na pewno znajdzie pani kogoś innego. Tak olśniewająca kobieta nie zostanie długo sama w swoim smutku.

Znów to powiedział! Och, Boże, czyżby przez całe życie popełniała błęd? Czy rzeczywiście była nie tyle nie dość dobra, co o wiele za dobra dla większości mężczyzn?

- Chyba dałem pani sporo do myślenia. - Głos Johna diMarco wyrwał Liz z osłupienia. - Więc niech pani wraca do gospody i zastanowi się nad tym, co powiedziałem. Jutro wrócmy do naszej rozmowy.

- Och, z przyjemnością! - zawołała Liz. Jeżeli będzie jej mówił takie rzeczy jak dziś, mogłaby go słuchać zawsze. Nikt jeszcze nie mówił jej tak

cudownych słów, nie nakładał balsamu na zranione poczucie własnej godności. A co więcej, dominującym składnikiem tego eliksiru była nadzieja.

John diMarco odprowadził Liz na niższy taras. Ogród był oświetlony, więc łatwo znalazła powrotną drogę. Na pożegnanie, zamiast tylko wymienić uścisk dłoni, podniósł jej rękę do ust w teatralnym geście, który jednak nie był jedynie grą.

- *Arrivederci*, do jutra...

4

Wracając do gospody, Liz czuła się **pijana** od możliwości, jakie nagle jej się objawiły. Odniosła wrażenie, że została obdarowana nowym życiem. Na szczycie klifu rzeczywiście była drewniana furka, szeroko otwarta, jak przypuszczał John diMarco. Starannie zamknęła **ją** za sobą. Zrozumiała, że gdyby nie **przypadek**, nigdy by nie **weszła** do ogrodu śpiewaka, bo furkę zasłaniał gąszcz krzewów. Niech Bóg błogosławi tego, kto **ją** zostawił otwartą, pomyślała z wdzięcznością. Inaczej nie odkryłaby magicznego królestwa. A może to wszystko tylko jej się przyśniło? Nie. Nadal czuła smak koniaku i lekki rausz. Fantastyczny dom i ogród, cudowny gospodarz, to wszystko istniało naprawdę. Tak samo, jak kojące słowa Johna diMarco. Mówił, że jest olśniewająca! Że jest boginią!

W swoim pokoju w gospodzie rozebrała się, umyła zęby, ale przed pójściem do łóżka jeszcze raz obejrzała swoje nagie ciało w edwardiańskim lustrze stojącym koło toaletki. Tym razem jednak dokonywała przeglądu w świetle zadziwiających opinii Johna diMarco. Próbowwała zobaczyć to, co on wyczuł koniuszkami palców. Owszem, jest duża, ale nie tęga; po prostu hojnie obdarzona ciałem. I ma doskonale proporcje, chociaż nie w tym modnym chłopięcym stylu, lansowanym przez dyktatorów mody, którzy wolą projektować stroje dla kobiet bez talii, bez piersi i bez bioder. Natomiast ona ma figurę prawdziwie kobiecą.

Ten cudowny mag miał rację, stwierdziła w euforii. Oślepiąca nieważnością do swojego ciała, do tej pory potrafiła widzieć się jedynie jako

z grubsza ociosany kamienny blok, bo taki obraz wmówili jej niewrażliwi, grubiańscy mężczyźni. Gdyby miała wiarę w siebie, nic by sobie nie robiła z ich zdania. Złośliwe komentarze zbywałaby machnięciem ręki. Ale ona pozwoliła, by ją osądzili i skazali na samotność. Jak mogła popełnić taki błąd! Jednak teraz, dzięki niewidomemu mężczyźnie, zauważyła to, czego tamci nie potrafili dostrzec: zobaczyła, że jest olśniewająca. Piękne ciało, krągłe, jędrne piersi. Owszem, szerokie biodra, ale warte spojrzenia, i długie nogi. Teraz widziała w sobie nie tę grubokościstą i niemodną postać, której się wstydziła, lecz kobietę o bujnych kształtach. Co za ironia, że trzeba było ślepcą, by jej to uświadomił! Tak, miała wszystkiego dużo, i to nie tylko ciała, a nie każdy mężczyzna potrafiłby temu sprostać. Na przykład Tom Carey: dawał sobie radę z Melanie, ale ją jest łatwo utrzymać w ręku. Dla mnie potrzeba całej siły obu rąk, powiedziała sobie z dumą.

Już w łóżku przyszło jej do głowy, że do tej pory usiłowała rywalizować z kobietami na ich warunkach, zamiast stawiać własne. Nic dziwnego, że ciągle przegrywała, skoro usiłowała być tym, kim nie jest. A wszystko to działo się dlatego, że w wieku, kiedy kształtuje się osobowość, została źle pokierowana, a gdy kilku nędznych przedstawicieli płci przeciwnej jej nie doceniło, pozwoliła sobie wmówić, że jako kobieta jest nic niewarta.

Jeszcze długo leżała i rozmyślała. W przeszłości zawsze wyciągała niewłaściwe wnioski, ale to się już skończyło. Na przykład, kilka lat temu Jilly zmusiła ją do przyjścia na kostiumowe przyjęcie. Należało się przebrać za fikcyjną postać. Jilly przekonała ją, by włożyła strój Carmen, z obfitą czarną peruką, falbaniastymi spódnicami i opadającą z ramion bluzką. Doradziła też Liz, by została na bosaka. Jilly położyła jej na nogi, dekolt i twarz podkład w cygańskim brązowym kolorze, usta umalowała szkarłatną szminką. Gdy Liz zobaczyła, że przygląda jej się kilku młodych mężczyzn, a dwóch czy trzech ciągle wodzi za nią wzrokiem, natychmiast pomyślała, że wygląda śmiesznie, wprost groteskowo w najwyraźniej źle wybranym kostiumie. A jeżeli patrzyli dlatego, że wywarła na nich wielkie wrażenie, a bujność jej kształtów ich oszołomiła? Może tylko patrzyli, bo bali się zrobić coś więcej? Opanuj się, powiedziała sobie teraz. Nie daj się ponieść słowom niewidomego mężczyzny. Jednak towarzysze zabawy naprawdę wtedy ją bacznie obserwowali, a ona poczuła się nieswojo, jakby była jeszcze potężniej zbudowana niż w rzeczywistości. Jej brak poczucia własnej wartości objawiał się tym, że każde męskie spojrzenie traktowała jako naganę, nigdy jako aprobatę. A gdyby tak skorzystała z propozycji Jilly i spróbowała się oddać w jej

fachowe ręce? W ten sposób mogłaby uzyskać pewność. Może naprawdę jest surowym materiałem, który trzeba oszlifować, żeby odsłonić boginię. Jak zareagowałby Tom Carey, gdyby zobaczył ją w innym świetle, nie jako osobę obdarzoną bystrym umysłem, lecz jako kobietę? Jednak diMarco, znawca i wielbiciel kobiet żyjący w lukrowanej willi może się mylić. Ale jeżeli w ogóle mam wyjść z tego psychicznego dołka, nie pozostaje mi nic innego, jak wziąć sobie do serca jego radę i zaznaczyć swoją obecność, pomyślała. A trzeba się do tego zabrać od razu, gdy przy boku jest wspaniały mężczyzna, który dodaje odwagi. Liz zasypiała z uśmiechem.

Następnego dnia po śniadaniu pojechała do Falmouth. Znalazła tam sklep, gdzie sprzedawano ubrania dla puszystych. Kupiła pierwsze w życiu dzinsy, a także kilka bawełnianych podkoszulków. Koniec ze spódnicami do kolan. Jednak najwyraźniej wątpliwości jej nie opuściły, bo gdy przyglądała się sobie w lustrze, ekspedientka spytała:

Nie czuje się pani w tym dobrze?

- Proszę mi powiedzieć, prawdę. Nie jestem za gruba na dzinsy?

Ekspedientka, sama nie w typie sylfidy, spojrzała na klientkę ze zdziwieniem.

- Oczywiście, że nie. Są jeszcze większe rozmiary. Ale ten jest na panią w sam raz. Ma pani zaokrąglenia tam, gdzie trzeba, więc dlaczego ich nie pokazać?

- Świetnie. Biorę dzinsy i trzy koszulki.

W dzinsach i białej bawełnianej bluzeczce wróciła do samochodu. Na początku szła sztywno, patrząc prosto przed siebie, ale wkrótce z radością zauważyła pełną aprobaty reakcję przechodniów. Po raz pierwszy w życiu zwracała na siebie uwagę. Robotnik ustawiający rusztowania zagwizdał na jej widok, a mężczyzna, który mył okna, przerwał pracę i śledził ją wzrokiem. Poczula też, że takie zachowanie mężczyzn nie tylko nie uwłacza kobiecie, lecz wprost przeciwnie, pochlebia.

Gdy znalazła się w swoim pokoju w gospodzie, podśpiewując powiesiła w szafie obszerną sukienkę i postanowiła nigdy więcej jej nie zakładać. Potem wyjęła szpilki, rozczesła włosy i związała je na karku jasną wstążką, którą też sobie kupiła w Falmouth. Pomalowała rzęsy brązowym tuszem, wybranym przez sprzedawczynię w stoisku z kosmetykami. Zauważyła, że nagle stały się gęste i długie, a szkarłatna pomadka nadała ustom wyrazu. Wyglądała dobrze. Liz uznała, że wygląda nieźle!

Uniesiona radością z powodu nowej osobowości, jaka jej się objawiła, zapomniała o upływie czasu. Gdy spojrzała na zegarek, już dochodziła pierwsza. Chwyciła torebkę i ruszyła pędem.

Wbiegając po dwa schodki naraz, zobaczyła Johna diMarco na tarasie.

- Nie ma potrzeby tak się spieszyć zbeształ ją na powitanie. - Jest pani na czas.

- Tylko dlatego, że całą drogę biegłam.

- Z takimi długimi nogami na pewno nie sprawiło to pani trudności. Proszę, niech pani usiądzie, złapie oddech. Czuję, że dziś jest lżej-szy. Zupełnie jakby z pani ramion spadł wielki ciężar.

- Bo rzeczywiście spadł, dzięki panu. Chyba naprawdę uratował mi pan życie.

- Bzdura! Po prostu przez długi czas przebywała pani na zimnie. Dziś świeci słońce, zarówno na panią, jak i w pani. Kwiat nareszcie rozwinął się z pączka i rozkwitł.

- Jak na niewidomego widzi pan bardzo wiele powiedziała po dłuższej chwili.

- Odkąd straciłem wzrok, nauczyłem się, że można postrzegać więcej rzeczy, niż widzą oczy. Drinka? Adelina już wszystko przygotowała. Na co miałyby pani ochotę? Campari z wodą sodową?

- Tak, chętnie.

- Ja będę przygotowywał trunki, a pani niech mi opowie, co robiła dziś rano. Jaka jest przyczyna tego, że kwiat rozkwitł?

Powiedziała mu o swoich zakupach.

- Och, tak. Sądząc po pani radosnym głosie, wyprawa bardzo się udała - zauważył. - Podał Liz wysoką szklanekę z ciemnoróżowym napojem, w którym dzwoniły kostki lodu, ozdobioną plasterkami soczystej pomarańczy.

- Wobec tego wypijmy za nieustające kwitnienie, za dobry początek i za piękną przyjaźń.

Z domu wyszła Adelina. Posłała Liz pełne aprobaty spojrzenie. Potem zaczęła mówić po włosku. John diMarco skinął głową i odpowiedział kobiecie w tym samym języku. Gdy zeszła z tarasu, wyjaśnił:

- Pytała, czy może dać do lunchu dużo czosnku. Powiedziałem, że nie. Miałem rację?

- Rzeczywiście, wolę, gdy jest stosowany oszczędnie.

- Adelina wspaniale gotuje. Zaręczam, że nigdy jeszcze nie jadła pani tak pysznej *pasty*.

Po pierwszych kęsach *fettucine primavera* Liz podzieliła opinię gospodarza. Do śmietankowego sosu Adelina dała młode szparagi, chrupkie selery, kawałeczki dyni, papryki i marchwi, a wszystko posypała świeżo pokrojoną natką pietruszki.

Do podjedli cielęcinę gotowaną w winie marsala z kapeluszami pieczarek i ziemniakami z wody, a do tego pili białe tokańskie wino z własnej winnicy Johna. Delektowali się leciutkim, delikatnym *zabaglione*, a na koniec Adelina podała sery i świeże owoce.

- Muszę przyznać, że pana willa nosi właściwą nazwę. To prawdziwy raj. A jakie boskie jedzenie! dodała Liz. Najedzona do syta z trudem wstała, by przejść za gospodarzem na taras, gdzie czekała kawa.

- Adelina się ucieszy. Mówiła, że wygląda pani na osobę, która potrafi docenić przyjemności. Proszę mi powiedzieć, jak jest pani dziś ubrana.

- W dzinsy i podkoszulek. Czy Adelina powiedziała panu, co miałam na sobie wczoraj?

- Tak. Podobno bury worek. Mówiła też, że na początku, wyglądała pani jak ponury ślimak, a wychodząc jaśniała pani światłem.

Mimo zażenowania, Liz musiała się roześmiać. Adelina dobrze ją opisała.

Ale dziś zdjęła pani skorupę. Czy mam przez to rozumieć, że zamierza pani zaakcentować swoją osobowość?

Chcę spróbować. Dziękuję, że mnie pan do tego zachęcił.

- Więc nie będzie już pani nienawidziła swojej figury?

- Po tym, jak zobaczyłam Adelinę, na pewno nie.

- *Brava!* Dzielna kobieta! Na scenie widziałem wiele kobiet obdarczonych bujnym ciałem: Joan Sutherland, Jessye Norman, Montserrat Caballe. Boska Callas też nie zawsze była taką sylfidą, jaką się stała później.

- Śpiewał pan z Marią Callas?

- Raz, ponad trzydzieści lat temu, gdy byłem jeszcze młody i dopiero wspinałem się po szczeblach kariery.

- Mógłby mi pan coś opowiedzieć o swojej pracy? Tak bym chciała wiedzieć, jak wygląda świat opery od wewnątrz.

Z pobłażliwym uśmiechem ale i ze swadą zaczął opowiadać o różnych przedstawieniach, w jakich występował, i ludziach, z którymi śpiewał. Widać było, że lubi mówić. Jego opowiadanie toczyło się gładko. Chwilami żartował, czasami ironizował, często też jego uwagi zachwycaly głębią.

No, dosyć już gadania. Teraz pokażę pani dom.

Oprowadził ją po wszystkich pokojach oprócz prywatnego apartamentu. Pokazywał swoje „skarby” - przedmioty kupione w trakcie podróży. Niektóre wiązały się z historią opery, inne zostały nabyte tylko dlatego, że mu się podobały. Operową kolekcję umieścił w specjalnym pokoju. Były to głównie pamiątki: peruki, rekwizyty, zdjęcia. Liz dłużej zatrzymała wzrok na jego postaci. O tak, przystojny, mroczny i pociągający mężczyzna. Nieświadomie westchnęła.

- Przypominam pani kogoś?

- Nie. Nie znam nikogo takiego, jak pan - odparła szczerze, podziwiając jakiś kostium. Pewnie ciężko dźwigać takie stroje.

- Owszem, szczególnie w *Don Carlosie* i *Nabucco*. Kostiumy Scarpia, hrabiego Almayiy⁴ czy Don Giovanniego były lżejsze, bo w ich czasach mężczyźni stroili się jak pawie, nosili koronki i hafty. Bohaterki oper Mozarta też miały piękne kostiumy. Mam tu kilka kobiecych strojów. Należały do Adeliny. Chciałaby pani zobaczyć?

- O, tak, proszę!

John diMarco zadzwonił na Adelinę. Gdy usłyszała prośbę, od razu z uśmiechem się zgodziła. Podeszła do wielkiej szafy, zajmującej całą jedną ścianę. Otworzyła przesuwane drzwi, odsłaniając nieprzebrane mnóstwo kostiumów.

- Och, jakie piękne - jęknęła Liz. Przesunęła ręką po jedwabiach, aksamitach i koronkach.

- Przymierzy pani? spytała Adelina. Będą pasowały. Ten sam... *misura*. Jak po angielsku?

- Rozmiar odpowiedział Don. Tak teraz Liz nazywała w myślach gospodarza.

- Ten jest bardzo ładny... hrabina Almayiva... - Adelina wskazała atłasową suknię w kolorze szampana, na halce z kremowej koronki.

- Naprawdę mogę?

- Oczywiście.

Liz nie trzeba było dłużej zachęcać. Don usiadł i czekał, gdy Adelina pomagała dziewczynie włożyć suknię, zapinała guziki i haftki, stroszyła koronki. Potem ucharakteryzowała Liz jak na przedstawienie, założyła jej perukę z lśniących czarnych włosów. Na koniec wybrała biżuterię: naszyjnik, kolczyki i bransoletki do kompletu, z pereł i brylantów - oczywiście sztucznych - a potem dodała jeszcze wachlarz, delikatne cacko z kości

⁴ *Don Carlos* i *Nabucco* - opery Giuseppe Verdiego; Scarpia - bohater opery *Traviata*, również Verdiego; hrabia Almayiva - bohater opery *Wesele Figara* Mozarta (przyp. tłum.)

słoniowej i koronek. Przygryzając wargi, obeszła Liz dookoła. Wygładziła spódnicę, poprawiła dekolt, inaczej położyła pukiel włosów, rozpostarła naszyjnik tak, by korzystnie odbijał się od kremowej skóry. Wreszcie z zadowoleniem skinęła głową, odwróciła Liz do lustra i wybuchnęła potokiem włoskich słów skierowanych do Dona. Gospodarz tylko się uśmiechał.

Liz aż otworzyła usta ze zdumienia. Ta piękna, oszałamiająca istota to nie ona! Gładki dekolt, alabastrowe ramiona, zachwycająca twarz. Z tego, co mówiła Adelina, Liz rozumiała tylko jedno słowo: *bellissima*. Ale to wystarczyło. I gdy tak się sobie przyglądała, zobaczyła, że to prawda. Mocno zagryzła wargę. Nigdy w życiu nie spodziewała się, że może tak wyglądać.

- No, proszę - odezwał się pobłażliwie Don. Potrzebowała pani tylko szlifu.

- Sama się nie poznaję! To zasługa kostiumu!

Nie. Po prostu uświadomiła sobie pani swoje zalety.

- Już to, że je posiadam, wydaje mi się cudem. Dziękuję, och, bardzo panu dziękuję! Zapominając o swojej zwykłej rezerwie, rzuciła mu się na szyję.

Resztę tygodnia spędziła w willi, tylko na noc wracała do gospody. W ciągu dnia przebywała w towarzystwie mężczyzny, który zachęcał ją do odkrywania własnej osobowości. Każdego dnia przymierzała inny kostium, zakładała różne peruki. Nie mogła się nasycić widokiem pięknej kobiety, która patrzyła na nią z lustra. Aprobata Dona była jak cement wzmacniający nowe fundamenty jej wiary w siebie.

Ostatniego wieczoru wszyscy się przebrali. Pan domu włożył kostium ze swojej najstynniejszej roli, Liz przebrała się za donnę Annę, a Adelina za donnę Elwirę, bohaterki tej samej opery. Zjedli przygotowaną wcześniej wykwintną kolację. Potem Adelina dla nich śpiewała. Don miał rację. Jej głos był miękki jak atlas, legata wykonywała bez najmniejszego wysiłku. Czyste brzemienie mezzosopranu sprawiało prawdziwą rozkosz. Gdy Liz spytała Dona, czy on też zaśpiewa, powiedział, że woli zapalić cygaro. Adelina poszła przygotować kawę.

- Czuję się tak jakbym opuściła rzeczywiste życie i znalazła się w krainie spełnionych marzeń - zauważyła Liz, uniesiona swoim sukcesem i winem.

- Wszyscy mamy marzenia - odparł. Cieszę się, że pomogłem pani zrealizować kilka z nich. Pragnąłbym tylko móc panią zobaczyć, ale Adelina opisała mi wszystko tak znakomicie, że prawie widzę każdy szczegół. Ona ma ten dar.

- Jest... niezwykłą kobietą - powiedziała delikatnie Liz. Nie potrafiła zrozumieć stosunków panujących między Donem a jego kochanką-gosposią.

- Chciałaby pani coś o niej wiedzieć, prawda? - Don był zaskakująco przenikliwy.

- Fascynująca osoba - odparła szczerze Liz.

- Tak. Dawno temu byliśmy w sobie bardzo zakochani. Teraz się kochamy. Na razie pani jeszcze nie rozumie tej różnicy, ale mam nadzieję, że z czasem ta wiedza przyjdzie.

Liz milczała.

- Gdy człowiek jest młody, miłość przynosi więcej bólu niż radości. Brak doświadczenia i niepewność prowadzą do nieudolności. Popelnia się błędy, które potrafią okaleczyć i zniszczyć człowieka emocjonalnie. Młodzi pragną pewności w sprawach, w których nigdy nie można być pewnym, a tam, gdzie w grę wchodzi uczucia, strach jest jak seryjny morderca. Kochać i być kochanym to największe dobro, jakiego można w życiu zaznać. Ja kilka razy doświadczyłem wielkiego szczęścia. Mam nadzieję, że panią też to czeka, ale nie może pani już nigdy pozwolić, żeby krzywdzące opinie innych ludzi dyktowały pani sposób postępowania. Proszę zawsze pamiętać, że jest pani kowalem własnego losu. Znaczenie ma jedynie to, co pani myśli i w co pani sama wierzy.

Liz nadal milczała. Przecież nawet nie była pewna, czy to, co czuje do Toma Careya, to miłość czy po prostu zauroczenie. Wiedziała tylko, że jej uczucia są głębokie, sprawiają ból fizyczny i emocjonalny. Żaden mężczyzna jeszcze nigdy nie doprowadził jej do takiego stanu.

- Czy ten mężczyzna jest dla pani kimś ważnym? spytał Don, przezywając jej zamyślenie.

- To raczej ja chciałabym być ważna dla niego.

- Może teraz, po odkryciu własnego ja, zapagnie pani tak, jak pani pragnie jego. Żeby móc kogoś kochać, trzeba najpierw pokochać siebie. A w tym tygodniu pani weszła na dobrą drogę. Mogę tylko mieć nadzieję, że gdy inni już poznają, jaka jest pani naprawdę, nie zapomni pani o mężczyźnie, który był przy pierwszej odsłonie.

- Och, nigdy pana nie zapomnę! - zawołała Liz. Zawdzięczam panu więcej, niż może pan sobie wyobrazić!

- Ja też miło spędziłem czas w pani towarzystwie. Dobrze się bawiłem, a pani poddała się moim wskazówkom i wybaczyła mi słabostki. Teraz pani wie, jak cenię piękno. A pani ma w sobie wiele piękna.

Zazdroszczę mężczyźnie, który pewnego dnia po nie sięgnie, chociaż interesuję się panią raczej jako ojciec chrzestny.

Jest pan prawdziwym czarodziejem z bajki!

- Ach, te rekwizyty posłużyły jedynie do tego, by dać pani wyobrażenie o własnych możliwościach.

- Wierzy pan w przeznaczenie?

- Oczywiście. Przecież jestem w połowie Włochem.

- No więc myślę, że to właśnie przeznaczenie mnie tu przywiodło. Kazało mi się zatrzymać w tutejszej gospodzie, pójść na spacer, wejść przez otwartą furtkę, której nie zauważyłam... Do tej pory znajdowałam się w bardzo ciemnym tunelu, a na jego końcu nie widziałam nawet najśłabszego światelka. Teraz otworzył się przede mną cały nowy świat. Nadal nie jestem jeszcze w stu procentach pewna siebie, ale dzięki panu ta pewność wzrosła do co najmniej siedemdziesięciu procent. Bardzo dziękuję za wszystko, co pan dla mnie zrobił. Ten tydzień odmienił moje życie. Wybiła północ i Kopciuszek musi opuścić bal, ale jestem przekonana, że od dziś tych wspaniałych przyjęć będzie jeszcze bardzo wiele.

5

W poniedziałek, wkrótce po tym, jak Liz przyszła do biura, zadzwoniła pani Stevens, macierzyńska sekretarka Toma Careya. Spytała, czy Liz może wpaść na pięć minut do szefa, który zaraz wylatuje do Paryża.

- O, Boże! - jęknęła Liz. Czy on nadal jest zły za tę głupią uwagę? Wcale by się nie zdziwiła. Ze strachu aż jej się zacisnął żołądek. Wiedziała jednak, z wnikliwie prowadzonych przez siebie badań, że Carey nie należy do osób, które długo chowają urazę. Tyle że aby się o tym przekonać, musiała stanąć z nim twarzą w twarz. Jeżeli okaże się to konieczne, przeprosi.

Gdy weszła do gabinetu, Tom analizował jej szkic do reklamy nowego aperitif.

- Na pewno z radością usłyszysz, że klient jest zachwycony twoimi pomysłami - powiedział. - Rozwijamy kampanię na podstawie twojego scenariusza. - Zachowywał się naturalnie, nie wyglądał na obrażonego.

- Cieszę się - odparła Liz. Odczuła ulgę z obu powodów.

Zanim znów zaczął mówić, omiótł Liz spojrzeniem.

- Jak było w rajach?

- Lepiej niż w moich najśmielszych marzeniach - odparła szczerze, zachęcona nutką rozbawienia w jego głosie i kpiącym uśmiechem.

- To widać. Uszczęśliwiło cię miejsce... czy osoba? - Tom był wyraźnie zdumiony przemianą, jaka zaszła w Liz. Wprost bił od niej blask. Słabą żaróweczkę zastąpiła lampa halogenowa. - Powinnaś częściej udawać się do rajów, jeżeli przynosi to taki efekt.

Liz wytrzymała jego spojrzenie. Nie potrafiłbyś sobie wyobrazić nawet ułamka tego, co mi się przydarzyło, pomyślała. Miała gorącą nadzieję, że jeśli tylko przeznaczenie ma dla niej w zanadrzu jeszcze jeden cud - kiedyś pojedzie tam razem z Careyem.

Po pracy Liz umówiła się z Jilly. Przyjaciółka przysłała do niej do domu obładowana buteleczkami, flakonikami, szczotkami, pomadkami i pudrami. Cały wieczór spędziły na eksperymentowaniu.

Jilly poprawiła kształt brwi Liz. Zmieniła podkładem, pudrem i cieniami kontur jej twarzy, wydobywając strukturę kostną, wyrazistą lecz stylową, i klasyczny zarys podbródka. Podkreśliła trzema różnymi barwami burą zielen oczu, aż wyglądały jak bryłki nefrytu. Konturówką obrysowała pełne wargi, a potem umalowała je lśniąca szminką. Używała taki efekt, że żaden mężczyzna nie oparłby się ich pokusie. Liz była zdumiona liczbą narzędzi użytych tylko po to, by wydawało się, że w ogóle nie stosuje makijażu. Jednak rezultat okazał się oszałamiający.

- To jestem ja? - spytała nieufnie. Gdy sama próbowałam się malować, nigdy tak nie wyglądałam.

- Już ci mówiłam, że „robienie” twarzy to cała sztuka. Potrzebny jest prawdziwy talent, a ty chyba go nie masz. Zresztą większość kobiet tego nie potrafi. Wydaje im się, że potrzebują tylko odrobiny pudru, trochę niebieskiego cienia na powieki i różowej szminki.

Ciocia Louise może być żywym przykładem, pomyślała Liz.

- Ale to nieprawda! Trzeba znacznie więcej i jeszcze musisz tego używać we właściwy sposób. A teraz, gdy już wiemy, co robić z twoją twarzą, zajmijmy się włosami. - Zabrała Liz do swojego fryzjera.

- Tego sekretu wtajemniczeni dobrze strzegą - ostrzegła więc nie piśnij nikomu słowa. On jest prawdziwym magikiem i w dodatku niezbyt drogim. Słuchaj, co ci powie. Jeszcze nigdy nie dał nikomu złej rady.

Czarodziej nożyczek poradził, by nie obcinać włosów, tylko trochę je wycieniować i specjalnym szamponem zrobić jasne pasemka.

- Są zbyt wiotkie i nie dość gęste, by mogła pani nosić krótkie fryzury bez trwałej i mnóstwa lakieru, a to nigdy nie robi włosom dobrze. Widzę je z jasnymi pasemkami, czesane tak, jak do tej pory, tyle że dla zrównoważenia proporcji twarzy, która jest raczej wydłużona, proponowałbym grzywkę, a po bokach luźne kosmyki. W ten sposób podkreśli się również linię szyi.

Po włosach przysłała kolej na ubranie.

- Od dziś nosisz rzeczy, w których będziesz wyglądała korzystnie - rozkazała Jilly i zabrała przyjaciółkę do sklepu na South Molton.

- Nie mogę tego włożyć! krzyknęła Liz na widok krótkiej czarnej sukienki.

- Oczywiście, że możesz stwierdziła spokojnie Jilly. Spójrz na krój! Dzięki niemu sukienka nie wisi jak worek, lecz podkreśla figurę. A przy jasnych pasemkach i śmietankowej cerze czerń będzie ci bardzo pasowała. Tak samo, jak to...

„To” okazało się garniturem z jedwabistego aksamitu w kolorze oberżyny, do którego Jilly wybrała przezroczystą bluzkę z gniecionej organdy w odcieniu kwitnącej magnolii.

- Potrzebny jest jeszcze tylko odpowiedni stanik, żeby przyciągał wszystkie spojrzenia... - mruknęła.

Liz jeszcze nigdy nie miała tak wytwornej bielizny. Zawsze stawiała na wygodę. Jednak dama w sklepie Rigby & Peller wymierzyła klientkę z dokładnością do milimetra i zaproponowała kaskady jedwabiu i koronek, które nie tylko przysłaniały wdzięki, ale też ozdabiały. Liz aż zazgrzytała zębami, gdy usłyszała cenę tych cudeniek, ale kupiła trzy biustonosze i jeszcze majtki do kompletu.

Liz została zmuszona do wybrania rzeczy, na które do tej pory tylko patrzyła, wmawiając sobie, że nie są dla niej odpowiednie. Ale teraz, za gorącą namową Jilly, zdecydowała się jeszcze na suknię wieczorową z malinowej krepy, wydekoltowaną i z długimi rękawami. Przylegała do ciała jak druga skóra. Idealnie podkreślała pełne piersi i krągłe biodra dziewczyny. Po raz pierwszy Liz zauważyła, że inne kobiety patrzą na nią z zazdrością. Od razu zapomniała o odwiecznych skrupułach. Jednak przeraziła się, gdy Jilly zapowiedziała:

- A teraz musimy zrobić próbę na właściwym terenie. Roger i ja jesteśmy zaproszeni w sobotę na oblewanie mieszkania. Możemy przeprowadzić, kogo chcemy. To idealna okazja, by przetestować nową pannę Everett.

Liz natychmiast wpadła w panikę. Czym innym jest nałożenie makijażu i nowego ubrania w zaciszu sklepu albo mieszkania, a czym innym pokazanie się w tym wszystkim zwłaszcza w towarzystwie obcych mężczyzn.

- Posłuchaj przemawiała jej Jilly do rozsądku. - Straciłaś mnóstwo czasu i, co ważniejsze, wydałaś furę pieniędzy nie po to, by siedzieć samotnie w domu. Idziesz z nami, nawet gdybym miała cię tam zaciągnąć siłą. Musisz przestać ukrywać się w cieniu. Kto wie, co ukaże światło?

Światło ukazało Geoffreya, młodego prawnika. Zobaczył Liz w aksamitnym garniturze i natychmiast poprosił, by go jej przedstawiono. Był miły, uprzejmy, najwyraźniej zainteresowany nową znajomą. Liz

natychmiast wykorzystwała jego podziw jako pożywkę dla swojej kielkującej wiary w siebie. Po raz pierwszy miała swoje życie towarzyskie, a gdy zabrzączał telefon, nie była to pomyłka. Dzwonił mężczyzna, który chciał się nią umówić. Oprócz Geoffreya poznała również Marcusa, artystę grafika, projektującego okładki na płyty kompaktowe i plakaty dla dużych firm fonograficznych. W odróżnieniu od ultrakonwencjonalnego Geoffreya, Marcus Steinberg zauważył Liz, gdy miała na sobie „małą czarną” podczas przyjęcia wydawanego przez kochanka Jilly, Rogera, dla uczczenia nagrody, którą dostał za projekt architektoniczny. Marcus powiedział Liz z podziwem, że „wygląda, jakby wyszła z obrazu Renoira”, i sam chciałby ją kiedyś namalować.

Z Geoffreym chodziła na premiery, koncerty, wernisaże i kolacje w eleganckich restauracjach. Mark nie lubił, gdy zwracano się do niego pełnym imieniem - zabierał ją natomiast do zadymionych pubów i klubów jazzowych, gdzie zasiadano wokół wielkich stołów. W chwilach, gdy muzyka cichła, rozmawiano głównie o sztuce. Mark próbował zaciągnąć Liz do łóżka, ale stanowczo mu powiedziała, że nie uznaje przypadkowego seksu ani zresztą żadnego rodzaju seksu, póki nie spotka właściwego mężczyzny, dopowiedziała w duchu. A od pierwszej chwili wiedziała, że Marcus nie jest tym jedynym. Jednak on, zamiast przestać ją zapraszać, jak się tego spodziewała, wrzucił tylko ramionami i powiedział: „W porządku, ale nie możesz mieć mężczyźni za złe, że próbował”, i zaraz spytał, czy pójdzie na retrospektywną wystawę w Galerii Tate.

W pracy nikt o niczym nie wiedział. Tam była dawną Liz Everett. Brakowało jej odwagi, by wypróbować nową Liz na Tomie Careyu. Zbyt wiele dla niej znaczył, aby mogła ryzykować porażkę. Poza tym jego stosunki z Melanie najwyraźniej bardziej się zacieśniły. Delikatne pędy, jakie wypuszczała wiara Liz we własne siły nie wytrzymałyby takiego natężenia rywalizacji. W ciągu dnia nadal więc była zwykłą ćmą. W motyla przeistaczała się dopiero wieczorem.

Po kilku miesiącach nocnych lotów poczuła, że może być pewna swojej kobiecości. Jej przyjaciel prawnik był w niej zakochany. Zapraszał ją częściej niż Mark, który otaczał się całym stadkiem kobiet i sprawiedliwie rozdzielał swoje łaski. Geoffrey nie proponował pójścia do łóżka. Był ostrożny i opanowany, raczej czciciel niż kobieciarz. Z tego powodu Liz nadal się z nim widywała. Natomiast Mark nie krył, na czym najbardziej mu zależy, i wierzył, że uzyskanie tego to tylko kwestia czasu. Nie dopuszczał innej możliwości. Według niego Liz po prostu się certowała. Nigdy by mu

nie przyszło do głowy, że zwyczajnie jej nie pociąga i że nie traktuje go poważnie od chwili, gdy się zorientowała, że i on nie traktuje poważnie niczego prócz sztuki. Jednak był zabawny. Zabierał ją w miejsca, których do tej pory nigdy nie odwiedzała. Poza tym, grał kluczową rolę w jej studiach nad damsko-męskimi stosunkami.

Pewnego dnia, gdy Geoffrey po raz trzeci zaprosił ją na kolację i siedzieli już przy kawie, spytał:

- Mam na jutro bilety na nowego Pintera. Pójdiesz ze mną?

- Z prawdziwą przyjemnością, ale czy jesteś pewny, że tak mało zorientowana osoba, jak ja nie będzie ci przeszkadzała? - Mimo tego żartu, Liz naprawdę się ucieszyła. Geoffrey chciał się z nią widywać nie dla jej ładnych strojów, lecz dla niej samej: kobiety, którą modne ubrania tylko ozdabiały, a nie stanowiły podstawy jej osobowości.

Nigdy mi nie przeszkadzasz. Wprost przeciwnie, dobrze mi z tobą. Nie wyobrażam sobie, by twoje towarzystwo kiedykolwiek mi zaciążyło. Uwielbiam czas, który razem spędzamy. Sięgnął przez stół po jej rękę. Kocham cię.

Liz zdumiało jedynie to, że wcale nie jest zdumiona. Oto przystojny mężczyzna, stanowiący świetną partię, mówi, że ją kocha, a ona to przyjmuje tak spokojnie, jakby słuchała prognozy pogody. Powinnaś być szczęśliwa, napominała się w duchu. Zaledwie kilka miesięcy temu rozpaczliwie obserwowałaś świat, siedząc w najdalszym kącie. Teraz wyciągają się do ciebie kochające ręce, by pomóc ci stamtąd wyjść, a ty potrafisz powiedzieć tylko: „Dziękuję, nie skorzystam”.

- Zresztą myślę, że już musiałaś wcześniej się zorientować - ciągnął nieśmiało Geoffrey. Chociaż z drugiej strony, niezbyt potrafisz okazywać uczucia, więc może nie było to dla ciebie aż tak bardzo oczywiste.

- Nie odparła Liz z uśmiechem, którego nie zrozumiał. - To moja wina... - Gdy spojrział na nią ze zdumieniem, ucisnęła mu rękę. - Tak, zauważyłam.

- Jednak nie podzielasz moich uczuć, prawda?

- Bardzo cię lubię. I lubię się z tobą spotykać.

- Tylko tyle? Widzisz we mnie jedynie miłego towarzysza?

- Na razie tak przyznała. Wiedziała jednak, że nigdy nie będzie między nimi nic więcej. Czowała się troszkę winna, bo Geoffrey był miłym, dobrym człowiekiem. Ale już inny mężczyzna zakotwiczył się w jej sercu. Utraciłaby wielką część siebie, gdyby został stamtąd wyrugowany.

- Ale nadal mogę się z tobą widywać? Przynajmniej w ten sposób będę mógł pracować nad prezentacją mojej osoby.

- Z przyjemnością ci na to pozwolę - zachęciła go z uśmiechem.

Akurat w tym momencie w restauracji pokazała się Melanie z Tomem Carreym. Szli między stolikami w kierunku Liz i jej przyjaciela.

- Nie do wiary! - sapnęła Melanie. - To nie może być nasza panna Everett!

Mężczyzna siedzący z Liz roześmiał się z czegoś, co powiedziała jego towarzyszka.

- O tak, to Liz - stwierdził Tom.

- Ale co ona z siebie zrobiła? - Ton Melanie groził zemstą każdemu, kto się przyczynił do tej metamorfozy.

- To chyba widać na pierwszy rzut oka.

Słyszac podziw w głosie Toma, Melanie warknęła:

- Pójdę i wszystkiego się dowiem. - Popędziła do przodu zanim zdążył ją zatrzymać. - No, no, co za niespodzianka... - zasyczała, stając przed Liz i Geoffreyem. - Nie poznaję cię, Liza. Co ty z siebie zrobiłaś? - I dlaczego? - dodała w duchu Melanie, pochylając się nad nimi w groźnej pozie. Od razu zwróciła uwagę na malinowy wieczorowy strój, śmietankową skórę, jaką hojnie ukazywał obszerny dekolt, idealny makijaż, lśnienie włosów z jasnymi pasemkami. To wszystko przydawało Lizie wiele uroku. - Jaka przemiana! Co się stało z workami, które zwykle nosisz?

- Wyrzuciłam je razem z popiołami - odparła pogodnie Liz. Głowę trzymała podniesioną, chociaż serce jej waliło jak młotem. Witaj, Tom powiedziała uprzejmie.

Mogłaby przysiąc, że jego usta wygięły się w kpiącym uśmiechu, ale pozdrowił ją tak samo uprzejmie.

Geoffrey wstał. Liz już miała przystąpić do przedstawienia wszystkich, ale Melanie ją wyprzedziła.

- Cześć - powiedziała. - Jestem Melanie Howard. Od dawna przyjaźnimy się z Liz.

Geoffrey wyczuł, że szykuje się jakaś podłość. Z zakłopotaniem spojrział na Liz. Ona jednak zachowała dobrą minę do złej gry.

- Mówiłam Tomowi, że to nie może być nasza pocziwa panna Everett. - Melanie nadal wylewała jad.

- Wieczorem się zmieniam - zaśmiała się Liz. Niespodziewanie zaczęła znajdować przyjemność w tej rozmowie.

- Jak piękny nocny motyl - wtrącił zręcznie Tom, uśmiechając się do Liz tak, że serce jej podskoczyło w piersi. Chwycił Melanie za łokieć i nie przejmując się jej wściekłym spojrzeniem, odciągnął do ich stolika.

- O co tu chodziło? - spytał zdumiony Geoffrey.

- Takie tam rozgrywki biurowe. Nigdy się nie przyjaźniłyśmy i nigdy się nie zaprzyjaźnimy. Ona po prostu lubi tak mówić. Dawno temu przez krótki czas mieszkałyśmy razem. Teraz ona jest „twarzą” w kampanii reklamowej nowej linii kosmetyków i perfum, którą prowadzi moja agencja. A Tom Carey to nasz dyrektor kreatywny.

- Och, rozumiem. Geoffrey chwilę milczał. Dlaczego powiedziała, że cię nie poznaje? - spytał w końcu.

- Chyba nie sądzisz, że do pracy też się tak stroję - zażartowała Liz.

- Więc stroisz się dla mnie? Spojrzał na nią z radością.

- A czy robiłoby ci różnicę, gdybym się tak nie ubierała i gdybym wyglądała inaczej?

- Muszę przyznać, że w pierwszej chwili zwróciłem uwagę właśnie na twój wygląd, ale zakochałem się w prawdziwej kobiecie, nie w opakowaniu.

- Jednak to okładka sprawiła, że chcesz przeczytać książkę?

- Chyba tak. Ale jakie to ma znaczenie? Ważne, że całkowicie mną zawładnęłaś.

- Tak, to naprawdę najważniejsze - powiedziała ciepło Liz.

Gdy dziesięć minut później wychodzili z restauracji, Liz nie obejrzała się, by sprawdzić, czy ktoś na nią patrzy. Jednak patrzył. Czula dreszczyk na plecach, tam, gdzie Melanie z chęcią wbiłaby nóż.

Następnego ranka, skoro i tak wszystko już się wydało, włożyła jedno z nowych, świetnie skrojonych ubrań, lniany garnitur w kolorze pistacji. Twarz umalowała zgodnie ze wskazówkami Jilly, na kark i po bokach twarzy puściła luźno parę rozjaśnionych kosmyków. I wyruszyła na pole walki.

Minęło kilka tygodni. Od czasu jej metamorfozy utarło się, że przed wyjściem do domu, koło szóstej, do Liz wpadają na pogawędkę i drinka Bertie Fry, Ben Webster i inni koledzy z zespołu. Ben, tak samo jak pozostali, był żonaty i dzieciaty, ale dał Liz do zrozumienia, że wystarczy jej jedno słowo, a nie ruszy pędem, żeby zdążyć na pociąg podmiejski do Purley. Jednak Liz nie zamierzała nic mówić.

Tego dnia przyszli dodatkowo Alec Sawyer i Ray Wallis, również członkowie zespołu.

- Znajdzie się jeszcze miejsce dla dwóch osób? - spytał Alec, pokazując butelkę.

- Proszę, ale są już tylko miejsca stojące - ostrzegła Liz. - Czy w domu nikt na was nie czeka?

- Owszem, czeka, ale tam nie mamy ciebie jako elementu wyposażenia - westchnął Ray.

Mój drogi, od lat jestem elementem wyposażenia tej agencji, a do niedawna nikt nie spojrział na mnie po raz drugi.

- Tak było zanim sprawiłaś sobie nowe obicia.

Wszyscy się roześmiali. Nagle w drzwiach stanął Tom Carey. Śmiech zamarł Liz na ustach. Po raz pierwszy szef pokazał, że wie o popołudniowych spotkaniach.

- Czy to fanklub Liz Everett?

- Chcesz dołączyć? spytał Bertie. - Pełnię funkcję sekretarza.

- A my jesteśmy dożywotnimi członkami - dodał Ben.

- Jako wpisowe przyjmujemy dobry alkohol - wyjaśnił Alec. - Może być whisky, gin...

- Wódka też? - Tom pokazał smirnoffa. - To moje podanie o przyjęcie do klubu. - Podał butelkę Liz.

- Podanie zostało zaakceptowane - powiedziała z trudem Liz. - Napijesz się dla potwierdzenia swojego członkostwa?

- Z chęcią.

Poszła przygotować drinka i zauważyła, że kubelek na lód jest pusty.

Nie ma już lodu - oświadczyła i zaraz przeklęła się za to, że stwierdza rzeczy oczywiste. Ale w obecności Toma nagle zgłupiała. Stała się niezręczna, jeszcze bardziej niż dawniej. Od spotkania w restauracji zaczęła zdawać sobie sprawę, że istnieje między nimi jakieś napięcie.

Nic dziwnego przy tej temperaturze - powiedział ze śmiechem w głosie. - Cieszę się, że moi autorzy spotykają się, by omówić postępy w pracy.

- Właściwie nie mówimy o niczym innym - przyznał Bertie.

- Wyobrażam sobie. No, ale skoro wszyscy tu już jesteście, powiem wam, że ludzie z Le-Beau chcą się z nami spotkać jutro, nie w piątek. - Odwrócił się do Liz. - Czy twoja prezentacja jest gotowa?

- Tak... - Pokazała tablice ze szkicami do scenariusza, rozwieszona na ścianie.

Podszedł obejrzeć rysunki. Gdy znów odwrócił się do Liz, jego oczy prześliznęły się po jej antracytowym kaszmirowym golfie i spodniach w tym samym kolorze.

- Prześcignęłaś samą siebie - pochwalił.

Liz o mało się nie zakrztusiła wódką. Po raz pierwszy dał znać, że zauważył zmianę, jaka w niej zaszła, chociaż wychwytywała baczny wzrok. Teraz znów poczuła iskrzenie. Nie mogła się odważyć, aby spojrzeć Careyowi w oczy, więc popatrzyła na zegarek. Było dwadzieścia pięć po szóstej.

- Panowie, przykro mi, muszę już iść - powiedziała z ulgą.

Masz randkę? - spytał zazdrośnie Ben.

Owszem. Szła dziś z Markiem do Whitechapel na wystawę czegoś, co on nazywał sztuką uliczną, chociaż dla niej było to zwykle *graffiti*.

- Szczęściarz...

Zakłopotana przenikliwym spojrzeniem Toma, Liz odwróciła się, by podnieść z podłogi szklanekę, którą ktoś tam odstawił. Alec zauważył naciągnięty materiał spodni na jej pośladkach i westchnął cicho. Liz gwałtownie się wyprostowała

- Wynocha! zawołała. Koniec wzdychania.

Liz zmieniła się zewnętrznie, ale nadal mówiła jak przedtem. Chórem się z nią pożegnali i grzecznie wyszli. Jednak Tom Carey nie ruszył do drzwi. Liz zabrała się do sprzątanania.

Tom wypił do końca swojego drinka i podał szklaneczkę Liz. Gdy ją brała, ich palce się dotknęły. Przeszył ją dreszcz. Tylko przy tym mężczyźnie doznawała takich uczuć. Wobec pocałunków Geoffreya i bliskości Marka pozostawała obojętna. Natomiast Tom, którego właściwie prawie nie знаła, powodował, że jej serce tłukło się w piersi jak oszalałe. W ciągu minionych, nieprawdopodobnych tygodni, krzew poczucia własnej wartości bardzo urósł, ale Carey miał moc ścinania go aż do korzeni.

Twój gabinet to teraz nowe biurowe sanktuarium? spytał.

Zawsze chętnie udzielam kolegom pomocy.

Wydaje mi się raczej, że woleliby, abyś im udzielała siebie.

Po raz pierwszy Liz nie potrafiła zripostować. Ostry język nie przyszedł jej z pomocą. Tom znów podszedł do deski kreślarskiej. Bez większego zainteresowania popatrzył na rysunki, a potem podniósł ten, nad którym właśnie pracowała.

- Co to jest? - spytał nagle zaciekawiony.

- Szkic domu mojego przyjaciela. Mam nadzieję, że uda mi się odtworzyć tę legendę. Rysowała willę z pamięci, taką, jaką zobaczyła pierwszego wieczoru: lśniąca jak lukier, oblaną światłem księżycy.

- Jest piękny. Włochy?

- Nie uwierzysz. To Kornwalia.

Skoro tak mówisz...

Dlaczego tak cię to zainteresowało? spytała zaskoczona jego tonem.

Właśnie czegoś podobnego szukałem. Okazało się niestety, że nie możemy skorzystać z domu na Karaibach, w którym chcieliśmy kręcić reklamę *L'amourense*. Ale ten byłby nawet lepszy. Czy twój... przyjaciel

pozwoliliby nam zrobić u siebie zdjęcia do dwóch spotów? Oczywiście zawarlibyśmy z nim standardową umowę. Reszta reklam jest gotowa, ale zaczynałam tracić nadzieję, że uda mi się zrobić ostatnie dwa spoty tak, jak mi się marzyło. A ten dom jest idealny.

Liz miała trudny orzech do zgryzienia. Z jednej strony nic nie uszczęśliwiłoby jej bardziej niż przysłużenie się Tomowi. Jednak z drugiej nie mogła znieść myśli o Melanie przyklejonej do Toma w miejscu, które uznawała za swój osobisty raj. Nie wiedziała też, czy Don się zgodzi, by jego domem zawładnęła ekipa filmowa. Bardzo mu zależało na zachowaniu prywatności. To, że dopuścił ją do swojego życia, Liz ceniła jak największy skarb. Po pierwszej wizycie została zaproszona na dwa długie, cudowne weekendy.

- Nie wiem - powiedziała w końcu. Właściciel nie lubi obcych.

- To nie potrwałoby długo. Trzy, cztery dni, najwyżej pięć. A dom idealnie nadaje się do naszych celów. Obiecuję, że nic nie zepsujemy i zostawimy wszystko w takim stanie, jaki zastaliśmy. Tom zamilkł, ale po chwili dodał: - Przecież nie chciałbym niszczyć twojego raj.

A jej się wydawało, że Don jest najbardziej przenikliwym człowiekiem na świecie.

- Bo właśnie tam jeździłaś, prawda?

Skinęła głową.

- A ten... przyjaciel... to ktoś wyjątkowy?

- Och, tak! Liz bezwiednie się uśmiechnęła.

- W żadnym wypadku nie zamierzam wystawiać na ryzyko tak wspaniałej przyjaźni - zapewnił Tom, kładąc akcent na słowo „wspaniałej”. - Ale byłbym ci bardzo wdzięczny, gdybyś zechciała spytać przyjaciela, czy nas przyjmie. I bardzo proszę, zrób to jak najszybciej, bo jeżeli odmówi, muszę szukać czegoś innego. Znowu spojrzał na szkic. Bardzo romantyczne miejsce...

- Tak. Już widzę Melanie, jak zbiega po tych schodach na taras...

- Zatrzymuję cię, a ty przecież spieszysz się na randkę - powiedział uprzejmie i rzucił jej nieodgadnione spojrzenie spod rzęs, za które każda kobieta oddałaby życie. - Dobranoc.

Wieczorem Liz zadzwoniła do Kornwalii. Ostatnio telefonowała tam w każdy weekend. Don zaproponował jej to, gdy opowiedziała mu o swojej metamorfozie. Był bardzo zainteresowany niezwykłą przemianą, a poza tym podczas rozmów zachęcał Liz by wytrwała. Teraz wytłumaczyła się, dlaczego dzwoni w środku tygodnia i przekazała prośbę Toma. Powiedziała też, że opłata wynosiłaby tysiąc funtów za dzień.

Ale John diMarco zadał jej pytanie, jakiego się nie spodziewała.

Czy twoim zdaniem można powierzyć panu Careyowi cudzą własność?

- Tak. Ręczę za niego - odparła bez wahania Liz.

- Wobec tego proponuję, żebyś go tu przywiozła. Porozmawiam z nim, ocenię go i dopiero wtedy podejmę decyzję. Poza tym będę miał okazję, by znów cię zobaczyć. Możecie przyjechać na weekend?

- Ja mogę, ale jego muszę o to zapytać.

- Dobrze. Daj mi znać.

- To dosyć krótki termin. Tom Carey może mieć już inne zobowiązania. - ostrzegła. Jak na przykład weekend z Melanie, dodała w duchu.

- Przyjedzie, jeżeli mu naprawdę zależy.

I Don oczywiście miał rację.

- Nic nie sprawiłoby mi większej przyjemności - odpowiedział Tom.

- To dość długa podróż - wyjaśniła Liz. - Proponuję, byśmy wyjechali w piątek koło południa albo w sobotę rano.

- W piątek. Chciałbym być tam jak najdłużej, żeby zobaczyć, czy wszystko wygląda tak, jak sobie wyobrażam. Kim jest twój... przyjaciel?

- Nazywa się John diMarco.

Tom zmarszczył czoło.

- Brzmi znajomo.

Liz go nie oświeciła. Niech sam się dowie.

Wieczorem zadzwoniła do Geoffreya i odwołała sobotnie spotkanie. Potem skontaktowała się z Markiem, z którym była umówiona na niedzielne popołudnie na wystawę w Greenwich. Wyjaśniła im, że musi wyjechać z Londynu w sprawach służbowych. Obaj byli rozczarowani. Nalegali, żeby się odezwała natychmiast po powrocie.

Do podróży była gotowa dużo wcześniej. Czekając na Careya, siedziała jak na rozżarzonych węglach. Tom zapukał do drzwi jej gabinetu o jedenastej.

Po przymierzeniu i odrzuceniu całego stosu rzeczy, postanowiła, że ubierze się zgodnie ze swoim nowym wizerunkiem: w obcisłe dzinsy i granatowy sweterek z wycięciem w szpic, obramowanym zieloną i białą lamówką. Makijaż nałożyła w ten sposób, że twarz wydawała się potraktowana jedynie wodą i mydłem, włosy luźno związała z tyłu jasną apaszką. Poprzedniego wieczoru umyła je i zrobiła sobie nowe jasne pasemka. Teraz w promieniach słońca lśniły złotem.

Tom też ubrał się jak na wycieczkę: spodnie w stylu Nantucket w odcieniu wyblakłej czerwieni, dopasowana kolorystycznie koszula włożona na biały podkoszulek i białe nogi w pantoflach Timberland. Rozpo-

znała ten styl. Kiedyś, podczas jednej ze swoich podróży do Ameryki, gdy czekała na samolot z New Bedford do Nantucket, widziała tak ubranych mężczyzn.

- Muszę ci przyznać, że umieram z ciekawości - oznajmił, gdy jechali windą. Palladiańska willa w kornwalijskiej dzicz!

- Uzbrój się w cierpliwość - poradziła uprzejmie Liz. - W odpowiednim czasie wszystko zostanie ci objawione.

- Liczę na to - odparł znaczącym tonem.

6

Tom jeździł granatowym saabem turbo 900SE ze składanym dachem. Liz знаła ten samochód. Jak na jej gust aż nazbyt często widywała wsiadającą do niego Melanie. Była ciekawa, jak Tom usprawiedliwił się przed Melanie - jeżeli w ogóle uznał to za stosowne - że bez niej wyjeżdża na weekend. Pewnie powiedział, że jedzie tak daleko na zachód z jej powodu, bo chce odpowiednią oprawę dla klejnotu, jakim jest ich gwiazda reklamy.

- Którędy pojedziemy? - spytał, wkładając torby do bagażnika.

- Wolisz szybką podróż, czy widoki jak z bajki?

- Chyba mamy czas na podziwianie pięknych pejzaży. Mówiłaś, że jesteście oczekiwani dopiero wieczorem.

Liz przysięgłaby, że w jego głosie usłyszała radość, ale zaraz zgaśniła się, że bierze własne życzenia za rzeczywistość.

- Tak, nie musimy się spieszyć. Jedź więc do rozjazdu. Potem tobą pokieruję.

Słońce jasno świeciło, ale wiał chłodny wiaterek. Jednak w wielkim samochodzie panowało przyjemne ciepło, a Liz, zgodnie ze słowami piosenki, była „ogrzewana przez miłość”.

- Dlaczego się uśmiechasz? - spytał, skręcając na zachód.

- Cieszę się z powodu weekendu - odparła i szybko dodała: - Poza tym, skoro mamy przed sobą długą drogę, na pewno pozwolisz mi poprowadzić ten piękny, drogi samochód.

- Jeżeli kierujesz tak samo, jak piszesz, nie będę miał żadnych obaw.

Ty może nie, ale ja tak, pomyślała. Cała ta podróż jest czymś, co do tej pory przeżywała jedynie w marzeniach. I nie miało znaczenia, że to wyjazd służbowy. Fakt, że jechała z Tomem, zakrawał na cud. Z początku była bardzo zdenerwowana, ale po jakimś czasie, gdy wdali się w miłą pogawędkę, zaczęła się uspokajać. Opowiadali sobie nawzajem o swoim dotychczasowym życiu. Ojciec Toma, znawca prawa antytrustowego, pracował w Departamencie Stanu. Jego matka była dziennikarką specjalizującą się w kwestiach polityki. Tom urodził się w Waszyngtonie. W przeciwieństwie do Liz, nie miał rodzeństwa. Tak samo, jak jego ojciec studia odbył na Wschodnim Wybrzeżu, w Dartmouth. Z początku również chciał zostać prawnikiem, szybko jednak uświadomił sobie, że mu to nie odpowiada, i zajął się reklamą. Zaczynał w firmie J. Walter Thompson w Nowym Jorku. W wieku dwudziestu czterech lat był już kierownikiem zespołu. Na przełomie lat dwięćdziesiątych pracował w ich londyńskiej filii, tak więc w Anglii nie czuł się obco. Potem łowcy głów upolowali go dla BBD&O, gdzie pracował przez pięć lat, zanim go skaptowano do agencji Hendricks-Mahona, których z kolei porzucił dla BB&B. Lubił różnorodność zadań, nieustanne wyzwania, napięcie i radość, gdy kampania reklamowa okazywała się sukcesem, a klient wracał z następnym zleceniem.

- Niektóre reklamy są obrażą dla rozumu zauważyła Liz. A już zwłaszcza amerykańskie. Nie obraż się, ale oglądałam reklamy w waszej telewizji i okropnie mnie to mierziło. Często dajecie kopniaki konkurentom. Reklama dyskredytująca rywala jest naprawdę w złym stylu.

- Zgadzam się. Dlatego podoba mi się praca w Anglii, gdzie takie rzeczy są zabronione. Jednak jest to bardzo skuteczny sposób. Działa jak nakładanie smaru na piszczące koła. Tak przynajmniej powiedział mi pewien Anglik. Natomiast wy zmuszacie ludzi, by usiedli i uważnie patrzyli. Zresztą tobie się to fantastycznie udaje.

Ostatnie zdanie Toma pozwoliło Liz uniknąć rozmowy na tematy, których nie chciała poruszać. Potem zaczęli dyskutować o muzyce. Liz z radością odkryła, że Tom, tak samo jak ona zna się na muzyce i lubi jej najrozmaitsze rodzaje, szczególnie jazz. Też uwielbiał Carmen MacRae, a Pata Metheny'ego nie tylko słyszał na płytach, lecz nawet był na jego ostatnim koncercie w Nowym Jorku. Zgodził się z nią również, że Stephen Sondheim jest godnym następcą Gershwina. Znał wiele jego utworów, które nigdy nie przewędrowały na drugą stronę Atlantyku.

- Mamy podobny gust - powiedział, gdy zgodnie przyznali, że nie ma nic lepszego jak fortepian, bęben basowy, perkusja i wokalista pokroju Elli, MacRae albo Franka Sinatry, którzy nadają standardom nowe

magiczne brzmienie. Tom włączył magnetofon. Rozległa się muzyka z *Company* Sondheima.

Zanim Liz się spostrzegła, minęli Basingstoke i Andover, i już zmierzali do Wincanton. Tom zaproponował, by zatrzymali się na lunch.

Był fantastycznym rozmówcą, i nawet gdy od czasu do czasu zapadało milczenie, Liz nie czuła się zakłopotana. Wreszcie w Exeter, mimo że nie wyglądał na zmęczonego, poczuła się zobowiązana do zastąpienia go przy kierownicy na ostatni kawałek drogi. Nie sprzeciwił się, a ponieważ popołudnie było piękne, złożył dach.

Liz z rozkoszą wystawiła twarz na gorące słońce i podmuchy wiatru. Czuła się szczęśliwa, że przebywa w towarzystwie Toma, prowadzi przy dźwiękach gitary Pata Metheny'ego, i że niedługo znów zobaczy Dona.

W doskonałym czasie przejechała przez Dartmoor i Launceston, potem Bodmin Moor i Truro. Wreszcie znaleźli się na ostatnim odcinku trasy. W Falmouth wybrała drugorzędne drogi, prowadzące do rzeki Helford.

Do willi zbliżyli się od południa, bo Don powiedział, że jest tam szosa prowadząca dnem doliny, którą samochody mogą podjechać po zboczu i dostać się na teren posiadłości. Nieświadomie pochyliła się do przodu.

- Już prawie dotarliśmy do celu - powiedziała.

Co takiego jest w tym miejscu? spytał zaintrygowany jej czułym tonem.

Zobaczysz - obiecała tajemniczo.

W tej chwili ukazał się ich oczom dom. Dziś nie wyglądał jak obsypany białym lukrem. Promienie skłaniającego się ku zachodowi słońca barwiły go na różowo.

- Doskonale rozumiem twój zachwyty wyszeptał Tom, widząc to piękno.

- A nie mówiłam - powiedziała tak natchnionym głosem, że Tom musiał na nią spojrzeć. Jednak Liz z uśmiechem patrzyła na Adelinę, która usłyszała samochód i pojawiła się na górnym tarasie.

- Adelino! Jesteśmy zawołała, wyskakując na podjazd.

- *Benvenuta!* - Adelina wyciągnęła ręce na powitanie.

- Jak dobrze znów tu być!

Spojrzenie Adeliny minęło Liz i spoczęło na Tomie, który wyjmował torby z bagażnika. Liz zauważyła, że oczy gospodyni rozbłysły. Tak, pomyślała z dumą. Czyż nie jest przystojny? Gdy ich sobie przedstawiała, ze zdziwieniem usłyszała, jak Tom pozdrawia Adelinę w jej ojczystym języku.

- Nigdy nie mówiłeś, że znasz włoski.

- Nigdy nie pytałaś.

- *Il signore* czeka na was ponagliła Adelina i poprowadziła ich przez dom na tylny taras, gdzie John diMarco siedział jak król w swoim fotelu. Słyszając, że nadchodzą, wstał.

Bogini! Twoje kroki rozpoznałbym wszędzie. - Dworsko ucałował ręce Liz. - Zresztą zmysł powonienia też zawiadamia mnie o twojej obecności. Z radością widzę, że jesteś coraz lepsza w swojej roli - dodał żartobliwie.

- Jeszcze nie osiągnęłam doskonałości, ale poprawiam się z przedstawienia na przedstawienie. - Odwróciła się do stojącego z tyłu Toma. - Chciałabym panu przedstawić Toma Careya. Tom, poznaj Johna diMarco, znanego wielbicielom jako „Don”.

Mężczyźni podali sobie ręce.

- Witam, panie Carey. Miło mi pana poznać - powiedział uprzejmie Don.

- Nie odmawia się zaproszeniu na Olimp.

Don klepnął go po ramieniu.

Widzę, że doskonale się porozumiemy. Zresztą moja bogini nie przywozłaby nikogo *antipatico*. Proszę, usiądźcie i pozwólcie mi poczęstować was chłodnym napojem. Na pewno jesteście zmęczeni po tak długiej podróży. Bogini, możesz pełnić honory pani domu, gdy twój przyjaciel będzie dokładnie wyjaśniał, do czego potrzebna mu jest moja willa?

Tom zwięźle opowiedział o swoim pomysśle.

- Hm... i to puszcza w telewizji?

W kinach też. Myślę o dwóch scenach. Jedna o zachodzie słońca. Sądząc po tym, jak teraz wygląda niebo, będzie przepiękna. A druga przy pełni księżyca, która przypada za dziesięć dni.

- Czy postać, wokół której budujecie fabułę, zasługuje na taką scenę?

- Jest doskonała - powiedziała Liz, podchodząc z drinkami. Wprost stworzona do kolorowego filmu. Czarne włosy, bardzo jasna cera, szafirowe oczy. Jeżeli pozwolisz, mistrzu, sfilmować ją tutaj, perfumy będą się sprzedawać na hektolitry.

Mogę ją sobie wyobrazić - mruknął Don. Ale powiedz, dlaczego to nie ty jesteś dziewczyną od perfum jak marzenie?

- Dlatego że Melanie, dzięki poprzedniej kampanii, już zaistniała w świadomości publicznej - wyjaśniła Liz. W reklamie przyzwyczajenia klientów są najważniejsze.

- Ale masz w tym jakiś udział?

- Liz napisała szkic scenariusza - powiedział Tom. - I całą historijkę. Jest również autorką hasła, dzięki któremu kampania okazała się niezwykle skuteczna.

- A jak się pan dowiedział o moim domu?

- Przez przypadek zobaczyłem rysunek Liz i spytałem ją, co to za miejsce.

- Gdzie był ten rysunek? - spytał Don Liz.

- W moim gabinecie.

- Mam nadzieję, że dasz mi go w prezencie, gdy już skończysz. A właściwie zaproponuję jeszcze coś innego. Namaluj mój dom w czasie, gdy pan Carey będzie się zajmował filmem. Tylko takiej zapłaty od was zażądam.

- Och, ale moja obecność jest zbędna przy robieniu zdjęć. Swoją pracę skończyłam, zanim kampania doszła do tego etapu.

Więc wyświadczyć mi tę uprzejmość. Wiesz, jak bardzo cenię twoje towarzystwo.

- Ja... - Liz spojrzała z zażenowaniem na Toma. Wypowiedź gospodarza, choć miła i uprzejma, była jednak zwykłym szantażem.

- Obraz Liz, mimo że jest utalentowaną malarką, to niewielka cena - przyznał Tom.

- Nic więcej nie żądam - powtórzył Don.

Było to powiedziane lekkim, ale stanowczym tonem.

- Skoro pan diMarco wybrał sobie taki rodzaj zapłaty... zwrócił się Tom do Liz, patrząc jej w oczy. - Czy ty się też zgadzasz?

- Owszem, jeśli nie masz nic przeciwko temu - odparła ostro.

- A więc umowa stoi.

- Jeszcze jedno: jak długo zamierzacie tu być? - spytał Don.

- To zależy od pogody. Jeśli nadal będzie tak ładnie, a prognozy są korzystne, liczyłbym dzień na przygotowania, dwa na filmowanie i jeszcze jeden na zrobienie porządku. W najgorszym wypadku najwyżej pięć dni.

- Doskonale. Bogini będzie moimi oczami i uszami. Agentką, czy też łączniczką, jeśli można to tak nazwać. Chcę, żebyście wszystko z nią załatwili. Czy to panu odpowiada?

- Oczywiście - powiedział Tom.

Ale Liz była niespokojna. Jaką grę prowadzi Don? Liz bardzo nie odpowiadało skakanie na paluszkach wokół Melanie. Zamierzała tylko przedstawić Toma Donowi, a potem przyglądać się pracy ekipy z boku, chociaż z najwyższym zainteresowaniem, bo po raz pierwszy byłaby obecna przy kręceniu filmu na podstawie jej scenariusza. Poza tym Tom

organizował wszystko po swojemu, bez wątpienia z namowy Francois Jourdaina, który należał do klientów ściśle nadzorujących kampanię. No a teraz Don stawiał ją pośrodku sceny, wyznaczając rolę „agentki”. Nagle z przykrością zdała sobie sprawę, że gospodarz nie tylko umie przekonać do swojego punktu widzenia, lecz również potrafi manipulować ludźmi. Jednak Tom nie poddałby się tak łatwo, gdyby miał coś przeciwko takiemu rozwiązaniu. Liz wyczuwała między mężczyznami może nie tyle napięcie, ile lekkie zawirowania powietrza. Miała też nieprzyjemne wrażenie, że Don wbija Tomowi szpile. Dlaczego? Czy go nie polubił? Co mu się mogło nie spodobać w Careyu?

- Bogini? ponaglił ją Don, gdy nie odpowiadała.

Zastanawiałam się, jak pogodzić oba zajęcia: malowanie obrazu i pomoc Tomowi.

- Ach... tak zdolna kobieta, jak ty chyba podoła temu bez trudu. Liz roześmiała się.

- Czy pan zawsze dostaje to, czego pragnie?

- Tak, jeśli pragnę wystarczająco mocno.

Liz poczuła, że się rumieni pod spojrzeniem Toma.

Don uznał sprawę za załatwioną.

- Skoro mamy dziś śródziemnomorską pogodę, kolację zjemy na dworze - oświadczył wesoło. Sprawdził godzinę na zegarku Braille'a i dodał: - Chyba już czas, by pokazać wam wasze pokoje. Bogini, tobie dałem pokój Botticellego. Pan Carey zamieszka w pokoju Rafaela. Nazywam pokoje według obrazów, które w nich wiszą - wyjaśnił Tomowi. To taka moja drobna próżnostka. Bogini, znasz ten dom, więc zaprowadź, proszę, swojego przyjaciela.

- Teraz rozumiem, dlaczego jesteś wielbicielką opery - powiedział Tom, gdy już szli po schodach z pięknie rzeźbioną balustradą. - Ale on chyba nie śpiewa od lat. Jak go poznałaś?

- To długa historia - zbyła go Liz. Nie zamierzała zwierzać się z tego nikomu, a już na pewno nie Tomowi Careyowi.

- Jestem dobrym słuchaczem.

- Może innym razem.

Odwróciła się i napotkała takie spojrzenie, że szybko popatrzyła w bok.

- To twój pokój - powiedziała nerwowo, otwierając drzwi.

Już od progu rzucił im się w oczy portret Wawrzyńca Wspaniałego.

- Spróbuję zgadnąć: na twoim Botticellim jest Wenus. Czy właśnie dlatego nazywa cię boginią?

Liz wzruszyła ramionami.

To cześć tej długiej historii? zapytał kpiąco. Mam nadzieję, że kiedyś mi ją opowiesz.

- Gdy lepiej cię poznam rzuciła lekko Liz.

O to możemy się postarać.

Otworzyła i zamknęła usta. On z nią flirtował!

- Gdzie jest twój pokój? - spytał.

- Tutaj. - Liz wskazała głową drzwi po drugiej stronie korytarza. Nic więcej nie zdołała powiedzieć.

- O której proszą na kolację?

- O ósmej.

- Więc zapukam do ciebie o wpół do ósmej, dobrze?

Dobrze - zgodziła się słabym głosem.

Przywiozła swoją najnowszą sukienkę, głównie po to, by pokazać Donowi, jak daleko już zaszła na drodze do pełnej wiary w siebie, ale gdy wyszła spod prysznic, umalowała się i uczesała, a potem ubrała się i przejrzała w lustrze, zabrakło jej odwagi. Fakt, sukienka była ładna, bardzo kobieca, dzięki kilku warstwom szyfonu w odcieniach karmelu, od mlecznego do palonego cukru, z drapowanym gorsecikiem na wąziutkich ramiączkach i spódniczką sięgającą połowy łydek. Nagle jednak Liz zaczęła się obawiać, że dekolot jest za głęboki. Gdy w sklepie wyszła z przymierzalni, zbiegły się wszystkie ekspedientki i wychwalały ją pod niebiosa. Ale teraz, widząc siebie w lustrze tak, jak zobaczy ją Tom Carey, przejmowała się nie tym, że pokaże nagie ramiona, lecz głęboko wyciętym dekoltem gorseciku. Próbowwała podciągnąć materiał, ale nic z tego nie wyszło. I nie chodziło o to, że wygląda nieprzyzwoicie, bo tak nie było. Raczej czuła się... nadmiernie wyeksponowana. Nie chciała robić się na Demi Moore, nawet jeżeli jej Figura na to pozwalała. Już zamierzała się przebrać, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Z przerażeniem spojrzała na zegarek. Dochodziło wpół do ósmej. Tom! O, Boże... spędziła za dużo czasu przed lustrem.

Proszę, jeszcze chwilkę - zawołała nieprzytomnie, biegnąc do szafy. Ale drzwi się otworzyły i Tom stanął w progu. Pewnie usłyszał tylko „proszę”.

W panice okręciła się na pięcie i znalazła się twarzą w twarz z Careym. Delikatny szyfon zawirował wokół jej długich nóg. Tom znieruchomiał. Miły uśmiech na kilka sekund zamarł mu na ustach. Przez parę sekund tak stali, patrząc na siebie, ale Tom szybko odzyskał panowanie nad sobą.

Dobry Boże! zawołał. - Punktualna kobieta! Nie spodziewałem się, że zobaczę takie zjawisko.

I pewnie widzisz nic tylko to, pomyślała. Nic dziwnego, że zachowuje się jak człowiek, który dostał młotem w głowę. Przecież wyglądam jak ostatnia idiotka. O, Boże, po co ja kupowałam tę przeklętą sukienkę! Ale cóż, stało się.

Tom miał na sobie ciemnoszary garnitur od Armaniego, stonowany i elegancki. Gdy uprzejmie odstąpił krok od drzwi, by mogła przejść, ledwo się powstrzymała, by nie uciec biegiem. Czuła na sobie jego wzrok. Była pewna, że jest czerwona nie tylko na twarzy, ale też na dekolcie.

Don czekał na nich na południowym tarasie. Stół był nakryty. Zamiast obrusa leżały pięknie haftowane serwetki, wyznaczające miejsce każdego biesiadnika. Równiutko poustawiano bogatą zastawę: osiemnastowieczne zdobione srebro i delikatną porcelanę, szklanki i kieliszki z rżniętego kryształu. Wysokie białe świece płonęły w sztormowych latarniach, chroniących płomień przed powiewami wiatru. Pośrodku stołu stała czara ze świeżo zerwanymi, cudownie pachnącymi pąkami róż. Na niebie jaśniał rogalik księżycy.

- Och, jak uroczo! zachwyciła się Liz.

- Ty jesteś urocza powiedział z galanterią Don. Mam rację, prawda? - spytał Toma.

Przecież pan zawsze ma rację zripostował Carey.

- Opowiedz mi, jak jesteś ubrana poprosił Don.

W sukienkę z karmelowego szyfonu - odparła krótko.

Bogini często się nie docenia wyjaśnił Tomowi Don. Czy mógłby mi pan opisać tę sukienkę?

- Miękką, powiewną i bardzo kobiecą.

- Lubuje się pan w niedopowiedzeniach - stwierdził z uśmiechem Don. - Proszę - zwrócił się do Liz, klepiąc krzesło obok swojego fotela. - Usiądź koło mnie. Mamy szampana, więc możemy wypić za wasze powodzenie na planie filmowym.

Przyszła Adelina z szampanem w kubelku z lodem. Miała na sobie krwistoczerwoną, aksamitną suknię, odsłaniającą jej przepyszne nagie ramiona. Uszy ozdobiła długimi, rubinowymi kolczykami.

- Dziś mamy fetę oświadczył radośnie Don.

Pewnie dlatego ubrał się w hiszpański strój: krótkie bolerko, riuszki przy szyi i mankietach, pomyślała Liz, Don Giovanni lat dziewięćdziesiątych? - zastanawiała się w duchu.

- Niezbyt często mogę cieszyć się takim wieczorem - mówił dalej Don. - A w moim wieku należy wykorzystywać każdą miłą okazję. Pannie Carey, czy zechciałby pan czynić honory gospodarza domu?

- Mam na imię Tom.

- No dobrze, wobec tego Tom, nalej nam, proszę, szampana.

Gdy już mieli pełne kieliszki, Don wznosił toast.

- Za *L'amoureuse!* Wypił do dna. Sprytna nazwa. Pokazujecie perfumy, a w rzeczywistości sprzedajecie miłość, prawda? - Mówił łągodnie, miękko, a nawet z obojętnością, ale szpila znów ukuła.

- Nie, nieprawda sprzeciwił się Tom. Miłości nie można kupić. My sprzedajemy jedynie marzenia.

- Ach... każdy człowiek o czymś marzy. Ty pewnie też masz swoje marzenia.

- Oczywiście, trudno żeby było inaczej.

Powinam przerwać tę wymianę zdań, zanim się rozwinie prawdziwy słowny pojedynek, pomyślała ponuro Liz.

- Jakie kulinarne niespodzianki nas czekają? - spytała.

- Cierpliwości. Niedługo zobaczysz - odparł tajemniczo Don. - Ale nie spodziewaj się ambrozji, nawet jeśli twoim zdaniem to Olimp. Ja nie jestem Zeusem, mimo że mam obok Herę-Junonę.

On mówi o mnie! uprzytomniła sobie Liz wstrząśnięta komplemtem. Don usilnie stara się, żeby Tom zwrócił na mnie uwagę! W jakiś sposób Don zrozumiał, że Kocham Careya, ale zdaje sobie również sprawę, iż Tom o tym nie wie. Używa więc silnych bodźców, żeby mu to uświadomić. Dlatego zażądał, abym była jego „agentką” podczas zdjęć. Szkoda tylko, że nie potrafi zmusić Toma, by mnie zauważył i zapragnął. Rozumiem, że chcesz mi pomóc, powiedziała mu bez słów, ale to nie jest najlepszy sposób. Muszę sama dawać sobie radę, popełniać własne błędy, a potem się na nich uczyć. Takim błędem było, na przykład, założenie wydekoltowanej sukienki. Liz postanowiła, że przy pierwszej okazji wyjaśni to wszystki Donowi.

Don siedział u szczytu, Adelina w drugim krańcu, a Tom i Liz zajmowali miejsca naprzeciwko siebie przy dłuższych bokach. Na zakąskę zjedli świeże figi owinięte plasterkami *prosciutto*. Potem gospodyni podała pieczeń jagnięcą przyprawioną czosnkiem i rozmarynem, z kartofelkami po lyońsku i fasolką flażelot. Na deser jedli purpurowe winogrona, nektarynki, gruszki i brzoskwinie z własnej cieplarni, a także różnego rodzaju sery. Do każdej potrawy zaserwowano odpowiednie wina z włoskich winnic Dona. Gdy odeszli od stołu, by wypić kawę w salonie, Tom powiedział z zachwytem:

- Nawet jeżeli pan nie przyznaje się do tego, że jest Merlinem, Adelina z pewnością jest Morgana le Fay.

Adelina, która zdaniem Liz znała angielski o wiele lepiej, niż się do tego przyznawała, przyjęła komplement łaskawym skinieniem głowy i porozumiewczym uśmiechem.

Uczta była godna Lukullusa. Na czas posiłku nastąpiło zawieszenie broni. Szpile zostały odłożone. Potem jednak Liz znów wzmogła czujność.

- Posłuchamy muzyki? spytał Don, gdy nalano już kawę.

Liz z radością się zgodziła.

- Muzyka nada wszystkim ostateczny, idealny szlif oznajmiła. Don wstał i razem z Adelina poszli do domu.

- To nie czarodziej, to czarownik oświadczył Tom.

- Całe to miejsce jest magiczne.

- Ale przede wszystkim na ciebie ten mężczyzna rzucił czar - powiedział Carey, przesuwając Liz spojrzeniem.

- Zmienił moje życie... - Nawet teraz nie ufała Tomowi na tyle, by opowiedzieć mu o magicznym wieczorze, wyjawić prawdę o swoim stłumionym poczuciu wartości i o wielkiej zmianie, jaka w niej zaszła dzięki słowom niewidomego mężczyzny.

- Mam nadzieję, że kiedyś usłyszysz opowieść o tobie i diMarco.

- Może, gdy poznamy się lepiej - odparła wymijająco, marząc, by taki dzień nadszedł. Już teraz tak pragnęła Toma, że z trudem opanowywała emocje.

- Bardzo bym tego chciał.

Podobam ci się tylko dlatego, że przy Donie rozkwitam, pomyślała z żalem. Czowała się bezbronna. Już dawno nauczyła się radzić sobie z mężczyznami o naturze drapieżców, ale z Tomem to się nie uda, bo cały czas balansowała na skraju przepaści. Dlaczego nie potrafiła okazać mu prawdziwych uczuć. Oddałaby duszę, gdyby tego zażądał. A jednak... gdy wszedł do pokoju przed kolacją, zobaczyła błysk w jego oku. Nawet mimo braku doświadczenia, miała dość kobiecej intuicji, by zdać sobie sprawę, kiedy mężczyzna nagle zaczyna traktować ją inaczej. A Tom Carey właśnie zmienił swój stosunek do niej. Spojrzała na Toma z ukosa. Przyglądał się jej bacznie. Pilnuj się! - poleciła sobie, bo lata złych doświadczeń nauczyły Liz przygotowywać się na najgorsze. Od chwili, gdy tu przyjechali, Don sprawiał, że Tom zaczynał być świadomy kobiecości Liz. Ale ta zmiana mogła być jedynie reakcją klienta na nowe opakowanie towaru, niczym więcej

Don i Adelina wrócili na taras, a z domu rozległy się czyste tony *Beau Soir* Debussy'ego w wykonaniu Adeliny. Liz już rozpoznawała jej aksamitny głos. Po pierwszym pobycie w willi kupiła wszystkie dostępne płyty zarówno Dona, jak i Adeliny. Teraz zamknęła oczy i zatopiła się w muzyce.

Adelina zaśpiewała kilka pieśni: *Cichą miłość* Hugona Wolfa, potem Schumanna *Księżycową noc*, a skończyła jedną z tych, które Liz najbardziej lubiła: *Après un reve* Gabriela Faure. Liz, mimo uniesienia pięknem muzyki i głosu, zdała sobie sprawę, że wszystkie pieśni mówiły o miłości. Ty podstępny szatanie, pomyślała z rozpaczą. Musisz z tym skończyć! Musisz!

Gdy wybrzmiała ostatnia nuta, Liz westchnęła i powiedziała:

Wspaniałe, precudne. Dziękuję, Adelino.

- Tak, to było niewiarygodnie urocze - zgodził się spokojnie Tom. -
Ja też dziękuję.

Adelina rzuciła mu spojrzenie spod rzęs i uśmiechnęła się.

- A pan, *signore*, nie zaśpiewa? spytał Tom.

- Dzisiaj nie. Może jutro.

Jeszcze dłuższy czas prowadzili przyjacielską pogawędkę. Obaj mężczyźni rozmawiali głównie o Ameryce, którą Don dobrze znał, bo wiele razy tam występował. W końcu gospodarz wstał.

Dla starego człowieka jest już za późno - oświadczył. Ale wy sobie nie przeszkadzajcie. Dla was dwojga noc jest tak młoda jak wy sami. Skończcie kawę. Śniadanie będzie o wpół do dziesiątej. Podszedł do Liz pewnym krokiem, jakby doskonale widział, pochylił się i pocałował ją w rękę.

- Dobranoc, moja piękna Galateo. Dobranoc, Tom.

Tom, który również wstał, życzył Adelinie i Donowi dobrej nocy. Usiadł dopiero, gdy zniknęli w domu.

Można o nim powiedzieć wszystko, prócz tego, że jest stary - rzucił złośliwie. - Pewnie ma niewiele ponad pięćdziesiąt lat.

- Pięćdziesiąt osiem.

- Od jak dawna go znasz?

- Mam wrażenie, że od zawsze.

- Kiedyś był bardzo sławny.

- Tak. Teraz możesz się chwalić, że poznałeś żywą legendę.

- A ty ją chyba przeżywasz. - Gdy Liz milczała, dodał: - A może jesteś jedną z jego licznych... zabawek?

- Don nie widzi broniła Liz gospodarza. Ma mało okazji do rozrywki, a lubi się bawić.

Ach, te cholerne szpile, pomyślała Liz. Za późno, by ostrzec Dona. Trudno, co się stało, to się nie odstanie.

- Chyba już pójde do siebie - powiedziała.

Tom się nie poruszył.

- Gdzie go poznałaś? We Włoszech?

- Nie.
- A więc, gdzie?

Liz miała wielką ochotę powiedzieć o wszystkim Tomowi, ale jego poprzednie słowa pozbawiły ją całej ufności. Przedstawienie roli Dona w jej przemianie oznaczałoby prawdziwą spowiedź. Odśloniłaby całe swoje wnętrze, a tego nie mogłaby zrobić nie mając pewności, że Tom ją zrozumie i doceni. Nie wiedział nic o barykadach, jakie wzniosła wokół siebie, ani o tym, że nowa Liz jest wypełniona dawnym cierpieniem z powodu odrzucenia i nieustannie ponoszonych klęsk.

Gdy tak milczała, Tom powiedział:

- Wobec tego rozumiem, że to zamknięta księga. Oczywiście, księga czarów, bo z tego, co do tej pory widziałem i słyszałem wnioskuję, że wasz mistrz to prawdziwy czarodziej. Niestety ja jestem tylko człowiekiem - dodał z żalem.

- Ja też.
- Naprawdę? Myślałem, że boginią.
- To tylko...
- Jeszcze jedna z jego małych próżnostek. Których ma tak wiele.
- A ty, ile ich masz?

Roześmiał się niespodziewanie. Napięcie ustąpiło.

- No, tak już lepiej - ucieszyła się Liz. Dlaczego bez przerwy się złościysz? Przecież nie masz powodu. Chyba zawsze dostajesz to, czego chcesz.

- A skąd ty możesz wiedzieć, czego chcesz?
 - Możliwości skorzystania z tego domu.
 - Ach, tak... dom. Udostępniony za nieprawdopodobnie małą opłatą. Niektórym nigdy nie można dogodzić - warknęła poirytowana Liz.
 - Pewnie dlatego, że mają większe oczekiwania niż inni.
- No właśnie! - Liz zerwała się z ławki. - Już późno.

Dopiero dochodzi północ. Magiczna godzina. Czyżbyś zamierzała znów zmienić się w Kopciuszkę? Cóż, w bajce wszystko może się zdarzyć, przynajmniej mam taką nadzieję...

Coś w jego głosie kazało Liz uciekać. Tom ruszył za wypłoszoną dziewczyną.

- Widzę, że znasz ten dom na tyle dobrze, by iść po ciemku. Zresztą dopiero co jaśniałaś takim światłem, że lampy nie byłyby potrzebne. Czy on jest alchemikiem?

- Przedtem mówiłeś, że jest czarodziejem. Zdecyduj się na coś.
- Już się zdecydowałem, ale chciałbym znać kilka jego zaklęć.

W korytarzu na piętrze świeciła się tylko jedna lampa, ale przez okna przedostawało się światło księżycy, więc nie było zbyt ciemno.

- Gdy chodzi o ciebie, jakoś nie potrafię sam znaleźć odpowiednich magicznych słów - dokończył po chwili.

Doszli do drzwi pokoju Liz. Zanim zdążyła je otworzyć, Tom chwycił ozdobną klamkę i zagroził drogę. Liz znalazła się między drzwiami a Careyem. Gdy położył drugą rękę na jej ramieniu, zadrżała, ale nie zdobyła się na protest. Zamknęła oczy, bo nie była w stanie patrzeć mu w twarz. Poczula, jak się ku niej pochyla.

Może czyni przemówią lepiej niż słowa... - szepnęła i dotknęła wargami jej ust.

Pod Liz ugięły się kolana. Musiała mocno się go przytrzymać. W pierwszej chwili pocałunek był delikatny, łagodny jak dotknięcie motyli skrzydełek, ale gdy rozchyliła usta, Tom namiętnie wpił się w jej wargi. Liz zachwiała się i całym ciałem przylgnęła do ukochanego. Drżała. Jeszcze nigdy nie była całowana w ten sposób. Geoffrey całował ją z nabożną czcią, Mark - chciwie. Tym razem czuła się jak porwana przez wir, w którym płynęła poza swoim ciałem, umysłem, świadoma jedynie istnienia ust Toma. Jego oddech zmienił się. Tom przyciągnął ją jeszcze mocniej do siebie, ręką objął pierś. Nagle poczuła męską twardość i wpadła w panikę. Odsunęła się gwałtownie.

Nie!

Dlaczego? Próbował ją przyciągnąć z powrotem.

- Bo... bo wybiła północ, a nie mam pewności, w co mogłabym się zmienić!

Zanim zdążył ją powstrzymać, wysliznęła się z jego ramion. Wpadła do pokoju i zatrzasnęła drzwi. Oparta o nie drżała i walczyła o oddech.

Gdy w końcu mogła się już ruszyć, rzuciła się na łóżko i cała wewnętrznie rozedrgana ukryła twarz w kołdrze. Jej serce waliło tak mocno, że aż słyszała w materacu głuchy odgłos. Usta pulsowały. Podczas pocałunku czuła się tak, jakby spadała z wysokiej góry w przepaść. Tylko brak doświadczenia ustrzegł ją przed całkowitą utratą panowania nad sobą; dzwonek alarmowy tak długo dzwonił do drzwi rozumu, że wreszcie go usłyszała. Gdy po jakimś czasie usiadła, ręce jeszcze jej drżały. Z trudem się rozebrała, ale już nie zmyła makijażu, po prostu padła na łóżko jak pijana, żeby przeżywać pocałunek wciąż na nowo, głęboko poruszona zarówno emocjonalnie, jak i fizycznie.

Gdy wreszcie zasnęła, nadal o nim śniła.

7

Spała twardym snem. Obudziła się dopiero za dwadzieścia pięć dziesiąta. Natychmiast wyskoczyła z łóżka. Już była spóźniona na śniadanie, a Don lubił punktualność. Liz szybko wzięła prysznic, uczesała się, ubrała w granatowe bermudy i landrynkoworóżową bluzkę - umalowała jeszcze usta i rzęsy, i pobiegła. Mimo że miała na nogach płócienne sandały, Don usłyszał jej kroki. Gdy stanęła na tarasie, podniósł głowę. Tom, który siedział tyłem do domu, spojrzął przez ramię.

- Dzień dobry! Przepraszam za spóźnienie. Zasnęłam. - Uśmiechnęła się, ale nie popatrzyła im w oczy.

- Witaj, Łazarzu - zawołał ze śmiechem Tom i podsunął jej krzesło.

- Mam przez to zrozumieć, że zmartwychwstałaś? zachichotał Don.

- Jeszcze nie. Stanie się to dopiero po śniadaniu - zripostowała.

- Więc jedz! Kawa jest świeżo parzona, a rogaliki są jeszcze ciepłe.

Tom nalał jej kawy i podsunął koszyk z pieczywem.

- Dziękuję - powiedziała. Nadal nie mogła spojrzeć na Careya bez czerwienienia się. Straszliwie ją to złościło.

- Mamy kolejny piękny dzień - oświadczył Don. - Co zamierzacie robić?

- Jeśli pan pozwoli, chciałbym obejrzeć dom i ogród - poprosił Tom. - Muszę się zorientować, jak zaplanować zdjęcia.

- Oczywiście, oczywiście! Ale to nie zajmie wam wiele czasu. Może po lunchu wzięlibyście moją łódź i popłynęli rzeką?

- Jaką ma pan łódź? spytał Tom.

-Żaglową *dinghy*. Dziś akurat wieje odpowiedni wiatr. Tak więc rano oglądacie dom, po południu żeglujecie, a wieczorem zapraszam na galową kolację. Co wy na to?

- Zbyt pięknie, żeby mogło być prawdziwe.

Dziś przysłała kolej Toma na wbijanie szpil. W jego głosie słychać było wyraźną kpinę, ale Don tylko uśmiechnął się wyrozumiale.

A jednak to prawda. Łódź jest przycumowana przy molu. Pójdziecie na dół, do groty, wyjdziecie tylnymi drzwiami i traficie na ścieżkę prowadzącą do schodów. U ich stóp znajdziecie łódkę. Rzeka ma mnóstwo zakoli oraz zatoczek idealnych do opalania się i pływania. Ja muszę trochę popracować. Piszę autobiografię - to znaczy nagrywam swoje wypowiedzi, a potem ktoś to przepisuje. Staram się podyktować przynajmniej tysiąc słów dziennie, czasami nawet więcej, jeśli akurat nawiedza mnie muza.

Z przyjemnością przeczytam pańską książkę - powiedział Tom.

Mam nadzieję. A teraz, wybaczenie, zabieram się do pracy.

Liz, która zamierzała przeprowadzić z gospodarzem spokojną rozmowę, znów nie miała do tego okazji. Don bez wątpienia był wytrawnym strategiem. Dopracował taktykę do ostatniego szczegółu. Zapomniał tylko o jednym. Tom Carey nie zobaczy jej w kostiumie plażowym, bo nic miała. Uważała, że jest zbyt wielka, by się pokazywać prawie nago.

- O czym myślisz? - spytał Carey. Wydawało się, że czyta z ludzkich twarzy tak samo łatwo, jak Don czytał z głosów.

Jeszcze nigdy nie żeglowałam - odparła.

le ja tak, więc się nie bój. Ze mną będziesz bezpieczna - dodał dziwnym tonem.

Liz spojrzała na Toma. Na jego ustach i w oczach zauważyła uśmiech, który już nauczyła się rozpoznawać. Ze złością doszła do wniosku, że Tom się z nią droczy. Dla niego wczorajszy pocałunek był tylko zwykłą grą. A skoro Tom okazał się mistrzem, musiał mieć we flirtowaniu ogromną wprawę. Pewnie nawet trudno mu zliczyć, ile kobiet już całował, pomyślała z goryczą.

Troski zawsze zaostrzały Liz apetyt, więc zmiotła z talerza dwa świeże rogaliki z dżemem brzoskwiniowym i wypila dwie filizanki kawy. Jednocześnie prowadziła z Tomem rozmowę na tyle swobodną, na jaką tylko mogła się zdobyć. Po śniadaniu oznajmiła, że idzie po notes i ołówek, ale Tom już miał to przy sobie.

Zawsze jestem na wszystko przygotowany - wyjaśnił i spojrzał na Liz bardzo wymownie. Jako chłopiec należałem do skautów - dodał z uśmiechem.

Jednak podczas oglądania domu i ogrodu był poważny. Przywiózł ze sobą pentaksa i zrobił serię zdjęć. Na jednym z nich znalazła się również Liz - patrzyła w zamyśleniu na ogród.

- Dzięki temu ludzie mi uwierzą, że to raj - wytłumaczył. Widząc ciebie, nikt nie będzie wątpił. Znów flirtował!

- Kto cię nauczył fotografować? - spytała.

Kolega z college'u. Razem mieszkaliśmy w internacie. Teraz on pracuje w Hollywood. Jest pierwszym asystentem reżysera, ale marzy, by zostać głównym reżyserem. Zanim zajął się filmami fabularnymi, zrobił kilka moich reklamówek. Dzięki jego kontaktom w studiach filmowych pozwolono mi kręcić w miejscach, do których inni nie mają dostępu. A to, czego się od niego nauczyłem, przydaje się przy takich okazjach, jak dzisiejsza...

Potem zwiedzili dom, na wypadek gdyby Tom potrzebował scen z wnętrza. Na widok obrazów, mebli, porcelany i kryształów cicho zagwizdał.

- Pieniądze i dobry smak - pochwalił. - Prawdziwy koneser z naszego mistrza. - Uwaga zabrzmiała dość dwuznacznie, ale Tom nie podjął wątku.

Gdy wszyscy spotkali się na lunchu wybornym *risotto al salto* Tom gorąco dziękował gospodarzowi.

- Tutejszy plener jest nawet lepszy, niż się spodziewałem. Po prostu idealny. A fontanna wydaje mi się wręcz doskonała. Twarz Melanie widziana przez kurtynę wody będzie wyglądać fantastycznie... Jestem panu niezmiernie wdzięczny.

Don machnięciem ręki zbył zachwyty Careya.

- Bogini powiedziała mi, że można ci ufać, a ja zawsze jej wierzę.

- Bardzo ci dziękuję - zwrócił się Tom do Liz.

Gdy już wstawali od stołu, Adelina powiedziała Liz, że coś dla niej ma, i pokazała jednoczęściowy kostium plażowy w swoim ulubionym ciemnoczerwonym kolorze, z plamami jasnego różu.

Liz spojrzała z zakłopotaniem na Dona, ale skoro nie mógł jej zobaczyć, nie mógł też zareagować. Jednak Adelina to zauważyła i widocznie szybko go poinformowała po włosku o swoim spostrzeżeniu, bo bardzo uprzejmie powiedział:

- Poprosiłem Adelinę, żeby pożyczyła ci jeden ze swoich kostiumów, bo pewnie nie pomyślałaś, by zabrać swój... czy masz tu jakiś?

- Nie - odparła Liz i w duchu dodała: A ty o tym dobrze wiesz.

- Jeżeli ty nie masz kąpielówek, chętnie ci pożyczę - zaproponował Tomowi. - Zawsze staram się zaspokajać potrzeby gości.

- Zauważyłem - stwierdził Tom. - Ale rzeczywiście, nie przywiozłem ze sobą kąpielówek.

- Wobec tego Adelina ci przyniesie.

Liz poszła do pokoju z twardym postanowieniem, że położy kres gierkom Dona. Może i miał najlepsze intencje, ale Tom najprawdopodobniej myślał o tym jak najgorzej, więc nie mogła pozwolić Donowi na przeciąganie struny. Zdecydowała, że musi mu zaraz o tym powiedzieć.

Przymierzyła kostium. Z przodu sięgał prawie do szyi, ale dekolt z tyłu był niemal do końca kręgosłupa. W żadnym wypadku nie mógł należeć do Adeliny. Miał włoską metkę ze znanej mediolańskiej firmy i z całą pewnością nikt go jeszcze nie nosił. Kobieta w wieku Adeliny nie założyłaby tak skrojonego kostiumu. Zresztą Liz też nie zamierzała w nim paradować, choć musiała przyznać, że na niej wyglądał dobrze. Poza tym pasował jak ulał. Założyła na wierzch szorty i bluzkę, i postanowiła, że w łodzi nie usiądzie tyłem do Toma.

Czekał na nią na tarasie. Trzymał duży wiklinowy kosz. Skierowali się przez ogród do grotty, otworzyli wymyślnie zdobione żelazne tylne drzwi i znaleźli ścieżkę prowadzącą do schodów. Na dole stał niewielki hangar, w którym kołysał się przycumowany kanarkowożółty *dinghy*.

Tom pomógł Liz wsiąść, podał jej kosz, potem sam wskoczył do łódki. Podniósł żagiel, i odczepił cumę. Lekki wietrzyk wyprowadził ich ze strumyka, który wpływał do rzeki. Słońce mocno paliło, ale wiaterek chłodził. Liz usiadła i wystawiła twarz do promieni.

- Ciągle milczysz zauważył po dłuższej chwili Tom.

- Nie mam nic do powiedzenia.

- To coś nowego! Zastanawiasz się nad sytuacją, czy czekasz na magiczne słowa „zjedz mnie”?

Liz odbiła piłeczkę.

- Wszystkie oferty mają być wręczone w zwykłych kopertach i otworne jednocześnie.

Co dalej?

- Trzeba wybrać najlepszą.

- Bez żadnych wskazówek?

- Wybierasz na ślepo albo wcale.

Zbyt późno zdała sobie sprawę, że weszła na niebezpieczny teren. Skrzywiła się na swoją głupotę, gdy Tom mruknął:

- Och... oczywiście.

Już zamierzała dać ostrą ripostę, ale nie zdążyła.

- Uważaj! - zawołał. - Zakręcam.

Liz skuliła się. Nad jej głową świsnął żagiel.

- Zobaczmy, co jest na rzece zaproponował. Powinno tam być sporo zachęcających zakątków.

Zależy, o jakiego rodzaju zachęcie myślisz, powiedziała sobie w duchu.

- O co mu chodziło, gdy mówił o galowej kolacji? - spytał Tom, gdy już płynęli w górę rzeki.

- Nie mam pojęcia. Przypuszczam, że szykuje niespodziankę. To bardzo tajemniczy i zaskakujący człowiek.

- Zauważyłem.

Słyszając jego suchy, nieprzyjemny ton, Liz spytała oskarżycielsko:

- Nie lubisz go, prawda?

- Dlaczego tak uważasz?

- Bo słyszę, co i jak o nim mówisz.

- On mnie też nie lubi. Nie sądzisz?

Liz nie chciała nawet myśleć, dlaczego Don mógłby nie darzyć sympatią Toma, więc nic nie odpowiedziała.

- A jeśli chodzi o niespodzianki, ty sama jesteś jedną wielką niespodzianką podjął rozmowę Tom.

Pozostałości kompleksu na punkcie wzrostu i wagi spowodowały, że na słowo „wielka” Liz skurczyła się wewnątrz.

- Ile razy jeszcze się jeszcze się zmieszasz? A może przedtem stosowałaś kamuflaż, bo atakowało cię zbyt wiele drapieżników?

Żebyś wiedział, pomyślała. Bardzo chciała mu o wszystkim opowiedzieć, ale bała się i była zbyt nieśmiała, by zdobyć się na zwierzenia.

- To należy do tej samej historii, którą trzymasz przede mną w tajemnicy prawda?

- Wierz mi, nie ma tu nic do opowiadania.

- Tak więc odrzuciłaś wszystkie swoje śluby oprócz ślubu milczenia?

Tom coraz bardziej przypierał ją do muru, więc wybrała najłatwiejszy sposób ucieczki.

- Teraz popływam - oznajmiła. Wstała, zdjęła bluzkę i szorty, wskoczyła do wody i ruszyła przed siebie ostrym kraulem. Gdy wreszcie się wynurzyła, żeby złapać oddech, łódź znajdowała się dosyć daleko. Żagiel był spuszczone, ale nie zobaczyła Toma ani na pokładzie, ani na brzegu. Nagle czyjeś ręce załapały ją za kostki u nóg i pociągnęły pod wodę. Szybko wypłynęła, wypłuła wodę i zobaczyła roześmianą twarz Toma.

- A więc jesteś też syreną?

Skoczyła do niego. Przez chwilę walczyli jak rozbrykane nastolatki. Wreszcie Liz rzuciła wyzwanie:

- Ścigamy się do łodzi! Natychmiast popłynęła kraulem, którego nauczyli ją ojciec i bracia, znakomici pływacy. Jednak Tom był silniejszy, szybko ją dogonił i pierwszy dotarł do burty.

- Bardzo dobrze pływasz - pochwalił. - Masz ładny styl.

- Ty też nie jesteś najgorszy.

- W college'u należałem do zespołu pływackiego. - Zręcznie wskoczył na pokład i podciągnął Liz za rękę.

Z włosów i ciała spływała jej woda. Mokry kostium przylepił się do skóry. Przez krótką chwilę stali pierś w pierś, ale Liz zaraz się odsunęła i usiadła. Pamiętała, by nie odwracać się do Toma tyłem i nie pokazywać nagich pleców. Zaczęła suszyć ręcznikiem włosy, ale spoglądała ukradkiem na Careya. Wycierał strumyczki wody z twarzy, szerokich ramion i muskularnej piersi. Był w doskonałej formie. Nie miał zadyszki i... problemów z męskością.

- O co chodzi? Wyrósł mi ogon?

Zbyt późno uświadomiła sobie, że nie spuszcza wzroku z jego granatowych kąpielówek. Schowała się pod ręcznik. Gdy się odsłoniła, płynęli znów w górę rzeki.

- Jest tak ciepło, że warto wyjść na brzeg i powygrzewać się na słońcu - powiedział. Poza tym szybciej wyschną ci włosy... Nie miałem pojęcia, że są takie długie. Słowo daję, prawdziwa syrena.

- Muszę uważać ze słońcem. - Liz odrzuciła propozycję. Nie zamierzała w tym wyciętym kostiumie kłaść się koło Toma. Chciała jak najszybciej się ubrać. Łatwo ulegam poparzeniom.

- Dlatego, że masz jasną skórę. Na szczęście twój zaprzyjaźniony mag, który widzi i wie wszystko, zaopatrzył nas nie tylko w ręczniki, ale też w kremy, ciemne okulary i, nie uwierzysz, w termos z schłodzonym winem! Nic nie pozostawia przypadkowi, prawda?

Nie, ten stary diabeł na pewno umie przewidzieć każdą sytuację, przyznała w duchu Liz.

- Jak na angielskie warunki woda jest bardzo ciepła - mówił dalej Tom, kierując *dinghy* do małej, spokojnej zatoczki. Na brzegu rosła kępa dzikich krzaków różowej azalii. Kwiaty zwisały się nad wodę.

- Tak, ale przecież działa magia - przyznała Liz.

- Ja jednak wolę rzeczywistość.

Czy to przytyk? - zastanawiała się. A jeżeli tak, to do kogo lub czego? Do niej, Dona, tego weekendu, podczas którego są poddawani manipulacjom? A może do wszystkiego razem?

Tom przywiązał łódkę do nisko wiszącej gałęzi i przyciągnął ją do brzegu, żeby Liz mogła bez trudu wysiąść. Wyjął kosz i dwa ogromne

ręczniki, które rozłożył na trawie. Wygodnie wyciągnął się na jednym z nich. Liz usiadła na drugim.

Doskonale powiedział. Zanim zaczniesz się opalać, nasmaruję cię olejkami.

- Nie, dziękuję. I tak niedługo będziemy się zbierać.

Dlaczego? Spojrzał na zegarek. Dopiero dochodzi trzecia. Kolacja jest o ósmej. Możemy tu zostać aż do zachodu słońca. Pogrzebał w koszyku i wyciągnął wielką butlę Ambre Solaire faktor 15. Liz chciała ją wziąć, ale Tom cofnął rękę. - Najpierw plecy oświadczył. - Sama nie sięgniesz, więc służę pomocą. Odwróć się. Liz ani drgnęła.

Czysty jedwab... - szepnął, podnosząc jej wilgotne włosy. Powąchał parę kosmyków. Czyżbym wyczuwał perfumy? Myślałem, że nigdy nie kupujesz marzeń.

Liz nierówno związała włosy wstążką.

- No, odwróć się - nakazał.
- Przecież mogę zostać w cieniu.
- Dlaczego?

Nie znalazła odpowiedzi, więc zacisnęła zęby i spełniła polecenie, ukazując Tomowi długą linię pleców i podniecający łuk pośladków opiętych wilgotnym elastycznym kostiumem.

Tom zaczął ją nacierać mocnymi pociągnięciami ręki, zaczynając od karku a kończąc tuż przy dolnym brzegu kostiumu. Liz zamknęła oczy. Poddała się rozkoszным uczuciom. Zaczęło w niej narastać napięcie, po chwili ogarnęło ją całą, a potem pozostawiło omdłąłą i spokojną.

- Gdybyś była kotem, w tej chwili mruczałabyś zauważył ze śmiechem Tom.

- Jak moja Cesarzowa szepnęła Liz.

Ach, Cesarzowa i Bogini! To musi sprawiać kłopoty protokolarne.

- W moim domu rządzi Cesarzowa oświadczyła Liz, otwierając oczy. Teraz zajął się jej nogami. Palce miał zwinne i silne.

- Kiedyś mieszkałaś z Melanie, prawda? spytał. Teraz zaczął smarować stopy.

Tak. - A więc mu powiedziała. O czym jeszcze mówiła? zastanawiała się w duchu Liz.

- Siedź spokojnie, jeszcze nie skończyłem. Jednak wolisz niezależność?

- Taka już jestem.

Z wyboru czy z konieczności?

- Z przyzwyczajenia.

- Więc jednak nie zmieniałaś całkowicie swojego wizerunku?
- Składniki mikstury są dokładnie takie same, jak przedtem odparła stanowczo.
- Tyle tylko, że znacznie je ulepszyłaś.
- Oboje zajmujemy się reklamą i dobrze wiemy, ile znaczy opakowanie.
- Ale przy pierwszorzędnym produkcie przyciągające wzrok opakowanie to już zbytek luksusu.

Jeżeli jednak nie dasz atrakcyjnego opakowania, kto zwróci uwagę na produkt, choćby nawet doskonały?

- Mimo to na dłuższą metę nawet najlepsze opakowanie nie przyczyni się do sprzedaży złego produktu.
- Nie, ale pomoże w sprzedaży dobrego.
- Mógłbym się założyć, że grasz w tenisa tak samo dobrze, jak pływasz. Zaśmiał się głośno. Potrafisz odbić każdą piłkę.
- Mam w tym duże doświadczenie.

Tom zabrał się do smarowania olejkami swoich ramion i klatki piersiowej.

- Pięknie wyglądasz w tym kostiumie, który Adelina łaskawie ci pożyczyła.

Liz natychmiast usiadła, przyciągnęła kolana do piersi i objęła nogi ramionami.

Gdy kładziesz towar na wystawę, musisz być przygotowana na to, że ludzie będą go oglądać – stwierdził rzeczowo Tom. Masz w sobie zdumiewający zestaw kontrastów. W jednej chwili jesteś niezauważalna w obszernych, workowatych sukienkach, a już w następnej stajesz się kimś, kogo nie sposób przeoczyć. Jednak gdy tylko usłyszysz pochlebny komentarz, natychmiast zamykasz się w skorupie. Przecież musisz zdawać sobie sprawę, jak wspaniale wyglądasz w tym kostiumie.

- Nie jest mój!
- Owszem, ale też nie Adeliny. Może by na nią pasował trzydzieści lat temu. Ten czarownik prowadzi swoje gierki, a ja nie widzę powodu, dla którego nie miałbym do niego dołączyć. I chociaż właściwie nie wiem, na czym tak naprawdę polegają, wyrobiłem już sobie pewne zdanie.

Liz otworzyła usta, ale uświadomiła sobie, że nie może nic powiedzieć, jeżeli nie chce wyjawiać swojej własnej gry.

- Zostawisz to bez riposty? Czyżbym wygrał tę rundę?

Liz zebrała wszystkie siły.

- Nie zaliczyłabym cię do ludzi, którzy godzą się z przegraną.

- A do jakiej grupy byś ranie zaklasyfikowała?

Jeszcze raz zapędził ją do narożnika.

- Jesteś najlepszym dyrektorem kreatywnym, jakiego poznałam w swojej karierze.

Uśmiech Toma powiedział jej, że znów nie wybrnęła z sytuacji. Jedwabisty głos tylko to potwierdził.

- Ale przecież jeszcze mnie nie znasz.

Liz aż sapnęła. Czy to zaproszenie?

- Wiesz, co miałam na myśli - broniła się.

- Właśnie na tym polega mój kłopot. To, co robisz, i to, co mówisz, nie zawsze idzie ze sobą w parze. Oczywiście nie chodzi mi tu o twoje teksty reklamowe, które nieodmiennie są doskonałe.

- Znam cię tylko z pracy - stwierdziła z rozpaczą.

- Łatwo to zmienić.

- Ale... Myślałam, że ty i Melanie...

- Melanie nie ma na mnie monopolu.

- Może po prostu się mną bawisz - powiedziała. Nie zdążyła się powstrzymać.

- Owszem, mógłbym, ale tego nie zrobię.

Liz już miała wybuchnąć oburzeniem, ale jej na to nie pozwolił.

- Jestem z tobą szczerzy, jeśli chodzi o Melanie. Mam wobec niej pewne... zobowiązania i w miarę możliwości je wypełniam. Nigdy nie próbowałem tego ukrywać. Zresztą świadczą o tym plotki, które ciągle słyszysz w biurze.

A więc wiedział, co się o nim mówi! I mało go to obchodziło.

- Natomiast ty - mówił dalej - nie jesteś ze mną szczerą. Na przykład nie powiedziałaś mi, jaką rolę w twoim życiu odgrywa ten manipulator żyjący w domu z lukru. Jaki czar na ciebie rzucił? Jak doprowadził do tego, że ze zwykłej brązowej ćmy zmieniłaś się w rajskiego motyla. Bo to jego sprawka, prawda? Nie może cię zobaczyć, ale dokładnie wie, ile już osiągnęłaś.

- Dlaczego o tym mówisz?

- Bo się obawiam, by cię nie przekonał, że jesteś Sharon Stone, gdy w rzeczywistości jesteś małym, uciekającym Czerwonym Kapturkiem. I nie rób sobie złudzeń. Mimo ojcowskiej maniery, Don to groźny zły wilk.

Liz rzuciła się jak dźgnięty ostrogą koń.

- Nieprawda! Nie wyrządził mi najmniejszej krzywdy! Jak możesz traktować mnie tak protekcyjnie?

- Nigdy bym się nie ośmielił. Masz cięty język, ale nie aż tak bardzo, jak ci się wydaje. A teraz przestań już dolewać oliwy do ognia. I tak jest gorąco. Koniec z pretensjami.

Sam lubisz podsycać ogień. Melanie wprost się przy tobie pali. Widząc jego uśmiech, aż zazgrzytała zębami.

- Najwyraźniej sprawa Melanie nie daje ci spokoju.

Liz podniosła się z całą godnością, na jaką ją było stać.

- Nie ma sensu kontynuować tej rozmowy. Równie dobrze możemy wracać, skoro zepsułam ci miłe popołudnie.

Przecież tego nie powiedziałem.

- Nie musiałeś.

- Czyżbyś wkładała mi słowa w usta?

- Wiem, co chciałabym ci włożyć w usta.

- Knebel? A może pięść?

Liz czuła, że traci panowanie nad sobą. Instykt jej podpowiadał, że powinna uciekać zanim do reszty rozwścieczy Toma, bo już wyczuwała narastającą w nim złość.

- Nie zamierzam tu zostać, żeby dalej się z tobą kłócić - mruknęła.

Więc może zostaniesz z innego powodu? Niespodziewanie chwycił Liz za kostki nóg i pociągnął. Upadła na trawę. W jednej chwili unieruchomił jej ręce nad głową, ciałem przygwoździł ją do ziemi i zaczął całować z łapczywością mężczyzny, który już zbyt długo się powstrzymywał. Sam jego dotyk i zapach spowodowały, że gniew Liz zmienił się w rozkosz. Rozchyliła usta, zamknęła oczy, a on całował tak gwałtownie, niemal jakby ją karał. Ale zaraz zdał sobie sprawę, że nie musi przyciskać dziewczyny z całej siły, więc przeniósł ręce z nadgarstków na ramiona. Zsunął ramiączka kostiumu i zaczął głaskać nagie piersi Liz. Jej brodawki natychmiast zareagowały. Gdy wziął jedną do ust, Liz wygięła się w łuk od przejmującej słodyczy, która wypełniła ją całą. Tom znów jak iskra rozpałił uczucia Liz. Płonęła pod dotykiem jego ust, rąk i języka, ale nawet w rozgorączkowanym stanie zdawała sobie sprawę, że Carey też traci kontrolę nad sobą.

Nagle przez mgłę upojenia zaczęły do nich docierać dźwięki: oklaski, kocia muzyka, gwizdy i śmiechy. Oboje natychmiast oprzytomnieli, bo uświadomili sobie, że mają widownię. Liz podniosła głowę i zobaczyła motorówkę, którą płynęło kilku nastolatków. Wychyleni przez burtę z zachwytem bili brawo i zachęcali kochanków do dalszych wysiłków, nie skąpiąc przy tym wulgarnych gestów. Twarz i szyja Liz pokryły się rumieńcem ciemniejszym niż jej kostium. Odepchnęła Toma z siłą zwielokrotnioną przez wstyd i jednym ruchem nacignęła ramiączka. Potem

przetoczyła się na bok i patrzyła na motorówkę przez zaslonę spadających na twarz włosów.

Tom też był czerwony. Oddychał szybko i ani na chwilę nie spuszczał zamglonego wzroku z Liz. Motorówka powoli się oddalała. W zatoczce znów zapadła cisza.

- No, nic się nie stało - powiedział łagodnie, jakby uspokajał spłoszonego konia. Już odpłynęli.

Wyciągnął rękę, ale Liz nie podała mu dłoni. Nie miała pojęcia, że w jej oczach maluje się przerażenie złapanego w sidła królika. Zobaczyła, że twarz Toma się chmurzy.

- Jesteś z tych, co rozpalają mężczyznę, a potem go odpychają? - rzucił pogardliwie i pochylił się, by zebrać ręczniki.

Liz nie miała wątpliwości, że jest wściekły. Brzydził się takimi kobietami. Nazywał je Uciekającym Czerwonym Kapturkiem. Skąd mógł wiedzieć, że Liz mimo swoich lat, nie ma żadnego doświadczenia? Albo czy mógł zdawać sobie sprawę, że przepełniają ją tak gorące uczucia, że aż się boi, by się nie przelały? Wydawała mu się odważna, a w rzeczywistości Liz, jak zawsze widziała na horyzoncie strach przed odrzuceniem, który czał się jak stado hien. Zresztą nie dziwiła się, że Tom nie potrafi zrozumieć sprzeczności jej charakteru. Sama ich nie pojmowała.

Ubrali się, zachowując lodowate milczenie. Bez słowa też wypłynęli w drogę do domu. Liz przyjęła milczenie Toma jako oznakę, że nie daje on złamanego grosza za to, iż można jeszcze naprawić stosunki między nimi.

Niezdolna do przezwyciężenia braku wiary w siebie, usiadła tyłem do Careya. Głowę trzymała wysoko, chociaż wszystko w niej krzyczało: „No dobrze, zaspokoję twoją ciekawość!”. Rola Sharon Stone rzeczywiście była poza jej zasięgiem, natomiast rolę Uciekającego Czerwonego Kapturka mogła grać z zamkniętymi oczami.

8

Gdy dopłynęli do mola, Liz wysiadła z łódki i bez jednego słowa pobiegła do domu. Schody przemierzyła przeskakując po dwa stopnie naraz i zatrzasnęła Tomowi przed nosem drzwi grotu, jakby w ten sposób mogła odgrodzić się od całej tej parszywej, chociaż powstałej wyłącznie z jej winy sytuacji. Oparła się o drzwi, wyprostowała spięte ciało, wytarła nos i oczy, bo to nie był odpowiedni moment na płacz. Ze łzami musiała poczekać, aż znajdzie się bezpiecznie w swoim pokoju.

Wchodząc do ogrodu, zobaczyła, że koło Dona ktoś siedzi. Tylko tego jej brakowało! Tak bardzo chciała w samotności pochować swoje marzenia. Zamiast tego będzie musiała odegrać rolę swojego życia. Oby tylko Don, wytrawny aktor, nie zauważył, że to tylko gra. Już i tak wiedział za dużo. Trzeba ukryć przed nim fakt, iż jego intryga skończyła się fiaskiem.

Gościem Dona okazał się młody, przystojny, brodaty blondyn. Wykapany wiking, pomyślała. Na jej widok wstał. Był prawdziwym olbrzymem.

Wyczulony na najmniejszy ruch powietrza, Don spytał:

- Bogini, to ty? Chodź, przedstawię ci mojego przyjaciela, Dietera Schullera. Dieter, poznaj pannę Elizabeth Everett, moją... córkę chrzestną.

Ręka Liz utonęła w wielkiej dłoni Dietera. Młodzieniec uklonił się nisko.

- Wolę „Bogini”. Uśmiechnął się czarująco. Doskonale mówił po angielsku, chociaż wyczuwało się leciutki niemiecki akcent.

- Dieter jest moim podopiecznym. Przyjeżdża każdego lata na miesiąc, wtedy zmuszam go do ciężkiej pracy.

- Bas? - zgadywała Liz.

- Tak, wspaniały bas. Pewnego dnia ten chłopak będzie miał świat u stóp.

- Przy tobie, na pewno stwierdził buńczucznie Dieter.

- A gdzie Tom? - spytał Don. - Słyszałem tylko twoje kroki.

- Przywiązuje łódkę.

- Szybko wróciliście, ale mam nadzieję, że miło spędziliście popołudnie.

- Galowa kolacja jest na twoją cześć? - zwróciła się Liz do Dietera. Zdołała uniknąć pułapki.

- Milcz! - zawołał Don, i żartobliwie pogroził jej palcem. - To miała być niespodzianka.

- Już miałem niespodziankę. Spotkałem zjawiskowo piękną kobietę - stwierdził Dieter.

Liz popatrzyła w niebieskie jak u dziecka oczy. Pełne podziwu spojrzenie zadziało jak balsam na jej rany. Oto nadarzyła się okazja zdobycia doświadczenia, którego tak bardzo dziś potrzebowała.

Po kilku minutach Tom przyszedł na taras. Dieter siedział koło Liz na balustradzie, najbliżej jak wypadało, i po mistrzowsku flirtował z dziewczyną. Widać było, że ma w tym wieloletnią praktykę. Dziwne, pomyślała Liz, kokietując wielbiciela. Wcale jej nie pociągał, chociaż był bardzo atrakcyjny. A nawet przystojniejszy niż Tom - wyższy, lepiej zbudowany, poza tym czarujący. Jednak dla Liz równie dobrze mógłby być kłodą drewna. Tymczasem wystarczyło, by Tom tylko na nią spojrział i już serce jej waliło, po skórze przebiegały dreszczyki, w żyłach płonął ogień. Dlaczego z Dieterem potrafiła swobodnie flirtować, a przy Tomie zachowywała się jak idiotka? Czy tak właśnie na kobietę wpływa miłość? Wypala jej mózg?

Do Toma zaczęła się odnosić z wymuszoną uprzejmością, jak do obcego, z którym nie chce się nawiązywać znajomości. W końcu i tak nic by nie osiągnęła, więc nie warto było nawet próbować.

Don oznajmił, że kolacja będzie wyjątkowym wydarzeniem. Poprosił więc gości, żeby spróbowali odpowiednio nastroić swoje dusze. Więcej nie chciał powiedzieć. Wkrótce mieli się sami przekonać, o co chodzi.

Liz zrozumiała plany gospodarza, gdy tylko weszła do swojego pokoju. Na łóżku leżała czarna suknia, półkrynolina we wczesnowiktoriańskim stylu, z głębokim dekoltem i kaskadami koronek *chantilly*. Oczywiście jeden z kostiumów Adeliny. Ale z jakiej opery? Liz zobaczyła czarny jedwabny wachlarz, haftowany w fiołki. No jasne! Yioletta¹.

¹ Bohaterka opery *Traviata* Giuseppe Verdiego (przyp. tłum.).

Liz omal nie wybuchnęła histerycznym śmiechem. Nikt przy zdrowych zmysłach nie pomyślałby, że taka krzepka dziewczyna umiera na suchoty. Z rozpaczy, owszem. Ale nie na płuca. Przyłożyła suknię do siebie. Uznała, że wygląda w niej doskonale. Tyle że nie miała nastroju na galowe kolacje. Don wiedział, że Dieter ma dziś przyjechać, i znał zamiłowanie Liz do przebierania się. Znow więc pozwolił sobie na manipulację. Postanowił pokazać Tomowi, jak ona pięknie wygląda w operowych kostiumach, jak przeobraża się w zupełnie inną osobę. Sprytnie, ale to strata czasu.

Aż się wzdrgnęła na wspomnienie poranka. Głupio okazała swoje uczucia. Nie mogłaby tego zrobić wyraźniej, nawet gdyby napisała piosenkę i wynajęła zespół muzyków, by ją zaśpiewali Tomowi. Musiałby być z kamienia, żeby nie zrozumieć jej reakcji. Ale Tom Carey to nie kamienny posąg, to stuprocentowy mężczyzna. Liz przypomniała sobie ich pocałunek. Poczowała pewną dumę, bo przecież naprawdę pobudziła go tak samo, jak on ją. Tom jednocześnie podniecał i przerażał Liz, która nie miała żadnego seksualnego doświadczenia. Kłopot polegał na tym, że jego namiętność wzbudził tylko kostium plażowy z głębokim wycięciem, bo przecież nie ona sama.

Westchnęła z rozpaczą. Przyszła jej do głowy pewna myśl. Tak - postanowiła - nie mam nic do stracenia. Dlaczego więc nie dostosować się i nie zagrać?

Właśnie wyginała się i kręciła, żeby zapiąć na plecach haftki, gdy do pokoju weszła Adelina. Gospodyni była już ubrana. W szeleszczącej tafetowej sukni w ciemnoczerwonym kolorze, z brylantami na szyi, w uszach i na rękach prezentowała się jak królowa.

Wyglądasz wspaniale! - zawołała Liz z podziwem.

- **Grazie.** Przyszłam ci pomóc.

- Gdybyś mogła mi zapiąć haftki... Nie mogę do nich dosięgnąć.

Liz spojrzała w lustro. Bardzo się sobie spodobała. Tym razem miała perukę blond. Czerń kostiumu podkreślała śmietankowy odcień ramion. Falbanki i koronki falowały pońtanie przy każdym ruchu. Adelina nauczyła Liz, jak chodzić w takiej sukni drobnymi, posuwistymi kroczkami. Wtedy będzie sprawiała wrażenie, jakby płynęła nad podłogą. Teraz biżuteria: naszyjnik z pięciu sznurów pereł i ametystów. Do kompletu kolczyki oraz bransoletka. Wreszcie wzięła wachlarz z jedwabiu, piór i paciorków przypominających fiołki.

- **Che bellezza!** powiedziała z zachwytem Adelina. Prawdziwa Yioletta! Chodź, niech cię zobaczy *U signore*.

John diMarco i Dieter siedzieli w pokoju muzycznym, obaj w wieczorowych ubraniach z epoki: koszule z koronkowymi żabotami i mankietami, haftowane fraki, białe rękawiczki. Na widok Liz Dieter szeroko otworzył oczy.

- Piękna, och, piękna! - zaintonował. Podbiegł, pocałował Liz w rękę i strzelił obcasami. - Wprost zapiera dech.

- To najgorsza rzecz, jaka może się przydarzyć śpiewakowi - odparła z uśmiechem dziewczyna i poklepała adoratora wachlarzem po ramieniu. Tak robili aktorzy w sztukach teatralnych z początku XIX wieku.

- Podoba ci się suknia? - spytał Don.

Z jego tonu Liz wywnioskowała, że Adelina już przekazała dokłany opis wyglądu nowej Violetty.

- Jest cudowna! Tylko że nie widać, żeby umierała na suchoty. Postaram się jednak zagrać dobrze resztę roli.

- Więc mogę mieć nadzieję? - spytał Dieter.

- Nadzieja nic nie kosztuje - rzuciła zachęcająco Liz.

Dieter podał jej ramię i wprowadził do holu akurat w chwili, gdy Tom schodził ze schodów. On również miał na sobie ubranie z epoki. Doskonale w nim wyglądał. Podkreślało jego opaleniznę i ciemnoblonde włosy. Liz wzięła głęboki, uspokajający oddech. Dieter poczuł, jak ręka Liz zeszywniała na jego ramieniu. Powiódł baczny spojrzeniem od Toma do swojej oblubienicy. Ale Liz zaraz wykonała przed Tomem głęboki, kpiarski dyg i szybko go wyminęła.

Stół rozstawiono na tarasie. Na biesiadników czekał już szampan w srebrnych kubekach z lodem. Don wzniosł pierwszy toast, kłaniając się obu kobietom, które usiadły obok siebie.

- Za piękno! - powiedział.

Wieczór był ciepły, więc na kolację zaplanowano zimne potrawy. Po przystawkach jedli łososa w galarecie z sałatką z rzodkiewki, przepiórcze jajka, szparagi i maleńkie młode kartofelki. Na deser raczyli się melbą z brzoskwiniami. Szampan łał się strumieniami.

Liz straciła rachubę, jak dużo wypija, bo nawet jeżeli tylko umoczyła usta, kieliszek był natychmiast napełniany. Gdy wstali od stołu, wprost płynęła nad podłogą, co nie miało zresztą nic wspólnego z zalecany przez Adelinę sposobem chodzenia w operowych kostiumach. Usłyszała, że gospodyni szepce coś Donowi do ucha. Liz miała wrażenie, że jej krew przemieniła się w wino, w żyłach perlił się szampan, a wszystko i wszystkich otaczał blask. Rozległa się muzyka. Dziewczyna nie mogła się zorientować, skąd dochodziły dźwięki, ale gdy Dieter poprosił ją do

tańca, wstała bez trudu i pozwoliła się prowadzić w walcu, od którego poczuła jeszcze większy zawrót głowy. Wróciła na miejsce. Ktoś podał jej kawę. Dopiero, gdy wypila, zdała sobie sprawę, że filiżankę z aromatycznym napojem podsunął jej Tom.

Więcej kawy, a mniej dom perignon ostrzegł. - To dobry rocznik, ma dużą moc.

Ja też powiedziała z wyższością. Głowa coraz bardziej jej ciążyła. Dziewczyna zasłoniła usta wachlarzem i ziewnęła.

- Chyba spóźniłem się z przestrogą.

- Wcale nie, tylko bardzo tu gorąco...

Tom chciał jeszcze coś powiedzieć, ale przyłożyła palec do ust. Dieter właśnie zaczął śpiewać.

Rzeczywiście miał wspaniały głos. Liz jednak nie rozpoznawała utworów. Słyszała tylko fale dźwięków. Powieki miała coraz cięższe. Z trudem je otwierała. Walczyła z narastającą potrzebą ziewania, ale chyba zbyt nieudolnie, bo usłyszała zduszony śmiech. Gwałtownie się wyprostowała i energicznie poruszyła wachlarzem.

- Fruwasz wysoko jak latawiec szepnął Tom.

Po prostu trochę się zmęczyłam. Miałam dziś sporo ćwiczeń fizycznych.

Następny stłumiony chichot. Uświadomiła sobie, że znów się wygłupiła. A na dodatek Tom się z niej wyśmiewał.

Gdy Dieter podszedł, Liz wylewnie chwaliła jego śpiew, chociaż nie zapamiętała ani jednej nuty. Całkiem przytomnie jednak odmówiła, gdy została zaproszona przez adoratora na przechadzkę po ogrodzie. Jednak gdy usiadł koło niej i objął ją w talii, położyła głowę na jego szerokim ramieniu. Było jej bardzo wygodnie, wprost cudownie. Dieter szeptał Liz coś do ucha, ale słyszała tylko szum. Odpocznę chwilę, pomyślała. Jeśli choć na sekundę zamknę oczy, to może...

Gdy znów je otworzyła, było już jasno. Leżała w swoim łóżku. Przeżona usiadła gwałtownie. Poczowała w głowie łomot bębnow. Skrzywiła się, przyłożyła ręce do uszu i poczekała, aż minie dzikie pulsowanie. Spojrzała na podróżny budzik, który stał na nocnej szafce. Dwunasta w południe! Och, Boże! Wieczorem zamknęła oczy za ledwie na kilka minut!

Z trudem zwlokła się z łóżka. Powoli poszła do łazienki. Wyszorowała zęby i weszła pod lodowaty prysznic. Długą chwilę stała trzęsąc

się z zimna, zanim stopniowo zaczęła puszczać coraz cieplejszą wodę. Dopiero po pięciu minutach umyła włosy. Gdy zawijała się w ogromny ręcznik, bębnienie w głowie trochę już ustało. Czuła się lepiej.

Usiadła na taborecie przed lustrem toaletki i dokładnie przyjrzała się swojej twarzy. Nic nie świadczyło o tym, że dziewczyna cierpi z powodu przepicia. No, ale to był pierwszy raz. I ostatni, jeżeli tak odczuwa się kaca. Dlaczego sobie na to pozwoliła? Oczywiście z powodu Toma Careya. Jego widok, w eleganckim wieczorowym stroju wzbudził w niej gorączkę, którą mogła złagodzić jedynie dobrze schłodzonym winem. Ale zamiast ostudzić swoje uczucia, na pewno ochłodziła jego zainteresowanie nią samą. Przecież ostrzegał. A ona, głupia, zignorowała ostrógę. Znów zrobiła z siebie idiotkę. Teraz musi się ubrać i iść po zasłużoną burę. Westchnęła ciężko. Nie ma rady, trzeba się zbierać, pomyślała. Siedzenie w pokoju i martwienie się nic nie pomoże. Wcześniej czy później i tak się spotkają. Zamierzali wyjechać koło drugiej. Zdecydowanie nie była zachwycona perspektywą pięciogodzinnej wspólnej jazdy samochodem. A może Don jak zwykle przewidział sytuację... i pozwoli swojej bogini zostać tu jeszcze trochę? Poruszając się z takim trudem, jakby miała zardzewiałe stawy, spakowała się, ubrała i zeszła na taras. Szybko zasłoniła oczy, oślepiąca blaskiem słońca.

- Ach, Bogini, w końcu jesteś.

Przy stole siedział tylko Don, na kolanach miał książkę napisaną alfabetem Braille'a.

- A, tak. Tyle że nie wiem, czy rzeczywiście istnieje.

Don zachichotał.

- Boli się głowa? Nic dziwnego. Wypiłaś wieczorem sporo szampana, a taki kac jest bolesny.

- To prawda. Przepraszam za spóźnienie. Czy Tom się złości, że jeszcze nie wyjechaliśmy?

- On już wyjechał.

- Co takiego?

- Powiedział, że musi wracać i zająć się przygotowaniem do zdjęć. Zaproponowałem, by cię tu zostawił. W końcu i tak musiałabyś wracać już w czwartek. Pomyślałem więc, że będzie lepiej jak odpocznieś tych kilka dni i zaczniesz malować mój dom. Don podał Liz kopertę.

W środku była pojedyncza kartka - list od Toma.

Wiem, że bardzo się starałaś dostosować do atmosfery wczorajszego balu kostiumowego, ale niestety masz słabą głowę. Muszę wracać

i puścić w ruch maszynę produkcyjną. Il signore „zasugerował”, żebyś z nim została. A kim ja jestem, by mu się sprzeciwić?

Do zobaczenia w czwartek.

Tom

PS. W przyszłości pij lemoniadę.

Liz zgniotła kartkę. Poczowała jednocześnie wściekłość i żal. „Pij lemoniadę!” Cóż, mimo wszystko słuszna uwaga. A Tom wyjechał sam tylko dlatego, że Don mu tak kazał.

- Napij się gorącej kawy - poradził gospodarz.
Przepraszam. Bardzo się wczoraj wygłupiłam.
- Ależ skąd! Po prostu zasnęłaś.
- Chce pan powiedzieć: za dużo wypijaś.
- Nie jesteś przyzwyczajona do wina.
- Jak się znalazłam w łóżku?
- Dieter cię zaniósł, resztę zrobiła Adelina.

Liz westchnęła rozpaczliwie.

- Dieter z radością ci usłużył. Don uśmiechnął się. - Masz nowego wielbiciela.

- A jeśli chodzi o Toma... zaczęła stanowczo. Najwyższy czas, byśmy o nim porozmawiali. On jest związany z Melanie, „twarzą” naszej kampanii. Poznacie ją w czwartek. Adelina wyjaśni panu, co Tom w niej widzi. Wiem do czego pan dążył, ale proszę tego więcej nie robić. To nie ma sensu - wyrzuciła to z siebie jednym tchem.

Don milczał. Liz postanowiła jednak powiedzieć mu wszystko, nawet gdyby miało to oznaczać koniec pięknej przyjaźni.

- Próbował pan mi pomóc, ale jeżeli mam do czegoś dojść jako nowa osoba, muszę tego dokonać sama i popęlniać po drodze błędy. Chcę ponosić pełną odpowiedzialność za wynik swoich działań. Robił pan wszystko, żeby Tom zwrócił na mnie uwagę, ale to była zwykła strata czasu. On... Liz przełknęła ślinę - widzi we mnie tylko koleżankę z pracy. Łączą nas wyłącznie sprawy służbowe. Prywatnie Tom związał się już z Melanie.

Don westchnął.

- Szkoda - powiedział z żalem.
- Nie mógł pan o tym wiedzieć. Tom... Tom jest doświadczonym mężczyzną, a ja ciągle zachowuję się jak nastolatka. Chociaż wiele się uczę. Proszę więc mi pozwolić popęlniać błędy. W końcu jakoś sobie poradzę i chcę to zrobić sama.

Don wysłuchał tyrady, zagryzając z namysłem usta. Gdy Liz skończyła, skinął głową.

Ani przez chwilę nie wątpiłem, że dasz sobie radę. Wybacz, że się wtrącałem. Miałem najlepsze intencje. Może zanadto się pospieszyłem z pomocą. A ty w krótkim czasie zaszłaś naprawdę daleko. Aż drzę na myśl, jakie wrażenie będziesz wywierała na mężczyznach, gdy uwierzysz w swoją kobiecość.

Liz pochyliła się i uścisnęła mu rękę.

- Dziękuję. Pan zawsze dodaje mi odwagi.

- Po prostu stwierdzam fakty. Dieter jest tobą zauroczony. Poszedł teraz popływać. Ma bzika na punkcie sprawności fizycznej. Jak wróci, na pewno nie odstąpi cię na krok.

Wczesnym popołudniem Liz pojechała do Falmouth kupić materiały potrzebne do malowania obrazu. Potem chodziła po ogrodzie, szukając najlepszej perspektywy. Po lunchu zaczęła szkicować.

Rysowanie jednak zupełnie jej nie szło. Wpatrywała się przed siebie i przeżywała każdą chwilę wczorajszego nieszczęsnego dnia i upokorzącego wieczoru.

9

W czwartek obudziła się z myślą, że dziś przyjeżdża Tom. Tęskniła za nim, ale jednocześnie była przerażona perspektywą stanięcia z nim twarzą w twarz, zwłaszcza w obecności Melanie. Tego po prostu nie zniesie. Postanowiła wyjść z domu na długo przed ich przyjazdem, a potem, przez cały czas ich pobytu, trzymać się na uboczu.

Don i Dieter pracowali nad interpretacją utworów Schuberta. Liz poszła rysować w miejsce, które już wcześniej wybrała. Rozstawiła sztalugi na ścieżce na krawędzi klifu, skąd po raz pierwszy zobaczyła willę Paradise. Tak się skoncentrowała na pracy, że aż podskoczyła na dźwięk gongu wzywającego na lunch. Najchętniej w ogóle by nie wracała, ale wiedziała, że Don na pewno by kogoś po nią wysłał, więc zebrała rzeczy.

Zauważyła, że na tarasie jest sporo osób. Oprócz Dona, Adeliny i Dietera, był Tom z Dave'em Barrasem, reżyserem i swoim starym przyjacielem, a także aktor, który miał grać rolę nieznanego wielbiciela Melanie. Jednak to Melanie stanowiła ośrodek grupy. Najwyraźniej oczekiwała nadejścia Liz, bo gdy tylko ją zobaczyła, pomachała i zeskoczyła z balustrady, na której siedziała. Podbiegła do schodów. Bez wątpienia już na początku chciała zwrócić uwagę wszystkich na kontrast między jej figurką, jakby wykonaną z porcelany, a budową Liz, przywodzącą na myśl solidny gospodarski garnek. Melanie wyglądała jak marzenie w obłoku szyfonów w letnich kolorach zieleni i błękitu, podkreślających jej piękną cerę i czerń włosów. Na gołych, opalonych stopach miała delikatne pantofelki na bardzo wysokich obcasach. Paznokcie u nóg pomalowała

szkarłatnym lakierem. Liz natychmiast uświadomiła sobie, jakie wrazenie musi sprawiać ona sama w džinsach, koszuli w kratkę i z potarganymi przez wiatr włosami.

- Och, moja droga zawołała śpiewnie Melanie. Wyglądasz tak czerstwo z tą opalenizną!

- Miałś przyjemny ranek? zainterweniował Don.

- Tak, dziękuję. Bardzo wspaniały.

- Dom jest wspaniały - powiedział Dave Barras. Obdarzył Liz niedźwiedzim uściskiem i głośnym cmoknięciem. Jeżeli nie zdołam wydobyć z tego miejsca całej jego magii, nie zasługuję na to, by w ciągu pięciu lat zostać jednym z najbardziej znanych reżyserów na świecie.

Liz przypomniała sobie o dobrych manierach. Grzecznie powitała Toma. Spojrzał na nią z zainteresowaniem i skinął głową. Cieszyła się, że w czasie lunchu nie będzie obok niego siedziała. Za sąsiada miała Dave'a Barrasa. Najwyraźniej Don wziął sobie do serca jej prośbę.

- Co porabiałaś ostatnio? - spytał Dave. - Słyszałem, że zrzuciłaś kokon i stajesz się pięknym motylem.

- Przygotowaliście już wszystko do nagrania? - odzjewniła się pytaniem Liz. Nie zamierzała rozmawiać o swoich prywatnych sprawach.

- Tak. Nie wiem dlaczego, ale twój nowy szef jest bardzo przeczułony na punkcie tych dwóch spotów. Przy poprzednich też się napracowaliśmy, teraz... Istne szaleństwo. Albo ma już dość tej kampanii, albo pewnej damy. - Dave nie przepadał za Melanie. Spojrzał w drugi koniec stołu, gdzie Melanie zagarnęła dla siebie zarówno Dona, jak i Toma, nie wspominając już o Dieterze, który wsłuchiwał się w każde jej słowo. Potrząsnął głową. - Nigdy nie potrafiłem zrozumieć, jak to się dzieje, że wystarczy ładna buzia, by inteligentni mężczyźni robili z siebie takich głupców.

- Tobie się to nie zdarzyło?

Dave ryknął śmiechem tak głośno, że aż Tom popatrzył na nich przez ramię. Ale Liz nie zauważyła reakcji Careya. Była pochłonięta rozmową z Dave'em. Bardzo lubiła Barrasa, zwłaszcza za jego poczucie humoru.

- Trafiałaś w dziesiątkę. Chyba wszyscy faceci mają te same słabości. - Odwrócił się do Liz, niechcący zasłaniając ją przed Tomem. - Ale do rzeczy. Powiedz, jak znalazłaś to cudowne miejsce. Dziś wieczorem kręcimy scenę z pełnią księżyca. Tom miał rację. Wrzucanie monet do fontanny będzie idealnym ujęciem.

Po lunchu przyjechała ekipa filmowa. Technicy od razu zabrali się do ustawiania świateł i kamer. Melanie zniknęła w przyczepie ze swoim

partnerem z planu. Tom prograżył się w rozmowie z Donem i Dieterem. Liz skorzystała z ich nieuwagi i wymknęła się z tarasu, by wrócić do malowania. Gdy wreszcie oderwała się od pracy, była bardzo zadowolona z efektów. Rozprostowała plecy i przeciągnęła się jak kot. Nagle poczuła na ramionach czyjeś ręce. Delikatnie zaczęły ją masować.

- Dziękuję, Dieter powiedziała. Jestem cała zdrętwiała.

- Wyobrażam sobie. Chodź na kolację, potem popatrzymy, jak kręcą zdjęcia z boską Melanie na tle zachodzącego słońca.

- Idź sam. Ja zamierzam pracować tak długo, jak długo będę miała światło.

- Oczywiście. Dla ciebie kręcenie filmu to chleb powszedni, dla mnie coś nowego. Nie wiedziałem, że trzeba się tyle napracować, żeby stworzyć dwusekundową reklamę.

- Więc biegnij, ale najpierw uwolnij mnie jeszcze od bólu w prawej łopatkę. Ach, właśnie tu...

- A co z kolacją? Nie jesteś głodna? - Dieter miał apetyt godny jego potężnych rozmiarów.

- Przyniosłam sobie owoce. Potem, jeśli zgłodnieję, Adelina na pewno nie pożałuje mi kanapki.

Dieter zdążył się już przekonać, że gdy Liz raz coś postanowi, nic nie zdoła jej od tego odwieść.

- Jak sobie życzysz powiedział z westchnieniem. Spojrzał na obraz. - Och, to jest doskonale! zawołał. Nie myślałem, że naprawdę umiesz malować. Cudownie uchwyciłaś grę światła i cieni. Nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć ukończone dzieło.

Parę minut później Liz znów została sama. Umocniła się w przekonaniu, że postępuje właściwie. Przecież nie była masochistką, więc po co miała się przyglądać, jak Melanie wdzieczy się przed Tomem i resztą towarzystwa. Wymagana przez Dona „opłata” stworzyła Liz idealną wymówkę. Podczas lunchu wspomniała obojętnie, choć celowo, że zamierza skończyć obraz przed powrotem ekipy filmowej do Londynu, a teraz miała Dietera na świadka, że naprawdę ciężko pracuje.

Wróciła do willi dopiero gdy słońce schowało się za horyzontem. Na niebie została czerwono-złota luna, z odcieniami różu i lawendy. Liz wiedziała, że ekipa kręci zdjęcia przed domem, więc weszła przez tylną furtkę. Po drodze nie spotkała nikogo. Gdy już poczuła się bezpieczna na swoim piętrze, podeszła do okna na korytarzu. Miała stamtąd doskonały widok na tarasy, ogród i fontannę. Melanie w powiewnych organdynach koloru zachodzącego słońca, po zabiegach fryzjera i charakteryzatorki

była już gotowa. Wyglądała tak, że aż zapierało dech w piersiach. Przy stojny Nieznajomy też czekał na sygnał do rozpoczęcia zdjęć. Tom rozmawiał z Dave'em Barrasem, zamaszycie gestykując. Na skraju planu siedzieli Don, Adelina i Dieter, najwyraźniej zafascynowani spektaklem.

Tom podszedł do Melanie i coś jej powiedział. Powoli, z absolutną pewnością siebie, charakterystyczną dla ludzi, którzy wiedzą, że są uosobieniem doskonałości, wykonała przed nim pełny obrót z takim uśmiechem, że zrozpaczona Liz uznała go za obietnicę. Tom, jakby na potwierdzenie podejrzeń Liz skinął głową. Delikatnie przyglądał pasmo włosów Melanie, poruszone wietrzykiem. Liz z bólem patrzyła, jak Melanie kokieteryjnie przytula policzek do jego ręki. Wreszcie odeszła od okna, bo już nie mogła znieść tego widoku. W nocy prawie nie zmrużyła oka.

Następnego dnia przy śniadaniu byli tylko we czworo, bo Tom, Melanie, jej partner i Dave Barras mieszkali w gospodzie w Headland, gdzie Liz zatrzymała się podczas swojej pierwszej podróży do Kornwalii. Ekipa natomiast miała kwatery w miasteczku. Liz jadła w milczeniu. Wreszcie Don uznał, że musi ją wciągnąć do rozmowy.

- Dieter mówił mi, że twoja praca nad obrazem szybko posuwa się do przodu - powiedział.

Tak. Chciałabym żeby już dziś był gotowy. Właśnie dlatego od razu się zabrałam za malowanie.

Tutaj też wszystko toczyło się zgodnie z planem. Według Toma skończą wieczorem, scenami podczas pełni. Gdy już „schowają taśmy do puszek”, jak to mówicie, co powinno nastąpić około wpół do dziesiątej, wydam małe przyjęcie z tej okazji. Tom jest bardzo zadowolony z dotychczasowych efektów.

- W znacznej mierze zawdzięczają sukces tobie i pięknemu otoczeniu. Jeszcze raz bardzo dziękuję za udostępnienie willi. - Liz wiedziała, że jej słowa brzmią trochę drętwo, ale nic nie mogła na to poradzić. Czowała się sztywna jak nie umyty pędzel do malowania.

- Tom przez cały czas pilnował, by nic nie zostało zniszczone. Miał rację, można mu ufać.

- Cieszę się - odparła krótko Liz. Postanowiła, że skoro ona sama nie ma żadnej okazji do świętowania, nie przyjdzie na przyjęcie. Jeżeli potraktują to jako objaw złego humoru i dąsów, trudno. Nie potrafiła jednak udawać radości. Gdyby spróbowała się uśmiechać, pękłaby jej twarz. Pójdę już. Muszę wykorzystać to doskonałe światło.

Przez resztę dnia była poza domem. Powiedziała Adelinie, że nie przyjdzie na lunch, bo chce skończyć obraz. Gospodyni zapakowała jej więc ogromną porcję podplomyków z szynką parmeńską, dzbanek kawy i winogrona.

O czwartej Liz skończyła malować. Wynik ją zadowolił. Uchwyciła dom w całym jego pięknie. Wznosił się dumnie na wyrzeźbionym przez erozję występie w klawie, otoczony tarasami i spadzistym ogrodem. Ściany lśniły w promieniach słońca, wielkie okna odbijały światło pod niebem koloru dzwonek, które bujnie rosły w okolicznych lasach. Teraz potrzebna już była tylko odpowiednia rama. Dostanie ją w Islington. Potem wręczy obraz swojemu szefowi. Tom z kolei przekaże zapłatę Donowi. Co za szkoda, że Don będzie mógł zobaczyć dzieło jedynie oczami Adeliny...

Dziś Liz także wróciła do domu przez tylne drzwi. Na górę weszła kuchennymi schodami i przez nikogo nie zauważona dotarła do swojego pokoju. Tam ustawiła obraz do wyschnięcia, wymyła pędzle i uporządkowała paletę. Wzięła długą kąpiel, potem znów zasiadła do malowania, tyle że tym razem swojej twarzy. Nieobecność na przyjęciu wytłumaczy silnym bólem głowy. Powie, że za długo siedziała na słońcu, a nie jest do tego przyzwyczajona. Wiedziała, jak osiągnąć chorobliwy wygląd. Najpierw jasnozielony krem na całą twarz i już gotowa śmiertelna bladeść, potem delikatne szare cienie pod oczami. To wystarczy, by oszukać Adelinę. Sama bym się oszukała, pomyślała. Położyła się i natychmiast zasnęła – nie spała dobrze od powrotu Toma. Obudziło ją pukanie do drzwi. - Proszę - zawołała zaspanym, naprawdę źle brzmiącym głosem. Spodziewała się Adeliny, więc całkowicie zaskoczył ją widok Dona.

- Bogini, jest dziesiąta. Nie przyłączysz się do nas, by świętować?
- Źle się czuję. Chyba siedziałam za długo na słońcu, ale tak chciałam skończyć twój obraz... - wyrecytowała przygotowaną formułkę.

Don usiadł na skraju łóżka. Wziął Liz za rękę, chwilę potrzymał i stwierdził:

- Nie jest rozgrzana... - Wyczuł puls. - Trochę za szybki, ale to nic poważnego. Położył jej rękę na czole. - Nie masz gorączki. Nie przypuszczam, żebyś cierpiała z powodu nadmiaru słońca. Raczej chodzi o złośliwość, którą emanuje ta kobieta o ruchach kotki, tam, na dole. Chyba nie pozwolisz, by cię usunęła w cień? Myślałem, że masz więcej charakteru.

Liz przez chwilę milczała, potem odezwała się słabym głosem:

- Nie mam złudzeń. Moja świeczka nie mogłaby zaćmić pochodni Melanie.

- A twoja znajoma o tym wie i bez wahania to wykorzystuje. Ale w rzeczywistości boi się, bo widzi w tobie konkurencję. Gdybyś jej nie zagrażała, na pewno by cię ignorowała. Już teraz uśmiecha się triumfująco, bo twoja nieobecność oznacza jej zwycięstwo. Nie możesz na to pozwolić. Czyż nie nauczyłem cię, że musisz śmiało iść do przodu? Włóż swoją najpiękniejszą sukienkę i przyćmij blask Melanie. Zrób to dla mnie. Po lepkiej słodyczy, którą darzy nas panna Howard, potrzebuję czegoś odświeżającego.

Liz poczuła się, jakby dostała zastrzyk adrenaliny. Don był arcymanipulatorem, ale nie kłamcą, a w ludzkich duszach czytał z niezwykłą łatwością.

- Dobrze - zgodziła się. Słowa Dona podziały jak ostroga. Przyjmie wyzwanie. - Ale robię to tylko dla pana, żeby choćby w małym stopniu spłacić ogromny dług, jaki zaciągnęłam.

Don ucałował jej rękę.

- To już bardziej podobne do mojej bogini! Zejdź na taras, olśnij wszystkich. Jaka szkoda, że nie będę mógł zobaczyć miny, jaką robi Melanie na twój widok.

Gdy Don zamykał za sobą drzwi, Liz już wyskoczyła z łóżka. Usłyszała jeszcze, jak gospodarz mówi:

- Tak, Tom, bogini zaraz zejdzie. Po prostu odpoczywała po długim dniu przy sztalugach. A teraz chodźmy zobaczyć, jak się bawi reszta towarzystwa...

Tom coś odpowiedział, ale tego Liz już nie dosłyszała.

Czyżby również po nią przyszedł? Pewnie chciał powiedzieć, żeby się nie dąsała. I pofatygował się tylko z obowiązku. W końcu był jej szefem i zależało mu, by ich współpraca dobrze się układała.

Nadal nie miała nastroju do zabawy, ale wzięła sobie słowa Dona do serca. Zmyła trupi makijaż i zrobiła nowy, radosny, stosując wszystkie sztuczki, jakich nauczyła ją Jilly. Włosy upięła wysoko, ale na skroniach i karku zostawiła swobodnie opadające pasemka. Potem rozpyliła w powietrzu morze perfum *Mitsouko*. Melanie na pewno będzie pachniała *L'amoureuse*, bo jej kontrakt nie pozwalał na używanie niczego innego. Liz przeszła przez aromatyczną mgiełkę i obejrzała w lustrze efekty wszystkich zabiegów. „Jeżeli nie możesz do nich dołączyć, to ich pokonaj” - powiedziała sobie w duchu. Wreszcie wybrała purpurowy aksamitny garnitur, który podkreślał śmietankową biel jej skóry, a oczom nadawał

odcień nefrytu. Zachwycona swoim widokiem w lustrze, zostawiła rozpięty górny guzik różowej organdy nowej bluzki, przez którą leciutko prześwitywał koronkowy stanik.

W czasie przygotowań jej nastrój się zmienił. Wynurzyła się z otchłani rozpaczy i popłynęła na szczycie fali wojowniczości, gotowa na wszystko. Przyjęcie już rozkręciło się na dobre. Grała muzyka, szampan płynął strumieniem, a mężczyźni przypadało po dwóch na jedną kobietę. Oprócz Liz i Adeliny była jeszcze Marie Laurę, francuska wizażystka, bardzo paryska w szykownej czerni, Sandra, sekretarka planu, korzystnie wyglądająca w różowej sukience, Kitty, nieodłączna asystentka Dave'a Barrasa, ubrana w słoneczne żółcie, i Annie, zaufana fryzjerka Melanie, w stłumionych błękitach. Gwiazda kampanii, nadal w zwiewnej sukience od Versace'go, którą nosiła podczas kręcenia zdjęć przy pełni, wczepiona była w ramię Toma. Carey miał doskonale skrojone szare luźne spodnie, cieniutki golf w kolorze szampana i lekką marynarkę. Patrzył na Liz. Oddała mu chłodne spojrzenie i nie spuściła wzroku, póki nie podszedł Dave Barras.

- Nareszcie! Ale warto było czekać! Wyglądasz cudownie. Zatańczymy?
- Chętnie.

Tańczono na dolnym tarasie, na wyższym urządzono bufet. Przyjęcie było wystawne. W przygotowaniach pomogły Adelinie kobiety z miasteczka. Dave sprowadził Liz na dół i przystąpił do demonstrowania swoich umiejętności tanecznych. Chociaż był zbudowany jak niedźwiedź, poruszał się lekko i zwinnie.

- Jak z obrazem? spytał.
- Skończyłam. Pracowałam nad nim cały dzień.
- Masz szczęście. Ja cały dzień miotalem się między dwiema osobami, z których każda chciała postawić na swoim.

- Kto wygrał?

- Dzięki Bogu Tom. Słyszałem, że został tu sprowadzony, aby trzymać Melanie w ryzach. No i z radością stwierdzam, że świetnie mu się to udaje. Wiesz, ta reklama sfilmowana w tak pięknym otoczeniu, na podstawie twojego romantycznego scenariusza i z boską Melanie w roli głównej, po prostu musi zdobyć najwyższe nagrody.

- Serdecznie ci tego życzę.

- Zastanawiałem się, czy uciekałaś na cały dzień ze względu na Toma. Wyczułem między wami chłód. Odkąd tu przyjechaliśmy, nie zamieniliście ze sobą dwóch zdań, a przecież wiem, że uważa cię za najlepszą autorkę tekstów, z jaką kiedykolwiek pracował. Sam mi to powiedział.

Zachowujecie się jak góry lodowe. On jest inteligentny, ale ty też. Co się stało? Pokłóciliście się?

- Tak... mieliśmy mały zatarg.
- Ach... ale w końcu chyba się pogodzicie?
- Od początku nie idzie nam dobrze.

- Nie wierzę. Może Carey jest trochę uparty, ale to porządny facet i doskonale zna się na swojej pracy. Nasze panie są nim zachwycone. Nawet wołałyby, żeby to on zagrał Nieznajomego, a nie ten przystojny idiota. Chociaż Melanie nigdy by się na to nie zgodziła. Nie zniosłaby konkurencji. Dlatego musimy się zadowolić tym biednym głupkiem, który uważa, że jest prawdziwą gwiazdą.

Nieznamy najwyraźniej uważał też, że kobiety za nim szaleją. Gdy tylko Dave odszedł od Liz, przystojniak natychmiast się w przy niej pojawił i narzucił się, póki Dieter nie poprosił dziewczyny do tańca. Fakt, że bez przerwy ją zapraszano, umocnił jej wiarę w siebie. Gdy Liz się zgrzała i zdjęła żakiet, przezroczysta bluzka przyciągnęła wszystkie męskie oczy.

W końcu Liz poszła na dolny taras po poncz.

Moja droga, robienie z siebie widowiska weszło ci ostatnio w nałóg odezwała się niespodziewanie Melanie, która do tej pory obserwowała „przyjaciółkę” oczami zwięzonymi ze złości.

Liz zamarła. Jedyne raz, kiedy zrobiła z siebie widowisko, zdarzył się tego wieczoru, gdy za dużo wypijała. Widocznie Tom wszystko Melanie opowiedział. Liz poczuła skurcz żołądka na myśl o tym, jak się z niej razem śmiali. Odwróciła się tak gwałtownie, że Melanie zrobiła krok do tyłu.

- Nie słyszałaś, że teraz są modne wielkie przedstawienia? Elton John nie jest wyjątkiem - syknęła.

Nalała sobie szklaneczkę ponczu i podeszła do Dona, który siedział w wielkim fotelu. Obok niego stała nieodłączna Adelina. Liz bez słowa minęła Toma i biorąc przykład z Melanie, usiadła na balustradzie obok gospodarza.

Świetna zabawa T powiedziała. Dziękuję, że zachęcił mnie pan do przyjscia.

Ja też doskonale się bawię. Poza tym kręcenie filmu było dla mnie nowym doświadczeniem.

- Jeden mały obrazek wydaje się o wiele za niską zapłatą za taką przysługę. Czy naprawdę nie możemy zrobić nic więcej?

- Owszem, ty możesz - odparł Don i wyciągnął rękę do Liz. - Przyjeżdżaj tu, gdy tylko będziesz miała czas.

- Niewiele pan żąda. Pobyt w willi zawsze jest dla mnie wielką przyjemnością.

Adelina coś mu szepnęła do ucha. Don, nadal trzymając Liz za rękę, powiedział:

- Ach, Tom... właśnie mówiłem mojej bogini, że dni spędzone z wami były bardzo ciekawe i pouczające. Wiem też, że jesteś tak samo zadowolony jak ja. No, ale to było dzieło miłości, prawda?

Liz nie słyszała, jak Tom podchodzi, a gdy już zdała sobie sprawę z jego obecności, nie spojrzała na niego.

- Miłość nie ma tu nic do rzeczy, ale pracowało się nam naprawdę świetnie. Zresztą w takim miejscu to nic dziwnego. Jeszcze raz dziękuję.

- Bogini już mi podziękowała w waszym imieniu. Przyszedłeś zaprosić ją do tańca? Słyszałem, że wszyscy inni już z nią tańczyli.

- Rzeczywiście, kolejka była długa - odparł lakonicznie Tom.

- Więc sięgnij po swoją nagrodę. Don włożył rękę Liz w dłoń Toma.

- Uspokój się - poradził, gdy schodzili po schodach. Czuł, że jest zdenerwowana. Może zakopalibyśmy topór wojenny?

Zignorowała jego słowa. Gdy ją objął, patrzyła nad jego ramieniem prosto przed siebie. Grano teraz wolną, nastrojową melodię. Liz była na tyle wysoka, że mogli tańczyć policzek przy policzku. I właśnie tego chciał, pomyślała ze złością. Po co innego by do niej podszedł, skoro Melanie tylko czekała na zaproszenie. Podobnie jak zmysły Liz. Gdy poczuła Careya blisko siebie, ciało ją zdradziło. Rozluźniła się.

- Tak już lepiej - pochwalił. Naprawdę jestem nieszkodliwy.

Mhm! mruknęła z przekąsem Liz. - Mam blizny, które dowodzą czegoś przeciwnego.

- Nie tylko hrabia Drakula chętnie wbiłby zęby w twój uroczy karczek... ach, zostań. - Przytrzymał ją mocniej, bo już się uwalniała z jego objęć. - Na pewno nie zrobię tego tutaj, więc nie musisz walczyć.

- Obiecanki cacanki - syknęła.

- Zawsze dotrzymuję obietnicy.

- Trzymam cię za słowo.

- Świetnie. A ja trzymam ciebie. - Przyciągnął ją bliżej. - Dobrze pasujesz do moich ramion.

- Chcesz powiedzieć, że uciekający Czerwony Kapturek w końcu dorósł?

Tom przez jakiś czas milczał.

- Jeżeli ta uwaga tak cię zraniła, to przyjmij moje przeprosiny. Trochę się uniosłem...

Liz zawzięcie patrzyła nad jego ramieniem. Wstydziła się rumieńca, który oblał jej twarz na wspomnienie twardniejącej męskości Toma.

- Masz dwie różne osobowości. Nie mogę się w tym połapać. Jedną wysyła sygnały, druga odmawia przyjęcia za nie odpowiedzialności. Wyjaśnij mi to wreszcie.

- Dlaczego moje uczucia miałyby cię obchodzić?

Pokręcił niecierpliwie głową.

- Dajmy już temu spokój. Adelina przygotowała cudowne smakołyki, więc po co się zadowalać skromną szarlotką. To powoduje emocjonalną niestrawność. Zaśmiewasz wszystkie obecne tu kobiety, ale pewnie uwierzyłybyś w to tylko wtedy, gdyby zostało powiedziane przez il **signore**. Co on robił dziś wieczorem w twoim pokoju? Uprawiał magię?

- W głosie Toma zabrzmiała nieprzyjemna nuta. - Kim Don dla ciebie jest? Czarodziejem, Svengalim⁶, czy po prostu „opiekunem”?

Liz szarpnęła się do tyłu. Ręce Careya zacisnęły się na jej nadgarstkach jak kajdanki.

- Spokojnie, spokojnie - szepnął.

- Puszczaj! - wycodziła przez zęby. - Jeżeli masz o mnie takie zdanie, to po co prosiłeś mnie do tańca?

- Il **signore** mi kazał.

- Od kiedy wykonujesz polecenia człowieka, któremu nie ufasz?

- Praktykuję również masochizm - powiedział takim tonem, że Liz aż pomyliła krok. - Występuję z prośbą o pokój odezwał się po krótkiej chwili. Jakie są twoje warunki?

- To musi być zbrojny pokój.

Tom uśmiechnął się.

- Jesteś dziś w doskonałej formie. Jego głos przybrał głębsze tony. - W tej bluzce i tych spodniach... naprawdę doskonała forma.

Liz zaczerwieniła się. Znow z nią flirtuje. O co mu chodziło? Chciał ją rozkocharać, a potem porzucić? Przecież dobrze wiedziała, że nie może mu się podobać.

- Nie znam żadnej innej kobiety, która by się rumieniła - szepnął z zachwytem.

- A ty jesteś jedynym mężczyzną, przy którym się rumienię - odpowiedziała, zanim zdążyła pomyśleć.

- Ciekawe dlaczego?

Spuściła wzrok, by nie mógł spojrzeć jej w oczy.

⁶ Svengali - postać z powieści *Trilby* George'a du Maurier (1899). Jest to tragiczna historia Trilby O'Ferrall, która zostaje śpiewaczką o międzynarodowej sławie pod mesmerycznym wpływem niemiecko-polskiego muzyka, demonicznego Svengalego, ale traci głos podczas występu, gdy siedzący w łóżu Svengali nagle umiera, (przyp. tłum.)

- Och, tak, czegoś się nauczyłaś. Roześmiał się krótko. A wracając do naszego traktatu pokojowego. Czego żądasz?

Bezwarunkowej kapitulacji. - Liz za późno uświadomiła sobie, dokąd zaprowadził ją talent do natychmiastowych ripost. Znow zrobiła się czerwona jak burak.

- Jeszcze chwila, a staniesz w ogniu zauważył, ale w jego rozbawionym głosie pobrzmiwała czułość. 1, na Boga, nie patrz tak na mnie! Jestem tylko człowiekiem i mam ograniczoną wytrzymałość. - Przyciągnął ją bliżej. - Po prostu tańczmy poprosił niemal błagalnie. Muzyka się zmieniała. Stała się jeszcze bardziej wolna i chwytająca za serce. Liz poczuła, jak Tom muska ustami jej ucho.

Pachniesz upajająco szepnął. - Kto spowodował, że zmieniłaś zdanie?

Ty, pomyślała.

- Dlaczego powiedziałeś Melanie, że zrobiłam z siebie widowisko? Popatrzył ze zdziwieniem.

- Słucham?

- Mówiła mi...

Melanie bez przerwy coś mówi. Na ogół po to, by zyskać jakąś korzyść. Ale teraz przynajmniej rozumiem, dlaczego tak źle mnie traktujesz. Czy w twojej niewinności nie przyszło ci do głowy, że Melanie jest po prostu zazdrosna?

- Don twierdzi to samo. A więc to musi być prawda!

Tom ze zdumieniem pokręcił głową.

- Ty chyba nie zdajesz sobie sprawy, jaka jesteś naprawdę.

Liz jakby zapadła w trans. Oczyma duszy przyglądała się Melanie zazdrosnej o „słoniątko". Dopiero gdy Tom zaproponował, żeby się pocałowali i pogodzili, oprzytomniała. Poprowadził ją na koniec tarasu, gdzie osłoniły ich gałęzie wielkiego kwitnącego bzu. Zanim się zorientowała, już ją całował. Z całej siły zaczęła go odpychać. Nie zamierzała znow przejść tej samej drogi. Już raz wystarczająco mocno cierpiała.

- Nie... nie możesz... nie chcę...

- Ależ chcesz. Zapaliłaś zielone światło...

Obrócił jej twarz do siebie i znow całował. Było tak samo, jak na plaży: całowali się z dziką gwałtownością, jakby nie mogli się sobą nasyć. Liz uległa. Rozpięła mu marynarkę i objęła rozpalone ciało. Tom przyciągnął jej biodra. Poczowała, jaki jest twardy. Jęknęła. Rozpięła bluzkę i stanik. Jego usta były gorące, chciwe. Liz zadrzała.

- Cofam wszystko, co powiedziałem o uciekającym Czerwonym Kapturku - szepnął ochryple. - Jesteś jak bogini z Olimpu.

Nagle rozległ się krzyk, tak przejmujący, że odskoczyli od siebie jak oparzeni.

- Co to było? - warknął ze złością Tom. Odwrócił się w stronę domu i niespodziewanie popędził w kierunku grupki ludzi, którzy pochylali się nad jakiś kształtem leżącym u stóp schodów prowadzących na dolny taras.

10

Liz pobiegła za Tomem. Z bliska zobaczyła, że to Don leży nieruchomo, głową w dół. Nad nim pochylał się Dave Barras. Obok klęczała Adelina. Melanie wrzeszczała histerycznie. Tom niecierpliwie ją odepchnął i przykucnął przy Donie.

- Co się stało? - spytał.

- Schodził po schodach z Melanie. Nagle potknął się i upadł - wyjaśnił Dave.

- Przecież on zna te schody! krzyknęła Liz. - Chodzi po nich tam i z powrotem sto razy dziennie! Nigdy nie widziałam, by się potknął.

- Ale tym razem tak się stało. Sam widziałem.

Tom uniósł powiekę Dona.

- Jest nieprzytomny. Niech ktoś natychmiast wezwie karetkę.

Liz szybko utorowała sobie drogę wśród milczących gości. Pobiegła do telefonu w gabinecie Dona i zadzwoniła na pogotowie. Podała wszystkie szczegóły wypadku i adres. Potem popędziła do swojego pokoju, zebrała z łóżka poduszki i kołdrę, bo przypomniała sobie, że w przypadkach szoku trzeba trzymać poszkodowanego w ciepłe. Gdy wróciła na taras, opiekę nad Donem przejęła Sandra, która kiedyś przeszła przeszkolenie w udzielaniu pierwszej pomocy. Przykryła gospodarza kołdrą, ale poduszek nie wzięła.

- Lepiej go nie ruszać - powiedziała. - Jest ranny w głowę.

Liz spostrzegła kałużę krwi na schodach.

Melanie najwyraźniej szukała pociechy u Toma, bo tuliła się do niego powtarzając, że to nie jej wina. Ona tylko chciała z Donem zatańczyć... trzymała go za rękę... tak uważnie...

Przez zawrodozenie Melanie do uszu Liz dotarł inny głos. To Adelina wyrzucała z siebie jakąś tyradę po włosku. Liz nie rozumiała ani słowa. Spojrzała w dół. Adelina, nadal klęcząc obok Dona, drżącą ręką wskazywała czwarty stopień. Do ozdobnej balustrady przywiązany był kabel, którego nie sprzątnęła ekipa. Właśnie ten kabel zaplątał się wokół buta Dona.

- Och, Boże, nie! - westchnęła Liz.

Adelina odwróciła się do dziewczyny i uniesiona swoim południowym temperamentem, wyrzuciła z siebie kolejną serię włoskich słów. Nikt tego nie rozumiał, ale niektóre słowa wykrzykiwała po angielsku.

- To twoja wina! To wszystko twoja wina! Ty przywiozłaś tych ludzi! Sprowadziłaś na niego nieszczęście! Młoda kobieta i stary, niewidomy mężczyzna! Spójrz na siebie! Jesteś półnaga! ***Svergognata!***

Liz powiodła wzrokiem za spojrzeniem Adeliny i popatrzyła na siebie. Zobaczyła rozpięte przez Toma ubranie i nagie piersi. Ze wstydu zaczerwieniła się tak, że aż policzki ją paliły. Szybko się zasłoniła.

- O tak, okryj się! Ty bezwstydnico! Nie chcemy cię tutaj. Przez ciebie dzieją się złe rzeczy. Zabieraj się stąd!

Zanim Tom zdążył uwolnić się od Melanie, Liz uciekła.

Dopiero po długim czasie znalazł ją Dieter. Była w cisowej alei. Siedziała skulona na drewnianej ławce.

- Nareszcie! Wszędzie cię szukałem. Chodź, zrobię ci kawę. Tom pojechał do szpitala z Donem, ale prosił, żebym sprawdził, czy nic ci nie jest. Dwa razy obszedłem ogród.

Liz nie odpowiedziała. Dieter podszedł bliżej. Zobaczył, że dziewczyna ma błędne oczy i trupioblada twarz. Zaklął po niemiecku.

- Nie przejmuj się tym, co powiedziała Adelina. Jest Włoszką z gorącym temperamentem. Znam ją od dawna. Zachowuje się w stosunku do Dona jak wilczyca wobec swoich młodych. Zrobiła taką scenę ze strachu, że on umrze. No, chodź, wracamy do domu. Nie ma sensu siedzieć tu w ciemnościach.

Jeszcze przez dłuższy czas przemawiał serdecznie do Liz. Wreszcie wstała i poszła za nim. Z daleka obeszła grupkę osób rozmawiających półgłosem na tarasie. Dieter zaprowadził Liz do jej pokoju i posadził na łóżku. Potem poszedł poszukać Sandry.

- To szok - stwierdziła Sandra po obejrzeniu Liz. - Przygotuj jej gorącą, dobrze osłodzoną herbatę. Postaraj się znaleźć jakiś środek

uspokajający. Aha, przynieś kołdrę i poduszki z tarasu. Widzę, że wzięła je ze swojego łóżka.

Rządzi się jak szara gęś, pomyślał Dieter, wychodząc z pokoju. Ale jest taka ładna.

Podczas jego nieobecności, Liz nie poruszyła się ani nie odezwała. Dieter przyniósł pościel, herbatę i flakonik z zielonymi pigułkami.

- Znalazłem je w łazience Dona powiedział. Wiem, że mistrz czasami cierpi na bezsenność, więc to chyba proszki na sen.

Sandra przeczytała etykietkę i skinęła głową.

Tak. Podam jej jedną, będzie spała co najmniej dwanaście godzin. Wyjęła pigułkę, resztę oddała Dieterowi. Odnieś na miejsce - poleciła. I dziękuję za pomoc. Teraz już sama sobie poradzę.

Zmusiła Liz do otworzenia ust, włożyła pastylkę i kazała popić herbatą. Liz nie używała cukru, ale tym razem wypila słodką herbatę, nie zwracając uwagi na smak. Potem Sandra rozebrała dziewczynę, położyła do łóżka i zapaliła lampkę na toaletce. Abażur przechyliła tak, by nie raził Liz w oczy.

Rano wszystko będzie dobrze powiedziała łagodnie. Przynajmniej mam taką nadzieję, dodała w duchu, zabobonnie zaciskając kciuki.

Gdy trochę przed drugą Tom wrócił do willi, było cicho i pusto. Zniknęły furgonetki, samochody, resztki po przyjęciu. Tylko Dave Baras siedział samotnie na trawie.

- Co z nim? - spytał.

Ma pękniętą kość czaszki i dostał krwotoku wewnątrzczaszkowego. Jest na oddziale intensywnej terapii. Adelina nalegała, by pozwolili jej zostać z diMarco. Rano zadzwonię po nowe wiadomości. A co się działo tutaj? Gdzie Liz? Dobrze się czuje?

- Dieter znalazł ją w ogrodzie. Chyba była w szoku. Zresztą nic dziwnego po tym, jak ta włoska czarownica się rozwrzeszczała. Istna Anna Magnani! Że też musiało się to przytrafić właśnie Liz. Znając ją, za wszystko weźmie winę na siebie, bo przecież to ona wpadła na pomysł, żeby kręcić tu film.

- Nie, nie ona.

- Liz się z tobą nie zgodzi.

- Gdzie jest teraz?

Śpi. Sandra dała jej proszek na sen. Potem posprzątałyśmy, nawet pozmywałyśmy naczynia, i wszyscy wyjechali. W końcu w niczym już nie

mogliśmy pomóc. Melanie zabrała się z Noddym. Nie była zachwycona, że ją porzuciłeś. Właśnie tak to określiła. Chyba jej się wydaje, że przede wszystkim o nią powinieneś się troszczyć. Rozmawiałem z elektrykiem. Powiedział, że staruszek musiał się zaplątać w resztkę drutu, która pewnie oderwała się od głównego kabla, gdy go pakowali. Był przerażony.

No i dobrze. Powinien lepiej sprawdzić. Jak mógł być tak nieuważny. DiMarco pozwolił nam tu kręcić tylko dzięki Liz, a ja dałem mu słowo, że zostawimy wszystko tak, jak zastaliśmy. A teraz on jest na intensywnej terapii, a Liz została wyzwana od dziwki i doznała szoku. Czy elektryk wyjaśnił, w jaki sposób kabel przesunął się na schody?

- Ludzie bez przerwy się tu kręcili. Pewnie ktoś niechcący zahaczył go nogą, a inni przesuwali dalej. Ja sam chodziłem tędy ze sto razy. Nic nie zauważyłem.

- Jednak zamierzam przeprowadzić śledztwo.

- Masz prawo. Ale teraz, gdy już wróciłeś, pojedę do Londynu. - Dave zamilkł. - Mimo tego nieszczęścia zdjęcia na pewno wyszły cudownie - powiedział po chwili. - Postaram się jak najszybciej zrobić wstępny montaż.

Tom skinął głową.

Słuchaj - zaczął łagodnie Dave - Liz jest silna i ma wiele zdrowego rozsądku. Zrozumie, że musiałeś pojechać z Donem, i nie będzie ci tego miała za złe. Po prostu doznała szoku. To wszystko...

- Wiem - przerwał mu ostro Tom.

A teraz wiem również o wielu innych sprawach, o których ty nie masz pojęcia, dodał w duchu. Jest taka wrażliwa i bezbronna. Fakt, że Adelina tak gwałtownie przeciw niej wystąpiła, wzburzył wszystkich, ale dla Liz było to bardziej bolesne, niż by się wydawało. Oby zdołała sobie z tym poradzić. Tom pragnął pójść za nią, gdy uciekła z tarasu, ale poczucie obowiązku kazało mu zostać na miejscu wypadku. Okazało się, że Adelina, zawsze taka cicha i opanowana, w środku aż się gotuje z zazdrości. Tom ciężko westchnął. Pokaz zawiści nie mógł nastąpić w gorszej chwili.

Tom poszedł sprawdzić, jak się czuje Liz. Pogrążona w głębokim śnie, leżała na plecach jak płaskorzeźba na sarkofagu. Przez długą chwilę patrzył na dziewczynę. Wreszcie z rozpaczą przeczesał palcami włosy, wołając z całej duszy: „Niech to szlag!” - i wrócił na parter.

Dieter był w kuchni. Siedział przy stole, na którym stała butelka whisky. Widząc Toma sięgnął po drugą szklanekę i nalał podwójną porcję.

- Na pewno tego potrzebujesz - powiedział.

- O, tak - przyznał Tom i wypił alkohol jednym haustem.

Dieter znów napełnił szklaneczkę.

- Co mówią lekarze? Jaki jest stan *Maestro*?"

- Tak go nazywasz?

- To mój nauczyciel, nawet jeżeli jestem jedynym uczniem w jego klasie mistrzowskiej.

Tom podniósł wzrok.

- Może wiesz jak do tego doszło, że Melanie schodziła z nim po schodach?

Dieter wzruszył ramionami.

- Zobaczyła, że tańczysz z Liz. Wcałej się to nie spodobało. Gdy po chwili znów popatrzyła w waszą stronę, okazało się, że zniknęliście. Bardzo się rozzłościła. Sądzę, że *Maestro* chciał odwrócić uwagę Melanie i zaprosił ją do tańca. A mimo ślepoty tańczy doskonale.

- Wiedział, co się dzieje?

- Adelina mówi mu o wszystkim. Dieter znów wzruszył ramionami i pochylił się, by zaakcentować to, co zamierzał teraz wyjawić. - Powiem ci coś na temat Adeliny i *Maestro*. W *Don Giovannim* jest taka aria: „Mój spokój zależy od twojego, myślę tak, jak ty, szczęściem jest dla mnie to, co ciebie cieszy, a to, co ciebie rani, boli mnie. I nie ma dla mnie radości, chyba że ty ją ze mną dzielisz”. Tak właśnie Adelina go kocha. I dlatego była... wzburzona.

Wzburzona! Zachowała się potwornie! - Tom na chwilę zamilkł. - A może miała powód do zazdrości?

Dieter poczuł się osobiście obrażony.

- Nie. Wobec Liz zawsze zachowywał się jak starszy brat. Przedstawił mi ją jako swoją chrześną córkę.

- Ma na nią niesamowity wpływ. - Tom znów chwilę się zastanowił. - Od dawna go znasz?

- Od trzech lat. Był... i jest wielkim śpiewakiem. Bardzo wiele mnie nauczył. - Teraz z kolei Dieter przez chwilę milczał. -1 to nie tylko jeśli chodzi o śpiew. - Nalał nową porcję whisky. - Zostaniesz na noc?

- Jeżeli można.

Dieter jeszcze raz wzruszył ramionami.

- Nie ma tu nikogo, kto mógłby ci zabronić. Ale najpierw skończymy butelkę.

Tom podsunął szklaneczkę.

11

Wrócił do pokoju Liz. Leżała w te samej pozycji, co wcześniej. Taka duża kobieta, a bezbronna jak mała dziewczynka, pomyślał. Tyle w niej sprzeczności, ale i uczuć. Ma niezwykłą i niespodziewaną umiejętność obdarowywania radością. Broni się przed życiem, nigdy nie rezygnuje z postawy, którą sobie narzuciła. Miota kolczastymi słowami na pierwszy znak niebezpieczeństwa. Tom obawiał się, by ta okropna noc nie zostawiła w psychice Liz trwałego piętna. Dave miał rację. Za wszystko, co się stało, winiła tylko siebie.

Podciągnął wyżej kołdrę i odgarnął dziewczynie włosy z czoła. Były jak jedwab i nadal oszałamiająco pachniały. To kolejny znak, że stara się odkryć swoją osobowość. A on nie potrafił tego zrozumieć. Pewnie dlatego, że wszystko wiązało się z tym niewidomym mężczyzną, który wywierał na nią tak ogromny wpływ. To bez wątpienia John diMarco spowodował przemianę Liz. Jak tego dokonał? A co ważniejsze, dlaczego?

Tom dotychczas nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo Liz jest zakompleksiona. Właściwie nawet jej nie zauważał. Była tylko podpisem pod doskonałymi tekstami reklamowymi. Z kampanii prowadzonych przez agencję najlepiej zapamiętał te, pod którymi podpisywała się Elizabeth Everett. Gdy spytał o nią, powiedziano mu, że pojechała z szefem do Australii założyć nową filię.

- Jest wyjątkowa - oznajmił swoim nowym kolegom. Miał na myśli jej pracę. Zdziwił się, gdy zobaczył uśmiezki, ale doszedł do wniosku, że wygląd panny Everett zapewne jest tak samo wspaniały, jak jej

talent. Z ciekawością czekał, aż pozna dziewczynę osobiście. W końcu ze zdumieniem zobaczył, że teksty musujące jak szampan najlepszego rocznika pisze wysoka, dość tęga kobieta, pospolita jak mrożona herbata, i ubrana w coś, co uznał za sukienkę ciężową. Potem ze zdziwieniem przyjął wiadomość, że Liz jednak nie oczekuje dziecka.

- Ona żyje pracą * mówili jej koledzy.

Był zadowolony, że nie straci swojej najlepszej pracownicy, ale jednocześnie wzrosła jego ciekawość. Nie rozumiał, jak kobieta, o której zapomina się natychmiast, gdy tylko zniknie z oczu, może pisać tak doskonałe teksty. Poza tym po kilku rozmowach zauważył, iż dziewczyna mówi tak samo pięknie jak pisze.

Ta sprzeczność zaintrygowała Careya i zmusiła do zastanowienia. Dlaczego Liz nie próbowała pogodzić tych dwóch stron swojej wybitnej osobowości? Miała ostry język, celnie ripostowała, jej umysł był jak procesor Intelu z czterema gigabajtami RAM, a jednak kryła się w workowatych sukniach i pokazywała twarz potraktowaną jedynie wodą i mydłem. Liz wysyłała jednoznaczny sygnał: przyjmij mnie taką, jaką jestem, albo odejdz. Może miała bolesne przeżycia seksualne? Nie, ubierała się w ten sposób właśnie dlatego, że nie wierzyła, by w ogóle mogła nawiązać intymny kontakt z mężczyzną. Jej ciało, ruchy, gesty, nie świadczyły o tym, by potrafiła się otworzyć na oferty mężczyzn. Tom zrozumiał jeszcze jedną rzecz: Liz nigdy nawet nie oczekiwała, by ktokolwiek mógł jej pożądać.

Coraz bardziej zaciekawiony, delikatnie wypytywał o Liz swoich nowych kolegów. Dowiedział się, że jest samotnicą, nie uczestniczy w agencyjnych uroczystościach i przyjęciach. Pojawiała się tylko na obowiązkowym koktajlu z okazji Bożego Narodzenia. Na lunch chodzi ze swoim zespołem do pobliskiej trattorii, bo jest „dobrym kumplem”. Nigdy nikt nie wyraził się o Liz jak o atrakcyjnej kobiecie.

Po pewnym czasie zauważył jeszcze, że Melanie traktuje Liz jak swój osobisty worek bokserski. Słuchając, jak Piękna wyśmiewa się z Bestii, doszedł do wniosku, że Liz znienawidziła samą siebie właśnie przez Melanie. Tom dyskretnie zachęcał Melanie do mówienia, a ta z radością paplała, bo dzięki temu mogła się pławić w zachwytach nad sobą. Z wypowiedzi Melanie wywnioskował, że kompleks niższości Liz jest wielki jak Everest. Właśnie dlatego cofała się przy pierwszej oznace zainteresowania z jego strony. Uznał, że Liz miała bardzo złe doświadczenia, zawsze czuła się zapędzona w kozi róg.

Tom postanowił coś z tym zrobić, bo po pierwsze polubił Liz, a po drugie nie mógł przeboleć, że tak niezwykła kobieta prowadzi klasztorny

tryb życia i najzwyczajniej w świecie się marnuje. Zdecydował, że dokona próby, gdy tylko znajdzie trochę czasu. A niestety z tym było dość krucho.

Ciągle musiał pilnować Melanie, a przy kampanii miał coraz więcej roboty. A gdy wreszcie nadarzyła się okazja, Liz wyjechała na tydzień. Po jej powrocie ze złością stwierdził, że jest już za późno. Uprowadził go inny mężczyzna.

Gdy tamtego wieczoru zobaczył ją w restauracji poczuł się tak, jakby dostał pięścią w żołądek. Jednak słusznie podejrzewał, że pod workowatymi sukienkami kryje się wspaniała kobieta: śmietankowa skóra, nie rozbudzona seksualność, niewinność istoty, która nie ma pojęcia, jakie wrażenie wywiera na mężczyznach. Ktoś ją obudził, ale kto? Na pewno nie młodzieniec, z którym siedziała przy stoliku. Owszem, wydawał się sympatyczny i zakochany, ale nie na tyle silny, by tak niewiarygodnie zmienić kobietę. Tom postanowił zmierzyć się z tajemniczym rywalem. Wiedział, że współzawodnictwo będzie bezlitosne. Ale on sobie poradzi. Gdy zobaczył szkic willi i usłyszał, jak Liz mówi o swoim „przyjacielu”, od razu się zorientował, że już wykrył przeciwnika.

Natychmiast też zauważył, że los dał mu idealną sposobność dostać się tam, gdzie chciał się znaleźć. Przeżył szok, gdy zobaczył, że Sven-gali jest nie tylko niewidomy, ale też dość stary. Jednak po przemyśleniu sprawy wszystko zrozumiał. Don mógł wpłynąć tak na Liz właśnie dlatego, że był ślepcem. Nie widział, jak ona wygląda, ale wyczuł, kim może się stać. Dzięki temu Liz potrafiła się przed nim otworzyć, powiedzieć mu o rzeczach, których nigdy by nie wyjawiała mężczyźnie widzącemu. Zbyt wiele oczu już na nią patrzyło i nic nie widziało.

Tom przeżył drugi szok, gdy się przekonał, że rajski czarodziej doskonale rozumie ludzkie pobudki i uczucia. *Maestro* nie widział twarzy, ale czytał z głosu i z tego, czego mu nie mówiono. Właśnie dzięki tym niezwykłym umiejętnościom zdołał przejrzeć Liz na wylot. Przekonał ją, że nie jest brzydula, z której Melanie może bezkarnie kpić. Jeśli tylko pozbędzie się swojego przebrania, natychmiast wzbudzi pożądanie wśród mężczyzn. I osiągnął sukces, choć tylko do pewnego stopnia. Najwyraźniej trudno jej było w to wszystko uwierzyć, bo nadal stawiała ochronne bariery.

Don oczywiście od razu go przejrzał i, ku zakłopotaniu Liz a jego wściekłości, bez przerwy nim manipulował. Ale dzięki temu Tom upewnił się co do jednego: Liz od samego początku właściwie na niego reago-wała. Podpowiadał mu to również atawistyczny samczy instynkt. Pod starannie kontrolowaną zewnętrzną powłoką dziewczyny krył się ognisty temperament. Tom nie miał już wątpliwości, że Liz jest dziewczicą i tylko

dlatego nie daje się ponieść do końca. Ale właśnie te potknięcia i błędy sprawiły, że stała się mu droga. Nigdy nie przeżywał równie silnych emocji przy bardziej doświadczonych kobietach. W końcu Liz niezdolna do poradzenia sobie z tym, co się przydarzyło nad rzeką, wdała się we flirt z Dieterem, a potem za dużo wypila, by o wszystkim zapomnieć.

Zamierzał z nią o tym porozmawiać w drodze powrotnej do Londynu, ale ten chytry stary lis zaszantażował go i zmusił, by wyjechał sam. Potem, w czasie kręcenia filmu Liz cały czas trzymała się na uboczu i udawała, że jest bardzo zajęta tym cholernym malowidłem.

Zastanawiając się nad własnym zachowaniem dzisiejszego wieczoru, Tom doszedł do wniosku, że postąpił jak doprowadzony do rozpaczki zazdrośnik. Chciał wyłożyć karty na stół. Wybrał się więc do pokoju Liz, ale na korytarzu zobaczył wychodzącego od niej Dona. A gdy Liz wreszcie się pojawiła, obróciła wniwecz jego zamysły. Uległ jej urokowi. To piękne stworzenie w purpurowym aksamitnym garniturze dzieliły lata świetlne od szarej, nudnej Elizabeth Everett, która pewnego dnia powiedziała mu gorzkim tonem, że wybiera się do raj. Jeszcze nigdy nie nienawdził Dona tak bardzo. I to właśnie doprowadziło do tragedii, a Liz do ucieczki, nie tylko fizycznej, ale też emocjonalnej.

Niech szlag trafi Melanie, zaklął w duchu. Na szczęście film jest skończony i mam ją z głowy. Teraz bez gadania musi spełniać wymagania agencji. A do czasu nowej kampanii Melanie się zestarzeje i klient poprosi o nową „twarz”. Oczywiście była wściekła, że Tom zainteresował się Liz. W takich sprawach widziała dalej niż teleskop Hubble'a. No, ale to już bez znaczenia. Teraz najważniejsze, by porozmawiać i naprawić stosunki z Liz. Tym bardziej, że nie ma Dona, do którego biedna dziewczyna mogłaby się zwrócić o pomoc.

Tom zdjął marynarkę, poluzował krawat i zrzucił buty. Przyciągnął fotel do łóżka na tyle blisko, by mógł na nim położyć nogi. Pod głowę wsunął poduszkę i przykrył się kocem. Pewnie nie zaśnie, ale po trzech podwójnych szkockich przynajmniej trochę odpocznie przed jutrzejszym dniem, który może przynieść albo wybawienie, albo nieszczęście.

Obudziły go ptasie trele. Był bardzo obolały. Zesztywniały mu wszystkie mięśnie. Z trudem się wyprostował i przeciągnął tak, że aż chrupnęło mu w stawach. Liz nawet nie drgnęła, więc poszedł zatelefonować, by mieć dla niej najnowsze wiadomości, gdy się obudzi. Stan pana diMarco jest stabilny, poinformowano go w szpitalu. Stwierdzono jednak podtwardówkowe krwawienie. Lekarze postanowili operować Dona. Właśnie był przygotowywany do operacji, która powinna się zakończyć koło południa.

Tom włączył ekspres do kawy i wyszedł na dwór. Po wczorajszym pięknym dniu pogoda się zmieniła. Niebo zakryły chmury, wiał zimny wiatr. Carey miał nadzieję, że nie stanowi to złej wróżby.

Gdy Dieter pojawił się na dole, Tom już siedział przy kawie.

- Ale z ciebie ranny ptaszek zawołał ze zdziwieniem Dieter. Zawsze przed śniadaniem przepływam pięćdziesiąt długości basenu. Jeśli chcesz, przygotuję śniadanie.

- Świetnie. A ja w tym czasie wezmę prysznic i się ubiorę.

- Jak się czuje Liz? - spytał młody Niemiec.

- Jeszcze śpi - odparł Tom. Przekazał Dieterowi informację ze szpitala.

- Maestro jest silny jak na starego człowieka stwierdził ufnie Dieter.

- Silny tak, ale nie stary.

Dieter rzucił Tomowi badawcze spojrzenie, ale nie odezwał się ani słowem.

Po porannej toalecie Tom jeszcze raz zajrzał do Liz. Ciągle spała, więc nalał sobie kolejną filiżankę kawy i zadzwonił do agencji. Johna Brittana nie było, ale zastał wujka Freda Barnesa. Opowiedział mu o wszystkim, co się stało. Pominął tylko atak Adeliny i reakcję Liz. Wziął na siebie całą odpowiedzialność za wypadek i obiecał znów zadzwonić, gdy tylko dowie się czegoś nowego.

- Myślisz, że poda nas do sądu? - spytał niespokojnie Fred.

Na pewno nie, jeżeli miałyby to zaszkodzić Liz, pomyślał Tom, a na głos powiedział:

- Nie wygląda mi na piniacza.

- No tak, ale w razie czego my zaskarżymy ekipę filmową. W końcu to ich pracownik nie zauważył kabla.

- Poczekajmy na wynik operacji - poradził Tom. - Takie spekulacje na nic się w tej chwili nie zdadzą.

- Tak, masz rację... Zajmij się wszystkim. Ty najlepiej dasz sobie z tym radę. Ale informuj mnie o rozwoju sytuacji. Przekaż ode mnie pozdrowienia dla Liz.

Gdy Dieter smażył bekon z jajkami, pieczarkami i pomidorami, i szykował całą blaszkę grzanek, Tom znów wrócił do pokoju Liz, niespokojny, że mogła się już obudzić. Leżała jednak tak samo, jak wiele godzin wcześniej. Carey zszedł na śniadanie.

Liz właśnie zaczynała wydobywać się z głębokiej, czarnej otchłani, gdy usłyszała cichy chrobot kłamki. Nagle całkowicie oprzytomiała. Nie

poruszyła się jednak, tylko uniosła leciutko powieki. Zobaczyła wychodzącego Toma.

Zmusiła się do spokojnego oddychania. Po chwili, która wydała się najdłuższa w całym jej życiu, usłyszała, jak drzwi się zamykają. Głęboko westchnęła i jeszcze przez jakiś czas leżała nieruchomo. Tom był ostatnią osobą, z którą chciałyby rozmawiać. Światło dnia przywróciło dziewczynie pamięć o wypadkach minionej nocy. Znow widziała siebie stojącą półnago na schodach przed całą gromadą gapiów. Słyszała wściekle obelgi wykrzykiwane przez Adelinę. A co najgorsze, pamiętała bezwładnie leżącego Dona. Z rany na głowie płynęła mu krew. Musi do niego iść. Może doznał jeszcze innych obrażeń? - pomyślała. Ale gdzie go szukać? Złamał rękę, nogę, a może nawet nie żyje. Ale cokolwiek mu się stało, musiała się o tym dowiedzieć.

Odrzuciła kołdrę i wstała. Była tylko w staniku i w majtkach. Nie pamiętała, jak się znalazła w łóżku. W ogóle nie przypominała sobie niczego od momentu, gdy uciekła od Adeliny. Teraz też czuła się tak, jakby płynęła w gęstej, mętnej substancji, a gdy chciała wydostać się na powierzchnię, zatrzymywały ją oplatające ciało wodorosty. Widziała światło, ale nie potrafiła się do niego przebić. Muszę wziąć prysznic, pomyślała. Zęby szorowała tak długo, aż pozbyła się nie milego słodkawego smaku w ustach. Potem wypila dwie szklanki zimnej wody. Gdy się wreszcie ubrała, włosy miała jeszcze mokre, ale nie traciła czasu na suszenie. Chwyciła torebkę i cichutko zeszła na parter.

Nikogo tam nie zastała. Znow poczuła pragnienie, więc skrzyła do kuchni, żeby napić się wody. Nagle usłyszała Toma. Chyba rozmawiał przez telefon, bo mówił, potem milczał, potem znow mówił. Może właśnie dowiadywał się o Dona? Liz na palcach podeszła do drzwi, cicho je uchyliła i zaczęła nasłuchiwać.

- ... Nie, zostanę tu jeszcze. Koło południa muszę zadzwonić do szpitala w Falmouth. Mówili, że są duże nadzieje, ale chcieli operować jak najszybciej. Nie, nikt, ekipa wyjechała wieczorem... zostaliśmy sami z Liz. Co takiego? Miała atak nerwowy? No i dobrze, bo to wszystko jej wina. Po co uwodziła starca?

Liz wycofała się od drzwi. Słowa Toma poraziły ją jak prąd. Nie pamiętała żadnego ataku nerwowego. Owszem, była wzburzona i bardzo zawstydzona, ale co się działo, gdy uciekła? No dobrze, jestem tchórzem, ale nie histeryczką, pomyślała. Ale przynajmniej teraz już wiem na czym stoję. Nie mam u niego najmniejszych szans. Sądzi, że romansowałam z Donem, a skoro mogłam uwieść mężczyznę

w podeszłym wieku, to nie powstrzymam się przed rozdawaniem swoich łask innym.

Liz nie przyszło do głowy, że dostała lek na sen i ciągle jeszcze jest oszołomiona. Czuła się zdradzona przez Toma, więc żeby nie zwariować, skoncentrowała się na jednej myśli, o Donie. Musiała się do niego dostać i wszystko mu wytłumaczyć. Powiedzieć, jak bardzo żałuje, że przywiozła tu Toma i zniszczyła spokój pięknej samotni.

Popęniła okropny błąd, a teraz rozpaczliwie chciała zebrać siły, by móc spojrzeć Donowi w oczy, gdy będzie go błagała o przebaczenie i o to, by jej nie odtrącał. Zresztą, jeżeli diMarco umrze, i tak go straci. Nie! Natychmiast przegnała czarne myśli.

Pobiegła do gospody. Poprosiła właściciela, by wezwał taksówkę.

W recepcji szpitala dowiedziała się, że pan diMarco jest w sali pooperacyjnej, a pani Rinaldi, która go przywiozła, spędziła przy nim całą noc.

Liz znalazła poczekalnię. Przez szklaną ścianę zobaczyła Adelinę. Włoszka siedziała skulona, rękami oplatała ramiona i kołysała się w przód i w tył, patrząc przed siebie niewidzącymi oczami. Gdy Liz weszła, ich spojrzenia się spotkały. Przez wymizerowaną twarz Adeliny przebiegł spazm sprzecznych emocji. Liz zorientowała się, że ta kobieta nie tylko śmiertelnie boi się o Dona, ale także jest przerażona. Przecież Liz mogła opowiedzieć swojemu ukochanemu opiekunowi, co Adelina wykrzykiwała nad jego bezwładnym ciałem. Przez chwilę Liz widziała w czarnych oczach rozpaczliwe błaganie o wyrozumiałość, ale zaraz potem Adelina ukryła twarz w rękach i rozszlochała się.

Proszę... nie mów mu, co ci powiedziałam... nie myślałam tak... bałam się o niego. Jestem przerażona i... *gelosa*...

- Zazdrosna?

- *Si...* wiem, że cię kocha, ale... *cualJiglia*... rozumiesz?

- Jak córkę?

Adelina gwałtownie skinęła głową.

- *Si... si...* - Popatrzyła na Liz wilgotnymi aksamitnymi oczami, w których strach mieszał się z błaganem. Proszę, nie mów mu o niczym - powtórzyła. - Będzie się na mnie bardzo gniewał. Naprawdę tak nie chciałam... tak się bałam, że umrze... to ze strachu i zazdrości wygadywałam te okropne rzeczy. Proszę, wybac mi i nic mu nie mów... odeśle mnie, a bez niego nie ma dla mnie życia. Błagam... zapomnij i przebac.

- Oczywiście, nie wspomnę tym ani słowem. - Liz westchnęła z ulgą. Przynajmniej z Adelina sprawy się ułożyły. Jak on się czuje?

- Problem z ciśnieniem w jego głowie... musieli ciąć... - Adelina ułożyła palce w kształt nożyczek, potem znów ukryła twarz w dłoniach. Boję się o niego... i o siebie. Jest moim życiem. Jeżeli umrze, ja też umrę...

- Nie umrze! - krzyknęła Liz. Nawet tak nie myślmy.

Adelina zdobyła się na niepewny uśmiech i wyciągnęła dłoń do Liz. Dziewczyna uściśnęła piękne, długie palce. I tak siedziały trzymając się za ręce i czerpiąc otuchę z tego dotyku, póki nie przyszedł lekarz, żeby przekazać dobre wiadomości. Operacja się udała, ciśnienie wewnętrz-czaszkowe doszło do normy, krwawienie ustało. Teraz Don odpoczywał. Za parę godzin będą mogły go zobaczyć.

Adelina słuchała całą sobą, z szeroko otwartymi oczami i rękami złożonymi jak do modlitwy. Po magicznych słowach: „udała się” i „odpoczywa”, przeżegnała się i wybuchnęła potokiem włoskiej mowy, z której można było wyłowić imiona najrozmaitszych świętych. Potem objęła mocno Liz i jeszcze raz zaczęła błagać o wybaczenie i milczenie.

- Już ci obiecałam, że nic nie powiem - zapewniała Liz.

Adelina jeszcze raz ją uściśnęła. Wreszcie uspokoiła się i wytarła łzy z jaśniejszą radością twarzy.

Do poczekalni weszła pielęgniarka z herbatą. Spytała, która z nich jest panną Everett.

- Ja. O co chodzi?

- Dzwonił pan Carey. Pytał o pana diMarco i o panią z Włoch. Powiedziałam, że jesteście tu panie we dwie. Poprosił, żeby przekazać, że już jedzie do szpitala.

Tom! Przejęta strachem o Dona całkowicie zapomniała o Tomie. Ale teraz, gdy już wiedziała, że Donowi nic nie grozi, wróciło poczucie zdrady i znów ogarnęła ją rozpacz. Została zraniona w najbardziej wrażliwe miejsce, zmuszona do odwrotu na dawną pozycję, bo po raz kolejny przegrała. Tom okazał swoje prawdziwe uczucia, gdy spokojnie słuchał wyzwick Adeliny. Nie zrobił nic, by powstrzymać zrozpaczoną kobietę i wyjaśnić, jak bardzo się myli. Widocznie sam wierzył, że Adelina ma rację. Nawet mnie nie szukał, gdy uciekłam, pomyślała z goryczą Liz. Skądże znowu. Został z Melanie, to ją trzymał w ramionach i pocieszał. O mnie przypomniał sobie dopiero teraz.

Oczywiście Liz wiedziała, że mężczyźni co innego mówią, a co innego myślą. Mieszkając z trzema dziewczynami prawie przez rok wystarczająco dużo nasłuchiwała się i natrzymała, jak mężczyźni z całkowitą obojętnością rzucają kobietę, gdy już się z nią prześpią. Współlokatorzki miały romans, a potem były porzucane z regularnością z jaką podnosi się i opada

jo-jo. Liz bez przerwy widziała ich łzy i cierpienie z powodu złamanego serca, zawiedzionego zaufania. Wyjątkiem była Melanie. Ona, dzięki swojej urodzie i bezduszości, zawsze wychodziła zwycięsko. Ale przeżycia Penny i Grace, dziewczyn atrakcyjnych, choć nie tak pięknych, jak Melanie, nauczyły Liz, że mężczyzna jest zdolny do wszelkich kłamstw i niegodziwości, po to tylko, by osiągnąć swój cel. Patrzącej z boku Liz wydawało się, że przedstawiciele płci przeciwnej kierują się wyłącznie popędem, nie sercem. Teraz osobiście się o tym przekonała. To, co Tom Carey mówił i robił, zwłaszcza poprzedniego wieczora, było jednym wielkim kłamstwem. Ona przynajmniej nie „poszła do łóżka z łajdakiem”, jak to wykrzykiwały Penny i Grace wśród szlochów, wspominając swoje związki.

Myślała, że ogarnie ją złość, będzie miała ochotę awanturować się i płakać, ale nie czuła nic oprócz pustki i ciężaru na sercu. Jednak gdy Tom przyszedł pół godziny później, była bardzo spięta. Tom popatrzył badawczo na Liz, potem na Adelinę. Zrozumiał, że się pogodziły, i jego twarz trochę pojaśniała. Najpierw pochylił się nad Adelina, wziął ją za rękę i zaczął z nią rozmawiać po włosku.

Liz nie wiedziała, o czym rozmawiają, ale Adelina uśmiechnęła się i odpowiadała pogodnym tonem. Po chwili zaczęła coś szybko mówić. Tom spojrział na Liz i zapytał:

- Dlaczego nie powiedziałeś, żebym cię tu przywiózł? Bardzo się zaniepokoiłem, gdy poszedłem sprawdzić, co u ciebie, i zastałem pusty pokój. Jak się czujesz?

- Dziękuję, dobrze. A przyjechałam sama, bo nie chciałam sprawiać ci jeszcze więcej kłopotów - odpowiedziała dobitnie Liz.

- A kiedy to nie sprawiałaś mi kłopotów? - spytał żartobliwie i uśmiechnął się, ale natychmiast spoważniał na widok ponurej miny Liz. - Na pewno dobrze się czujesz? - Tom zmarszczył brwi. Wczoraj przeżyłaś szok, ale dzięki Bogu wszystko skończyło się lepiej, niż można było przypuszczać. Teraz nie pozostaje nam nic innego, jak czekać. Wróć ze mną do willi. Panu diMarco już nic nie grozi.

- Nie ruszę się stąd, póki go nie zobaczę - oznajmiła chłodno Liz. - Wszystko mi jedno, jak długo będę musiała czekać. Teraz obchodzi mnie tylko on, jasne?

Zobaczyła, jak zmienia się wyraz jego twarzy

- O co ci chodzi? - spytał.

- Nie bądź głupi - zadrwiła Liz.

- Tak, w końcu powinienem nabrać rozumu - odparł również chłodno Tom.

- Więc oboje mieliśmy nauczkę.
- Moglibyśmy o tym porozmawiać?
- Po co?
- Doskonale wiesz, po co.

Liz spojrzała mu prosto w oczy.

- Tak, wiem przyznała. Ale nie mam ci nic do powiedzenia. - Zauważyła, że Tom jest wściekły ale i zraniony, jednak nie czuła najmniejszej litości. Nie czuła nic. Chciała tylko, by sobie poszedł i zostawił ją w spokoju.

Gdy wreszcie opuścił poczekalnię, Adelina znów wzięła Liz za rękę. Dziewczyna podniosła wzrok i napotkała spojrzenie zrozpaczonych, smutnych, błagających o wybaczenie czarnych oczu. Liz z trudem powstrzymywała łzy. Miała ochotę krzyczeć, wyć, zrobić coś, co ulżyłoby jej bólowi, ale tylko zagryzła wargi.

- To moja wina szepnęła Adelina. - *Dio mio!* Co ja narobiłam?
 - Przywróciłaś mi rozsądek - odparła szorstko Liz. Nie! - Potrząsnęła głową gdy Adelina chciała coś powiedzieć. Nie chcę więcej o tym mówić. Adelina się poddała, ale widać było, że jest nieszczęśliwa.

Do Dona pozwolono im wejść dopiero o drugiej. Przewieziono go już z sali pooperacyjnej do separatki. Głowę miał obandażowaną, twarz białą jak kreda, ale oddychał równo i spokojnie. Lekarz poinformował, że pacjent dobrze zniósł operację, jego stan jest stabilny, a puls równomierny i silny. Jeśli nic się nie zmieni, pan diMarco wyjdzie ze szpitala za dziesięć dni, a wtedy będzie już musiał tylko uważać na siebie i dużo odpoczywać. Poradził też, żeby one same również trochę zregenerowały siły i wróciły do szpitala jutro, gdy Don w pełni odzyska świadomość.

Gdy Adelina na własne oczy zobaczyła, że Donowi naprawdę nic nie zagraża, zgodziła się pójść do domu i trochę się przespać. Pojechały taksówką. Przywitał je Dieter. Powiedział, że Tom przekazał mu dobre wiadomości i zaraz potem wyjechał. Zdaniem Dietera Liz wyglądała dziwnie, ale nie robił na ten temat żadnych uwag. Zrozumiał, że coś poszło źle między nią a Tomem, który po powrocie ze szpitala na pytania odpowiadał krótko i opryskliwie.

Następnego dnia rano Don już nie spał, ale był oszołomiony. Słuchał ich z uśmiechem, mówił mało, ale mocno trzymał rękę uszczęśliwionej Adeliny. Dowiedziały się, że pan Carey dzwonił i pytał o najnowsze wiadomości.

Liz nie wróciła do Londynu. Zadzwoniła do Johna Britтана i poprosiła o urlop, który natychmiast otrzymała. Tę sprawę powinna załatwić

z Tomem, który był jej bezpośrednim przełożonym, ale bez skrupułów zrezygnowała z drogi służbowej. Po prostu nie życzyła sobie z nim rozmawiać.

Don z każdym dniem odzyskiwał siły. Po tygodniu już siedział i rozmawiał, jakby nic się nie stało. Machnięciem ręki zbył pokorne przeprosiny Liz.

- To nie była twoja wina - oświadczył. - Adelina wszystko mi wytłumaczyła, a Tom wziął całą odpowiedzialność na siebie.

- Ale... ja sprowadziłam ekipę... - Liz zaczęła od nowa się usprawiedliwiać.

- Bogini, żadnych „ale” - przerwał jej Don. - Już po wszystkim i wołałbym do tego więcej nie wracać. Liz chętnie zastosowała się do polecenia.

W niedzielę po południu odwiedziły Dona razem z Dieterem, którego Liz wcześniej ostrzegła, by nie wspominał o scenie, jaką urządziła Adelina. W separacie był lekarz, więc musieli zaczekać. Trochę się denerwowali, że może Don poczuł się gorzej, ale szybko ich uspokojono, że lekarz przeprowadza tylko rutynowe badanie.

Wreszcie pozwolono im wejść do separatki. Don miał na nosie ciemne okulary i był w doskonałym nastroju.

- Zakładam je, żeby zmniejszyć bóle głowy, które są ubocznym skutkiem operacji. Ale nie ma się czym przejmować. Z czasem wszystko minie.

Rozmawiali radośnie o jego powrocie do domu i o przyjęciu dla uczczenia tego wydarzenia. Don powiedział im również, że znów rozmawiał z Tomem.

- Wiedzieliście, że dzwonił codziennie, by pytać, jak się czujecie? I że agencja płaci za wszystko? Zatoczył szeroki łuk ręką, wskazując luksusową separatkę, kwiaty, karty z życzeniami ustawione na toaletce. - Mnóstwo ludzi przysłało mi życzenia zdrowia... to takie miłe. Bogini, miałaś rację, twój pan Carey to człowiek godny zaufania. W końcu przecież nie jest niczemu winny. To ja popełniłem błąd. Pozwoliłem, by moimi oczami była osoba, która nigdy nie widzi nic więcej, jak tylko siebie.

- I która wpada w histerię, gdy nie na nią są skierowane światła reflektorów - dodał Dieter z obrzydzeniem. - Ucieszyłem się, gdy Tom dał jej porządnego klapsa, żeby przestała wrzeszczeć.

Liz poczuła, jak krew zamarza jej w żyłach.

- Melanie miała atak nerwowy? - spytała, gdy już odzyskała głos.

- Och, oczywiście... nie widziałaś tego, bo cię tam nie było - powiedział Dieter. - Wpadła w histerię, gdy przestała być ośrodkiem zainteresowania, ponieważ wszyscy zajęli się moim biednym *Maestro*.

- I omal nie pękła z zazdrości, bo zniknęłaś gdzieś z Tomem - wyjaśnił Don. Właśnie dlatego chciałem ją trochę ugłaskać. - Z niesmaką pokijał głową. - A przecież powinienem wiedzieć, że nic nie osiągnie, gdy ktoś ma obsesję na własnym punkcie.

Do końca wizyty Liz już nic nie słyszała z rozmowy. Siedziała otępiała i przerażona wszystkimi błędnymi wnioskami, jakie tak pochopnie wysnuła.

Przypomniła sobie rozmowę telefoniczną Toma. Jeszcze otępiała pod wpływem środka nasennego, myślała, że Carey opowiada o jej ataku nerwowym. A przecież gdyby choć przez chwilę się zastanowiła, wiedziałyby, że chodzi o Melanie.

Och, Liz, jaka z ciebie idiotka, co za idiotka. Czy nigdy nie przewyciężysz braku wiary w siebie? - ganiła się w duchu. Każda normalna kobieta zażądałaby wyjaśnień. Ale nie ty. O, nie. Mały Uciekający Czerwony Kapturek potrafił tylko zasłonić uszy i wziąć nogi za pas. O Boże, lamentowała Liz. Co ja zrobiłam! Nic dziwnego, że spytał, czy dzieje się ze mną coś złego. Miał rację. Wszystko było złe.

Teraz, gdy dostała tak bardzo bolesną nauczkę wiedziała już, że podświadomie przygotowywała się na klęskę, która nieubłaganie wcześniej czy później musi przyjść. Czyż tak się nie zdarzało wielokrotnie tym dwóm ładnym dziewczynom, z którymi mieszkała? A ona sama była do tego stopnia przekonana, że nie potrafi utrzymać przy sobie tak atrakcyjnego mężczyzny, jak Tom Carey, że cały czas tylko czekała na porażkę. Z rozmyślną ślepotą postanowiła nie przyjmować do wiadomości swojego triumfu. A przecież Tom nie oszukiwał. Każdy jego pocałunek płynął prosto z serca, a słodkie słowa były szczere. A ona to wszystko porwała na strzępy i rzuciła mu w twarz.

Po powrocie do willi poszła prosto do telefonu. Znała numer domowy Toma. Dał go jej na wypadek, gdyby musiała się z nim skontaktować, a nie zastałaby go w pracy. Zbyt późno zrozumiała, że to było zaproszenie. Przez dłuższy czas nikt nie podnosił słuchawki. Wreszcie ktoś się odezwał. Kobieta. Liz rozpoznała głos Melanie. Natychmiast się rozłączyła.

12

Don wyszedł ze szpitala we środę. Do willi przywiozła go prywatna karetka. Nie chciał, by ktoś po niego przyjeżdżał, poprosił natomiast, żeby domownicy na progu przywitali go szampanem z jego piwniczki. Tak więc wszyscy zebrali się na tarasie. Sanitariusz pomógł Donowi wysiąść z samochodu, ale po schodach mistrz wszedł już sam. Nie nosił ciemnych okularów, na czole miał tylko niewielki plaster. Don wyglądał tak samo, jak zawsze, z jednym wyjątkiem: nie posługiwał się białą laską. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, bo przecież dobrze znał schody swojego domu, ale to przecież na nich się przewrócił. Liz usłyszała głębokie westchnienie Adeliny. Gdy się odwróciła zobaczyła jej oczy, jaśniejące szczęściem. Adelina przeżegnała się i zawołała:

- On widzi! On widzi!!!

Liz szybko spojrzała w stronę diMarco. W jego czarnych oczach spostrzegła triumfalną iskierkę życia, a co więcej, Don się do niej uśmiechał.

Płacząc i coś niezrozumiale wykrzykując, Adelina pofrunęła w jego objęcia. Don przez chwilę trzymał kobietę w ramionach. Liz z trudem powstrzymała łzy. Gospodarz czule pocałował Adelinę i wdał się z nią w rozmowę. Słowa padały tak szybko jak serie z karabinów maszynowych. W końcu, Don wyciągnął rękę do Liz.

- Miałem rację - powiedział miękko.

- W... czym? - spytała Liz, gdy już była w stanie wykrztusić artykułowane dźwięki.

Wszystko wam opowiem. Don roześmiał się radośnie. Ale najpierw dajcie mi szampana.

Gdy już dostał kieliszek, wznosił toast:

- Za moją boginię. Jest piękniejsza, niż sobie wyobrażałem. Wiedziałem, że wiele osiągniesz, ale muszę przyznać, że nie spodziewałem się aż tak fantastycznego wyniku. Piję za ciebie i za wróżki, które cię do mnie przyprowadziły.

Potem, gdy podniecenie trochę opadło, opowiedział im, co się wydarzyło.

- Uderzyłem się w głowę, co spowodowało krwawienie i wzrost ciśnienia wewnątrzczaszkowego. Operowali mnie, żeby je obniżyć, a przy okazji udało się zmniejszyć ucisk na nerw wzrokowy. Okazało się, że nie doszło do atrofii, jak przedtem przypuszczano. Dzięki zmniejszeniu ciśnienia nerw zaczął z powrotem funkcjonować. Gdy obudziłem się po operacji ciemność nie była już tak absolutna, raczej szara niż czarna, i ta szarość bladła z każdym dniem. Z początku nie rozróżniałem szczegółów, widziałem tylko kontury, zamazane i nieostre, ale jednak je dostrzegałem. W pierwszej chwili nie mówiłem o tym, bo chciałem być całkowicie pewny, ale gdy kształty stawały się coraz wyraźniejsze, powiedziałem lekarzom o swoim okryciu. Zaczęli mnie badać, świecić mi w oczy, zrobili tomografię mózgu, kazali patrzeć w lampki. W końcu ich diagnoza potwierdziła to, co ja już wiedziałem. Zardzewiały mechanizm wracał do życia. Gdy wczoraj przyjechaliście do mnie, widziałem czerwoną sukienkę Adeliny, szopę jasnych włosów Dietera i twój uśmiech, moja bogini. Jednak światło ciągle sprawia mi ból, więc na razie będę nosił ciemne okulary. Zresztą tak mi poradzili lekarze.

Następne dni upłynęły im w euforii. Gdy tylko rozeszła się wiadomość o cudownym ozdrowieniu mistrza, ze wszystkich stron zjechali się dziennikarze. Don udzielał wywiadów dla telewizji. Telefon ani przez chwilę nie przestawał dzwonić, a pocztę dostarczano workami. Liz na ochotnika zgłosiła się do odpowiadania na listy w nadziei, że przynajmniej jeden będzie od Toma. Rzeczywiście, Carey napisał, ale nie do Liz. Don nalegał, że teraz, kiedy już może, przeczyta list na głos. Tom gratulował Donowi odzyskania wzroku i powrotu do zdrowia. Zwracał też uwagę na fakt, że wypadek, który mógł mieć tragiczne skutki, w końcu okazał się szczęśliwym zrządzeniem losu. Życzył Donowi powodzenia i jeszcze raz wyraził podziękowanie za pozwolenie na skorzystanie

z willi. Nie było żadnej wzmianki o Liz ani o jej ewentualnym powrocie do pracy.

Zadzwoił natomiast John Brittan. Wychwalał Liz pod niebiosa. Dzięki ostatnim wydarzeniom agencja zyskała darmową reklamę.

- Moja droga, Francuzi chcą puścić nasze filmy jak najszybciej. A po obejrzeniu materiału, mimo że jeszcze nie zmontowano go do końca, mogę powiedzieć, że jest genialny! Co za dom! W połączeniu z Melanie i twoim wzruszającym scenariuszem, *L'amoureuse* będzie się sprzedawało na skrzyńki! Klient wpadł w absolutny zachwyt. Trudno wyrazić, jak bardzo jestem ci wdzięczny, że przekonałaś swojego przyjaciela, by pozwolił nam wtargnąć na swój teren. A w ogóle zacząłem wierzyć w przeznaczenie. Bo gdyby Tom nie zobaczył twojego szkicu, a potem nie pojechalibyście do willi, pan diMarco mógłby nigdy nie odzyskać wzroku. Nie martw się o pracę. Zostań w Kornwalii tak długo, jak będzie trzeba. Agencja musi sobie jakoś bez ciebie poradzić.

Dziwne, pomyślała Liz. W jednej chwili zwalają na człowieka całą winę, a w następnej rozdają medale. Wcale nie cieszyła się z pochwał. Od chwili, gdy ze strachu odtrąciła jedyne go mężczyznę, którego w życiu pragnęła, nic nie sprawiało jej przyjemności. Jednak w atmosferze wielkiego entuzjazmu uważała, by nie okazywać swoich prawdziwych uczuć. Tyle że Dona nie potrafiła oszukać nigdy, a już zwłaszcza teraz, gdy znowu widział.

- Coś cię niepokoi powiedział pewnego dnia rano, gdy zmagali się ze stosami listów. - Czyżbyś nadal czuła się winna?

- Nie. Już nie mam do tego powodów.

- Więc czym się martwisz?

Liz, znając przenikliwość Dona, wiedziała, że musiało dojść do takiej rozmowy, więc na wszelki wypadek przygotowała sobie usprawiedliwienie:

Muszę zacząć myśleć o powrocie do pracy. Jestem tu już od trzech tygodni. Nie mogę dłużej nadużywać waszej gościnności. Poza tym biedna Cesarzowa na pewno za mną tęskni.

- Uważasz więc, że nadszedł czas, byś mnie opuściła?

- Wrócił pan do zdrowia, odzyskał wzrok, więc nie jestem więcej potrzebna.

- Myślałem o tym. Mówiłem ci, że nalegają, abym znów dawał koncerty? Zaproponowano mi światowe *tournee*. Przyjąłem propozycję i bardzo bym chciał, żebyś pojechała ze mną jako moja asystentka. Zdążyłem się już przekonać, jak wspaniale załatwiasz wszystkie służbowe sprawy.

Potrzebuję kogoś takiego jak ty, żeby się zajął tysiącem drobiazgów: organizowaniem podróży, hotelu, reklamy, wywiadów, konferencji prasowych, czy prób. A komu mógłbym ufać bardziej niż tobie?

Adelinie.

- To prawda. Ona byłaby trzecią osobą w naszym trio. Zająłaby się sprawami bytowymi, a komfort, jak wiesz, jest dla mnie bardzo ważny. Gdybyś pojechała ze mną, musiałabyś zrezygnować z pracy w agencji. Ale za to zobaczyłabyś taki świat, jakiego jeszcze nie znasz. Przemysł tę propozycję. Nie będę nalegał, bo nie chcę, żebyś się zgodziła tylko z poczucia obowiązku, ale naprawdę z przyjemnością korzystałbym zarówno z twojego miłego towarzystwa, jak i z twoich zawodowych umiejętności. - Przerwał na chwilę. Chyba że jest ktoś, kto cię tu zatrzymuje?

- Nie ma nikogo takiego - odparła Liz patrząc mu w oczy.

Rozumiem, ale podejmij decyzję zgodnie z tym, czego naprawdę chcesz.

Liz zaczęła rozpatrywać wszystkie za i przeciw. Gdyby przyjęła propozycję, mogłaby, tak jak mówił Don, podróżować w luksusowych warunkach i zobaczyć świat, przebywać z mistrzem i Adelina, która teraz też stała się jej przyjaciółką. Zdobyłaby nowe umiejętności i doświadczenie. Ale gdyby wyjechała, zostawiłaby pracę, którą lubiła. No i Toma Careya.

Od tamtego telefonu, kiedy usłyszała głos Melanie, zastanawiała się, czy przypadkiem znów zbyt pochopnie nie wyciągnęła wniosków. Istniało mnóstwo powodów obecności Melanie u Toma. Mogli się tam spotkać w ważnych sprawach służbowych. Ale dlaczego wieczorem? A może jednak było to spotkanie kochanków? Z drugiej strony mężczyzna taki jak Tom nie wracałby do kobiety, o której wyrażał się z obrzydzeniem. Ostatecznie Liz doszła do wniosku, że póki nie będzie miała absolutnej pewności co do swojej przegranej, nie podejmie decyzji. Powiedziała więc Donowi, że musi jechać do Londynu załatwić parę spraw i odpowiedź da po powrocie.

- Oczywiście, doskonale to rozumiem - przyznał zupełnie szczerze.

Pojechała do Londynu następnego dnia. W agencji poszła prosto do swojego gabinetu i stamtąd zadzwoniła do Toma. Pani Stephens powiedziała, że szef właśnie prowadzi ważną prezentację i nie można mu przeszkadzać. Będzie wolny za godzinę. Liz postanowiła pójść na lunch. Ale nie do trattorii. Nie chciała spotykać się z kolegami i odpowiadać na nie kończące się pytania. Woląa też nie wywoływać kolejnej fali plotek. Wybrała się więc do pobliskiego baru kanapkowego. Tam stwierdziła

jednak, że nie jest głodna, więc wypijała tylko kawę i wróciła do agencji. Z windy akurat wyszła Melanie. Wyglądała olśniewająco w słoneczno-zółtej sukience i aż kipiała radością.

- Liz! Już po wszystkich przygodach? Prowadzisz takie ekscytujące życie... prawdziwa bajka! powiedziała z szyderczym uśmiechem i zaraz podjęła temat, który był jej najbliższy. - Na pewno się ucieszysz, gdy ci powiem, że moja bajka też ma szczęśliwe zakończenie. - Podsunęła Liz lewą rękę pod nos. Jak ci się podoba? - spytała chętnie. Na jej serdecznym palcu mienił się ogromny szafir.

- Gratulacje. Liz była dumna ze swojego chłodnego, obojętnego tonu.

- Pod koniec tygodnia jedziemy do Nowego Jorku. Tam weźmiemy ślub i zamieszkamy. On nie może się już doczekać powrotu do Stanów. Nie ma nic przeciw Londynowi, ale Nowy Jork...

- Kiedy się zaręczyłaś? - spytała Liz, wykazując akurat tyle ciekawości, ile nakazywała uprzejmość.

Wczoraj wieczorem. On podjął decyzję o, tak! Melanie strzeliła palcami. I nie zamierzał przyjąć do wiadomości odmowy.

- A chciałaś odmówić?

- Czy ja wyglądam na idiotkę? Melanie rzuciła Liz pogardliwe spojrzenie. Przez chwilę podziwiała swój szafir, a potem dodała: Muszę lecieć. Mam mnóstwo spraw do załatwienia. Cześć. - Pomachała ręką i tanecznym krokiem wybiegła z gmachu.

Liz poszła do swojego gabinetu, usiadła przy biurku, wzięła formularz do wewnętrznej korespondencji i szybko napisała wymówienie. Prosiła o natychmiastowe zwolnienie jej z obowiązków. Gdyby to jednak okazało się niemożliwe, napisała, wykorzysta zaległy miesiąc urlopu jako okres wypowiedzenia. Zrobiła dwie kopie: jedną dla Johna Brittana, drugą dla Toma Careya. Potem zadzwoniła do sekretariatu Brittana i spytała, czy prezes może ją przyjąć. Za dwadzieścia minut, usłyszała w odpowiedzi. Dzięki temu miała czas, by zamknąć się w magazynku przylegającym do gabinetu i serdecznie się wypłakać, a potem przywrócić twarzy przyzwoity wygląd. Gdy jechała na najwyższe piętro, była już spokojna i opanowana.

- Gość jeszcze nie wyszedł powiedziała przepaszająco sekretarka. - Przekroczył wyznaczony czas wizyty. Usiądź, prezes zaraz powinien być wolny.

Ale Liz podeszła do okna i zapatrzyła się na rzekę. Gdy usłyszała lekkie skrzyknięcie drzwi do gabinetu, odwróciła się i zobaczyła Toma Careya. Popatrzył na Liz. Ona popatrzyła na niego. On się nie uśmiechnął.

Ona też nie. Potem skinął głową jak dalekiej znajomej i już zamierzał wyjść, gdy Liz niewiele myśląc powiedziała:

- Gratuluję.

Zatrzymał się i spojrzął na nią ze zdziwieniem.

- Już słyszałaś?

- Właśnie się dowiedziałam.

- To miało jeszcze przez jakiś czas pozostać sekretem.

- W tej agencji nic się nie da ukryć.

Zmarszczył brwi, jakby przypomniał sobie o dobrych manierach.

- A co u ciebie? - spytał. Ostatnie dni w willi musiały być zupełnie niezwykle. Czytałem w gazetach, że *U signore* wraca na scenę.

- Tak. A ja jadę z Donem. Właśnie przyszłam włożyć wymówienie.

Jego twarz pozostała spokojna, ale Liz zobaczyła, jak napina mięśnie.

- Powinienem się tego spodziewać. Pozwól, że teraz ja ci pogratuluję - powiedział, obojętnym tonem. Potem ruszył do drzwi, ale Liz zawołała za nim:

- Nie sądzę, byśmy się jeszcze kiedyś spotkali, więc chciałabym rozstać się w zgodzie. Przepraszam za nieuprzejme zachowanie, gdy się ostatnio widzieliśmy. Byłam... zdenerwowana.

- Wiem.

Liz zdołała podać mu rękę.

- Już się nie gniewasz?

Popatrzył na jej dłoń, potem krótko ją uściskał i odparł spokojnie:

- Nie. - Zamilkł. Spojrzął Liz w oczy i dodał: Nie czuję żadnej urazy.

Liz posłała mu szeroki, pusty uśmiech, który bardziej przypominał grymas.

- A więc żegnaj - powiedziała i weszła do gabinetu Johna Britтана.

Prezes bardzo się zmartwił, gdy mu powiedziała, że odchodzi. Go-
rąco ją namawiał do zostania w agencji. Proponował rok płatnego urlo-
pu, podwyżkę, awans, ale na wszystko odpowiadała: nie.

- Czy chodzi o to, że nie chcesz pracować z nowym dyrektorem
kreatywnym? Chyba już słyszałaś, że Tom wraca do Nowego Jorku. Ma
tam zorganizować filię BB&B... To na razie poufna wiadomość, ale
w naszej agencji i tak wszystko zaraz się roznosi. Bardzo cię chwalił.
Tworzyliście dobry zespół. A tak przy okazji, widziałem wasz film. Jest
tak dobry, jak się spodziewaliśmy. Już dostał nominację do nagrody.

Naprawdę wspaniale razem pracowaliście. Ty i Tom jesteście doskonałymi partnerami. Naprawdę nie zmienisz decyzji? Może chciałabyś pojechać do Nowego Jorku? Tom na pewno byłby tym zachwycony. Mogę wszystko załatwić...

- Nie - powiedziała Liz.

John Brittan znał ten ton.

Więc klamka zapadła?

- Tak.

Westchnął.

* W porządku. Przyпускаjąc, że propozycja, którą dostałaś, jest zbyt dobra, by z niej rezygnować. Podróż dookoła świata z wielkim artystą to nie byle co. Ale pamiętaj, gdyby ci się nie ułożyło, wróć do nas. Obiecuj mi to, proszę.

- Obiecuję.

- Dobrze. - John poczęstował Liz sherry, gorąco ją uściskał i jeszcze raz prosił, by o nim nie zapominała.

Liz wróciła do siebie, opróżniła biurko, wyrzuciła to, czego nie zamierzała zabrać, resztę spakowała. Z nikim się nie pożegnała. Nie miała na to siły. Napisze do nich, do każdego członka zespołu osobno. Przepracowała w agencji prawie osiem lat. Wspaniale się tu czuła i wiele się nauczyła. O, tak. Bardzo wiele. Gdy wyszła z budynku, nie obejrzała się za siebie ani razu.

Chwilę potem Tom Carey wszedł do gabinetu Liz. Już jej nie było. Został pusty pokój i pełny kosz na śmiecie. Coś na wierzchu sterty papierów przyciągnęło jego wzrok. Jeden ze szkiców willi. Przez chwilę na niego patrzył, potem gwałtownie zniżył kartkę w kulkę i wrzucił z powrotem do kosza. Wyszedł z gabinetu trzaskając drzwiami. Jednak natychmiast zawrócił, znów wyjął zgnieciony szkic, starannie go rozprostował i zabrał ze sobą.

Dziewięć miesięcy później Elizabeth Everett siedziała przy empierowym biurku w salonie eleganckiego apartamentu nowojorskiego hotelu Carlyle i wystukiwała na laptopie listy. Miały być rozesłane do młodych śpiewaków, którzy zostali uznani za godnych, by **uczestniczyć** w letnim mistrzowskim kursie prowadzonym przez wielkiego Johna di-Marco.

Występy w Nowym Jorku były kulminacją światowego *tournee*. Trasa wiodła przez Londyn Paryż, Niemcy, Austrię i Włochy, a następnie kraje zza dawnej Żelaznej Kurtyny, gdzie zgotowano mistrzowi entuzjastyczne przyjęcie. Diaboliczny ogień w barytonie mistrza, nie gasnący mimo upływu lat, rozpalał słuchaczy Rosji do białości.

Po występach w Petersburgu i Moskwie skierowali się dalej na wschód, do Chin. Tam władze zezwoliły tylko na jeden koncert, więc słuchacze tłoczyli się na każdym najmniejszym nawet skrawku miejsca w wielkim Pałacu Pokoju. Don bardzo się irytował z powodu marnej akustyki.

Z Pekinu pojechali do Tokio. Tam z kolei wszystko okazało się idealnie. Potem polecili na Hawaje, na dziesięć dni odpoczynku, a następnie ruszyli w objazd po Australii i Nowej Zelandii. Po sześciu pełnych sukcesów i chwały tygodniach Don odpoczywał w Sydney. Jako widz chodził na przedstawienia do opery. Adelina i Liz też regenerowały siły przed najbardziej uciążliwą częścią podróży: po całych Stanach Zjednoczonych.

Don zaczął od opery w San Francisco, potem skierował się na wschód, występując w każdym większym mieście. Dziś, po dziesięciu

tygodniach, miał nastąpić wielki finał w Lincoln Centre, ostatni z serii trzech koncertów. Wyprzedano wszystkie miejsca, nawet wejściówki.

Całe *tournee* było jednym wielkim triumfem, również dla Liz. Przebyła długą drogę od zakompleksionej, zamkniętej w sobie dziewczyny, jaką jeszcze niedawno była, do kobiety pewnej swojej wartości. Gdy spaliła za sobą mosty, rzucając bardzo dobrą pracę, i przyłączyła się do gwiazdora, charyzmatycznego, ale niezwykle wymagającego, podjęła największe ryzyko swojego życia. W kręgach muzycznych nieustannie plotkowano o ich „trójkacie”. Liz nauczyła się dawać sobie z tym radę. Świetnie też radziła sobie z całym mnóstwem innych spraw, na przykład, zawodowymi potrzebami Dona.

W sprawach zawodowych Don okazał się zupełnie innym człowiekiem niż tamten niewidomy emeryt, zmuszony do pozostawiania na marginesie życia i zabawiający się drobnymi intrygami. Gdy chodziło o koncerty, Don był perfekcjonistą, i tego samego wymagał od swojego otoczenia. Uważał, że jego misją jest dawanie ludziom niezapomnianych przeżyć muzycznych. A do Liz i Adeliny należała troska o to, by nic nie stanęło na przeszkodzie w realizowaniu tego celu. Liz nauczyła się przezwyciężać wszelkie trudności, wielkie czy małe; a to odwołano lot, a to źle zrobiono rezerwację w hotelu, niewłaściwie przygotowano garderoby, nie podstawiono na czas limuzyny, czy też nagle nie podano cytryn i miodu, z których był przygotowywany dla Dona napój, który pił na godzinę przed występem. Zdarzyło się też, że zgubiono specjalną piankową poduszkę Dona. Mistrz nie mógł spać w pościeli wypełnionej gęsim puchem, bo potem miał kłopoty z gardłem. Zajmując się tym wszystkim, Liz nabrała ogromnej pewności siebie.

Elizabeth Everett, chłodna, zrównoważona, zadbana tak, że aż oniesmielała ludzi, nie była tą samą Liz Everett, która czerwieniła się jak burak i popełniała najrozmaitsze gafy. Zajęło jej trochę czasu, zanim przyzwyczaiła się, że musi być na każde zawołanie innej osoby, ale uczyła się szybko i pod koniec pierwszych sześciu tygodni *tournee* już wypracowała sobie własny system, dzięki któremu całe przedsięwzięcie toczyło się gładko.

Don tylko wzdychał z zadowolenia.

- Widzisz? - mawiał. - A nie miałem racji? Potrafisz wszystko i jesteś zachwycająca. Mając ciebie do wygładzania ścieżek zawodowych i Adelinę do dbania o osobiste potrzeby, żaden mężczyzna nie mógłby marzyć o niczym więcej.

Jego śpiew udawał, jak ważna jest dobra organizacja. Gdy wszystko było w porządku, Don śpiewał jak anioł. Ale gdy coś szwankowało,

rozpętywało się piekło. Dlatego też Liz starała się dopracować każdy szczegół, co jednak nie zawsze było możliwe ze względu na lokalne warunki. Wieloletni agent Dona podziwiał sposób, w jaki dbała o mistrza.

- Muszę przyznać, że jesteś urodzoną organizatorką komplementowała Liz.

Szybko się zorientowała, że zawsze trzeba nawiązać kontakt z ludźmi z następnego miasta na trasie, gdy Don jeszcze śpiewał w poprzednim. Należało upewnić się, że wszystko jest ustalone i zamówione zgodnie z wymaganiami Dona, a teraz czeka w gotowości na jego przyjazd. Zebrała encyklopedyczną wiedzę o różnicach między salami koncertowymi w poszczególnych miastach, które odwiedzali. Stała się też ekspertką od lokalnych sieci telefonicznych, chociaż dziękowała Bogu za pocztę elektroniczną i faks.

Nie potrzeba było wiele czasu, by dotarły do niej szeptane komentarze na temat ich trojga. Ludzie starali się odgadnąć, jakie miejsce zajmuje młoda dziewczyna w życiu mężczyzny, który zawsze lubił się chwalić sercowymi podbojami. Jednak Liz знаła swoją wartość i nie przejmowała się złośliwymi uwagami. Jej stosunki z Donem były wyłącznie służbowe. Zresztą sam diMarco nie ukrywał, że jest z niej dumny, ale traktuje ją jak córkę.

Dawał Liz dużo wolnego czasu, zachęcał do przyjmowania licznych zaproszeń od mężczyzn. Liz jednak wkrótce odkryła, że dla wielu pseudodatorów jest po prostu środkiem mającym ułatwić zbliżenie do największego Don Giovanniego ostatnich czasów. Don pilnował również, by jej nazwisko znalazło się na liście gości przyjęć, kolacji i bankietów, w których sam uczestniczył. Dzisiejszy wieczór też nie stanowił wyjątku. Po ostatnim koncercie amerykański impresario Dona wydawał bankiet, by uczcić fantastyczny sukces właśnie zakończonego *tournee* i by porozmawiać o następnym.

Gdy Liz uporała się z korespondencją do kandydatów na kursy mistrzowskie, jak co tydzień napisała list do ojca. Parę miesięcy temu opowiedziała mu o swoich planach.

- Jedź z nim, jeżeli jesteś pewna, że tego właśnie chcesz skomentował krótko. - W końcu to twoje życie, a jesteś wystarczająco dorosła, byś wiedziała, czego pragniesz.

Ojciec z radością zabrał do siebie Cesarzową, a jego dwunastoletnia złota labradorka Suzie, po początkowych konfliktach, poczuła do kotki prawdziwą słabość i pozwalała jej bezlitośnie sobą dyrygować. Liz szybko zapełniła dwie strony plotkami dla ciotki, która wprawdzie

odmówiła zajęcia się Cesarzową, bo nie miała serca ani do psów, ani do kotów, ale uwielbiała słuchać szczegółów o wydarzeniach opisywanych w gazetach i omawianych w telewizji.

Liz wydrukowała listy, włożyła do kopert i zostawiła na tacy do zabrania przez służbę hotelową. Przeciągnęła się i spojrzała na zegarek. Miała wolne pół godziny, zanim będzie musiała pomóc Donowi przygotować się do koncertu. Don jak zwykle przed występem odpoczywał. Adelina obudzi go o szóstej i poda surowe jajko ubite z koniakiem - nigdy nie jadał przed występem. Potem Don weźmie długą, odprężającą kąpiel, ubierze się, a za kwadrans ósma przyjedzie po niego samochód i zawiezie go do Lincoln Centre. Koncert zacznie się dokładnie o wpół do dziewiątej, bez najmniejszego opóźnienia, bo wszyscy wiedzieli, jak Don nienawidzi niepunktualności.

Liz ułożyła się z nogami na kanapie i pilotem włączyła telewizor, wyciszając dźwięk prawie do końca. Wprawdzie Don i Adelina zajmowali sąsiedni apartament, ale śpiewak miał lekki sen. Pierwsza stacja, na którą trafiła, nadawała komedię sytuacyjną. Tak samo druga, trzecia i czwarta. W końcu Liz znalazła wiadomości, ale zaraz zostały przerwane reklamami. Liz oglądała spoty z zaciekawieniem, porównując styl amerykański z brytyjskim.

Nagle gwałtownie usiadła. Na ekranie pojawiła się znajoma twarz i fontanna, którą również rozpoznała. Dave miał rację, spodziewając się wielkiego sukcesu. Liz widziała słynny cykl reklam *L'amoureuse* prawie we wszystkich krajach, przez które przejeżdżali, nawet w Japonii. Wiedziała, że zdobył wiele nagród. Dave Barras reżyserował teraz swój pierwszy film fabularny, ale o pozostałych osobach, włączając w to Melanie i jej męża, Liz nic nie słyszała. Po napisaniu pożegnalnych listów do kolegów z agencji, celowo odcięła się od tamtego światka i wspomnień. Jednak gdy odległość między jej dawnym a obecnym życiem rosła coraz bardziej, od czasu do czasu potrafiła zdobyć się na wysłanie pocztówki do Bertie'ego Frya, Johna Britтана, wujka Freda i innych. Z Jilly utrzymywała regularny kontakt i właśnie do niej pisała najciekawsze listy.

Gdy przyjechała do Nowego Jorku spodziewała się, że Melanie ją odszuka, by chętnie się swoim triumfem, ale byli tu już od tygodnia i nic takiego się nie stało. A przecież Melanie na pewno wiedziała o pobycie Liz, bo o koncertach Johna diMarco rozpisywały się gazety i ciągle mówiono o tym w telewizji.

Jednak po zastanowieniu Liz przestała się dziwić. Przeprosiła Toma, ale i tak zerwanie było ostateczne.

Daj spokój, napomniała się, odsyłając swojego osobistego dzina z powrotem do butelki. Teraz już wiesz, jak łatwo mężczyzna daje się uwieść pięknej kobiecie. No tak, ale... wydawało mi się, że Tom potrzebuje czegoś więcej niż tylko ładnej buzi. Mogłabym przysiąc, że jest inny. A więc po prostu się myliłam. Wcale nie jest inny. I dlatego wyrzucił mnie ze swojego życia.

Cały kłopot polegał na tym, że gdy o tym myślała - a starała się robić to jak najrzadziej - rana ciągle jeszcze krwawiła. A jednak żaden mężczyzna nie potrafił ukoić tłącego się bólu, chociaż kilku próbowało. Jednak zawsze znajdowała w nich coś, co jej się nie podobało. A to usta, a to dziwaczne poczucie humoru, owłosione ręce. Usta Toma były ładnie wykrojone, ręce gładkie i dobrze utrzymane. Głos miał spokojny i łagodny, sposób bycia charakteryzujący człowieka, który wierzy w swoją wartość, a poczucie humoru pokrewne jej własnemu. Żaden inny mężczyzna nigdy nie zdołał poruszyć jej aż do głębi już w pierwszej chwili znajomości. Nie wywierał też na niej tak niepokojącego wrażenia.

Gdybym teraz spotkała Toma, pomyślała Liz, jakże inaczej potoczyłyby się sprawy! Nie bałabym się przyznać do swoich uczuć ani do błędów, jakie popełniłam, wyciągając fałszywe wnioski. Moglibyśmy pośmiać się i z tego, i ze mnie. Teraz potrafiłabym się na to zdobyć. Ale człowiek czasami dostaje tylko jedną szansę, a ja swoją zaprzepaciłam.

Liz wyłączyła telewizor i poszła do łazienki. Przygotowała sobie kąpiel z pieniącym się płynem o zapachu *Mitsouko*. Od tamtej bajkowej nocy, gdy Tom powiedział jej, że cudownie pachnie, nie używała żadnych innych perfum.

Moczyła się kwadrans, potem owinęła się prześcieradłem kąpielowym. Zabrała się do robienia makijażu i układania włosów. Nie wahała się ani chwili przy doborze kosmetyków i fryzury; od dawna była kobietą pewną swojej wartości. Rozpyliła w powietrzu chmurę *Mitsouko* i przeszła przez gęstą mgiełkę, by zapach przywarł do każdego centymetra nagiego ciała. Założyła stanik Jewel Park, majtki do kompletu, i wreszcie sukienkę z grubej białej krepy na cieniutkich ramiączkach. Na ramiona zarzuciła krótki żakiecik o kroju kardiganu ze srebrnymi cekinami mieniącymi się jak słońce na wodzie. Do uszu włożyła perłowe kolczyki, lewy nadgarstek ozdobiła bransoletką.

Widok ją zadowolił. Wzięła więc wieczorową kopertową torebkę, sprawdziła jej zawartość i ruszyła do drzwi sąsiedniego apartamentu. Zapukała delikatnie i weszła. W salonie nikogo nie było. W łazience Adelina

polerowała miękką jedwabną ściereczką lakierki Dona. Nigdy by nie dopuściła, by służba hotelowa chociażby dotykała jakiegokolwiek sztuki jego garderoby. Ona знаła jego upodobania i nikt inny nie potrafiłby im sprostać.

- Wszystko w porządku? spytała po włosku Liz. Adelina uczyła ją swojego ojczyztego języka.

- Tak. Goli się.

- A głos?

- *Perfezione* - zapewniła z uśmiechem Adelina.

- Świetnie. Wobec tego jadę zobaczyć, czy w Lincoln Centre wszystko już gotowe. Tam się spotkamy.

Liz zawsze jechała pierwsza do sali koncertowej. Sprawdzała garderobę, fortepian, zestaw posiłków, które Don jadł po koncercie, rozmawiała z akompaniatorem. Jednym słowem upewniała się, że nic nie popsuje humoru mistrzowi, gdy wreszcie się zjawi, dokładnie o czasie, ubrany po domowemu, w zwykłe spodnie i sweter. Za nim zawsze szła Adelina, niosąc w foliowych ochraniaczach frak i koszulę z wykrochmalonym gorssem. Wtedy Liz informowała, że wszystko jest w najlepszym porządku, i wycofywała się do służbowej łoży. Adelina natomiast zostawała z Donem, pomagała mu się przebrać, a na koniec wpinała mu do butonierki goździk. Na ogół dołączała do Liz, gdy już gaśły ostatnie światła.

Dzięki szerokiej skali głosu Don mógł śpiewać prawie wszystko. W dzisiejszym programie jako pierwszą miał dramatyczną, wzbudzającą dreszcze pieśń Schuberta *Król Olch*. Potem zachwyił słuchaczy urzekającym pięknem Duparca, pełnymi elegijnego smutku pieśniami Hugona Wolfa, następnie, dla zmiany nastroju, pogodną muzyką Mozarta. Na zakończenie brawurowo wykonał pieśni Berlioza. Po owacji na stojąco musiał jeszcze dać dwa bisy, na które wybrał utwory amerykańskie. Długo po tym, jak zszedł ze sceny, ludzie jeszcze klaskali i wznosili okrzyki.

Adelina i Liz poszły za kulisy przed końcem koncertu, żeby Don od razu po powrocie do garderoby miał przygotowany kieliszek schłodzonego szampana. Było już rytuałem, że trunek podawała mu Adelina. Spragniony śpiewak wypijał go jednym haustem. Dopiero wtedy zdejmował frak i wkładał wygodniejszy smoking z czerwonego jedwabiu. Pił drugi kieliszek, już powoli, a Liz zdawała mu sprawozdanie o reakcjach publiczności i przekazywała opinie zasłyszane podczas przerw. Potem nadchodził czas na przyjęcie ludzi, którzy chcieli osobiście przekazać mistrzowi słowa zachwytu. Mimo wielkiego zmęczenia. Don nigdy się nie uchylał od tych spotkań.

Godzinę później pojechali na Piątą Aleję, do *penthouse 'u* amerykańskiego impresaria. Zebrało się tam już liczne grono wielbicieli, posypały się oklaski i zachwyty, a na Liz spadł obowiązek odsunięcia od Dona sporej grupki pochlebców i cmokierów. Poszło jej łatwo, bo już zdążyła nabrać w tym wielkiej wprawy.

Stała akurat pod ogromnym żyrandolem. Wydawało się, że dziewczyna świeci własnym światłem od tysięcy lśniących cekinów na żakiecie.

Ołsniewająca, pomyślał mężczyzna, który był w drugim końcu pokoju, przy oknie wychodzącym na taras. Ani śladu dawnego braku pewności siebie, emocjonalnych zahamowań i bezbronności. To już zupełnie inna kobieta. Wziął pod rękę ładną blondynkę i zaczął powoli przesuwając się przez pokój, pozornie bez celu, rzucając słówko tu, słówko tam, ale w rzeczywistości zmierzał prosto do osoby, którą sobie upatrzył. Wreszcie dotarł na skraj grupki zgromadzonej pod żyrandolem. Jedni podchodzili, inni szli dalej, więc po chwili udało mu się znaleźć przy kobiecie stojącej w środku.

- Widzę, że stałaś się prawdziwą boginią.

Dawna Liz zdradziłyby się ze swoimi uczuciami, ale nowa pozdrowiła go tylko głosem chłodnym jak świeży śnieg. W milczeniu patrzyli na siebie. Towarzystwo z wycuciem zostawiło Toma i Liz samych. Nawet blondynka odeszła usprawiedliwając się, że trochę dalej widzi znajomego, z którym chciałyby porozmawiać.

Tom nawet tego nie zauważył. Nadal mierzyli się wzrokiem jak wrogowie.

- Oziębłość dodaje ci jeszcze więcej uroku - powiedział wreszcie Tom. - Najwyraźniej dobrze na ciebie wpływa światowe życie.

- Owszem - odparła z uśmiechem Liz, a Tom poczuł się tak, jakby wbiła mu w serce miecz.

- Niczego nie żałujesz?

Wzruszyła ramionami.

- Jak to śpiewa Frank Sinatra w *My Way*, może, czasami...

- Ale nadal podążasz swoją drogą?

- A potrafisz sobie wyobrazić lepszą?

Nie zdołał jej zbić z tropu i wcale mu się to nie podobało. Uwielbiał nagle rumieńce Liz. Były takie zabawne, wzruszające, budziły w nim czułość.

- Widzę, że życie na Olimpie bardzo ci pasuje. Jakiego przebrania mistrz użył tym razem? Na pewno potrafi zmienić się w byka, łabędzia

albo złoty deszcz⁷. Owszem, mówił, że nie jest Zeusem, ale oboje wiemy, że takie zaprzeczanie to tylko jego „próżnostka”, prawda?

- Przy mnie nie musi używać kostiumów – odparła Liz z ogniem w oczach, r Wiem, jaki jest.

- A więc wiesz o nim znacznie więcej, niż kiedykolwiek pozwoliłaś, żebym ja dowiedział się o tobie. Zawsze, gdy starałem się do ciebie zbliżyć, odpychałaś mnie. Ale teraz już rozumiem, jakie wtedy było twoje położenie... Mimo to nie myślałem, że pozwolisz tak się upokarzać.

Przez chwilę jej oczy płonęły żywym ogniem, a twarz zasnęła się śmiertelną bledością. Liz zacisnęła palce na nóżce kieliszka. Wydawało się, że chluśnie na Careya winem. Ale w końcu odwróciła się na pięcie i bez słowa go zostawiła.

⁷ Postacie, które przybierał Zeus, żeby uwodzić śmiertelniczki (przyp. tłum.).

14

Shelley Anson, blondynka, która przyszła z Tomem Careyem, z daleka obserwowała tę konfrontację: narastające napięcie, mowę ciała, chłodny wyraz twarzy, sposób, w jaki ciskali w siebie słownymi pociskami. Według niej a jako dwukrotna rozwódka była doświadczoną kobietą - wszystko to świadczyło o uczuciach doprowadzonych do stanu wrzenia.

O tym, że Tom wprost kipi, przekonała się od razu, gdy tylko jego wzrok padł na posągową piękność w białej sukni. Wyczuła, jak coś go nieodparcie przyciąga do asystentki mistrza. Od pierwszej chwili znajomości z Tomem wiedziała, że w jego życiu jest inna kobieta. Otwarcie powiedział jej o tym, kiedy zostali kochankami. Oświadczył, że z radością będzie się z nią widywał, ale nie mógłby obdarzyć jej uczuciem. Mimo tego ostrzeżenia zakochała się, bo nigdy nie potrafiła oprzeć się wyzwaniu. A teraz zobaczyła ukochaną Toma.

Shelly bacznie przyglądała się rywalce. Co ona ma takiego, czego mnie brakuje. Oprócz dziesięciu dodatkowych centymetrów wzrostu i piętnastu kilo wagi zastanawiała się w duchu. Dlaczego Tom wpatruje się w nią z bolesnym wyrazem w oczach? Ale ta madonna też wygląda jakby była na torturach. Nie ma się co łudzić, westchnęła Shelley. To przez tę kobietę Tom jest dla mnie nieosiągalny. A ja nie pozwolę, by ktoś ranił mężczyznę, na którym tak bardzo mi zależy.

Shelly obserwowała rywalkę. Elizabeth Everett przesuwiała się wśród tłumu w kierunku tarasu, by, jak Shelley przypuszczała, dać upust łzom. Tom natomiast chwycił kieliszek z tacy przechodzącego obok kelnera

i wypił alkohol jednym haustem. W ten sposób nie załatwisz problemu, powiedziała mu w duchu. Muszę ci pomóc.

Właśnie wtedy honorowy gość w towarzystwie wysokiej Włoszki podszedł z wyciągniętymi ramionami do Toma i powitał go jak dawno utraconego przyjaciela. Shelley postanowiła wykorzystać sytuację. Szybko utorowała sobie drogę do szeroko otwartych francuskich okien, przez które napływało ciepłe wiosenne powietrze.

- Tom, mój drogi... Adelina mi cię pokazała. Nie spotkaliśmy się po tym, gdy odzyskałem wzrok, więc nie wiedziałem, jak wyglądasz. Tak się cieszę. Co porabiasz w Nowym Jorku?

- Pracuję. Kieruję amerykańską filią BB&B. Agencja odniosła wielki sukces dzięki cyklowi reklam *L'amoureuse*, który częściowo kręciliśmy w pana posiadłości. Na szczęście wszystko dobrze się skończyło. To zupełnie tak, jakby spełnił się sen.

- Ładnie powiedziane, ale nigdy nie wątpiłem, że zasługujesz na awans.

- Bardzo duża była w tym zasługa Liz. Wydaje się, że każdy z nas dostał to, co chciał.

- To prawda. - Don natychmiast wyczuł rozmówcę. - Bardzo polegam na Liz. Nie wiem, co bym bez niej zrobił.

- A ja wiem - powiedział Tom.

Ich spojrzenia spotkały się na dłuższą chwilę. Tom patrzył wyzywająco, Don badawczo. W końcu diMarco podjął decyzję. Uśmiechnął się, skinął głową i powiedział:

- Sądzę, że nadszedł czas, żebyśmy sobie szczerze porozmawiali. Trzeba było zrobić to już dawno, bo są pewne rzeczy, o których powinienś wiedzieć. Adelino, wybacz, że cię zostawiamy. Wziął Toma po rękę i odprowadził na bok. - Chyba nigdy ci nie mówiłem, jak poznaliśmy się z moją boginią. To bardzo pouczająca historia. Opowiem ci ją...

Gdy Shelley wyszła na taras, jej zwierzyny nie było w zasięgu wzroku. Wiedziała jednak, że za zakrętem jest mały ogródek, niewidoczny z okien, ukryty za starannie przystrzyżonymi krzakami. Tam właśnie znalazła osobę, której szukała. Wysoka blondynka stała z rękami zaciśniętymi na poręczy tarasu i wpatrywała się w Central Park.

Gdy Shelley podeszła, kobieta nie odwróciła się, tylko wytarła oczy chusteczką i głośno wydmuchała nos.

- W tym ogrodzie działa automatyczny zraszacz - powiedziała miłym głosem Shelly. - Nie musisz podlewać roślin łzami. Uważaj, bo zamoczysz sobie sukienkę. - Po chwili milczenia Shelly znów się odezwała: - Och, widzę tu dziś więcej rozbitków niż po katastrofie „Titanica”. A moje nadzieje zatoneły na zawsze.

Liz dopiero teraz zwróciła uwagę na Shelley.

- Co masz na myśli? spytała przez łzy.

- Ten piękny oceaniczny jacht o nazwie „Tom Carey”. Właśnie go storpedowałam.

Liz spojrzała ze zdumieniem.

- Tak, właśnie o niego mi chodzi. O twojego Toma Careya - dodała dla jasności Shelley.

- On nie jest mój. I nigdy nie był.

- O, tak, jest twój. Nawet jeżeli go nie chcesz. - Shelley chwilę milczała. Ale przecież go chcesz, prawda?

Liz spojrzała w mądre brązowe oczy.

- Tak. Myślałam, że wszystko skończone, ale gdy go zobaczyłam... Shelley westchnęła.

- Uczysz się na swoich błędach. Ale dlaczego moim kosztem? Tom traktuje takie przyjęcia jak przykry obowiązek, a dziś odwołał wszystkie inne sprawy, żeby tylko tu przyjść. Teraz już wiem, o co mu chodziło. Widziałam, jak rozmawialiście. Miotają wami potężne emocje. Działacie na siebie jak dwa przeciwstawne ładunki elektryczne.

- Zawsze wybieram złą drogę - szepnęła z rozpaczą Liz. - On mnie oskarża o...

- Romansowanie ze staruszką?

Liz znów wytarła nos.

- Tak. Ale ja po prostu pracuję u Dona. To wszystko.

- No, na mieście mówi się zupełnie co innego. Sama jestem artystką, chociaż śpiewam w klubach, nie w salach koncertowych, i utwór, który wykonuje wasze trio określiłabym jako *eon amore*.

- A więc się mylisz. Adelina i Don od niepamiętnych czasów stanowią duet. Ja tylko przewracam strony nut. Tom jednak wbił sobie do głowy, że Don przygotowuje mnie na następczynię Adeliny. Co za bzdura! Nie tylko ja nie chcę zająć miejsca Adeliny, ale też Don nie zamierza odprawiać swojej ukochanej Włoszki.

Shelley usiadła na ławce przy ścianie.

- Więc mi wytłumacz, o co chodzi.
- Dlaczego miałabym to robić?
- A jak bez tego mogłabym ci pomóc?
- Ty? Mnie?

- Tak. A przede wszystkim Tomowi, bo go... bardzo lubię. Gdyby nie miał bzika na twoim punkcie, już bym go złapała dla siebie, ale pan Carey pragnie tylko ciebie. Ani przez chwilę nie czuł do mnie tego, co najwyraźniej czuje do ciebie, chociaż ani razu nie wymienił twojego imienia. Nie wiem, co między wami zaszło, ale pochodnia miłości, którą on niesie, jest większa od tej która tkwi w ręku pewnej damy stojącej na Liberty Island.

- To nie ma sensu - stwierdziła Liz, marszcząc czoło. , Po co by się żenił z Melanie, skoro kocha mnie?

- Co takiego?

Mówię o jego żonie, Melanie.

- Tom nie jest żonaty. Mieszka sam. Już ja o tym dobrze wiem.

- Ale... mieli romans. Melanie pokazała mi pierścionek zaręczynowy i oznajmiła, że wyjeżdża do Nowego Jorku. Potem się dowiedziałam, że on też wraca do Stanów.

- Powiedziała, że wychodzi za Toma?

- Nie, ale... - Liz zamknęła oczy i jęknęła w rozpacz. O Boże! Znow to zrobiłam. Ukryła twarz w dłoniach. Dlaczego zawsze, jeśli chodzi o Toma, zachowuję się jak idiotka? Ciągle wyciągam niewłaściwe wnioski.

- Bo miłość niszczy rozum. Mówi się, że jest ślepa, ale pod tym względem wy dwoje pobiliście wszelkie rekordy.

- Na tym polegał mój kłopot. Nie wierzyłam w siebie, a przez to nie mogłam też ufać Tomowi.

- Posłuchaj, kocham i szanuję Toma. Z całego serca pragnę jego szczęścia. Jeżeli nie może żyć bez ciebie, musi żyć z tobą. I niech tak się stanie.

- Nie jesteś zazdrosna? Ja wydrapałabym ci oczy.

- Zazdrość jest destrukcyjna. Niczego na niej nie zbudujesz. Poza tym Tom mnie ostrzegł, że nie odwzajemni moich uczuć. Dziś się dowiedziałam, dlaczego. Skoro więc nie mogę mieć jego miłości, chcę przynajmniej zachować przyjaźń. Zresztą podobno jest więcej warta niż miłość. No... - Poklepała Liz po ręku. - Opowiedz wszystko pocziwiej Shelley, a potem zobaczmy, co da się zrobić.

Zachęcona życzliwością kobiety, która nie osądzała, lecz tylko usiłowała zrozumieć, Liz opowiedziała o wszystkim, łącznie z przebiegiem

ostatniego spotkania z Tomem, do jakiego doszło przed drzwiami gabinetu Johna Brittana.

- Tak, jak podejrzewałam - westchnęła Shelley, gdy Liz zamilkła. - Oboje jesteście zupełnie zaślepieni. Gdzie wy macie oczy? Dziewczyno, już najwyższy czas, żebyście dali sobie buzi na zgodę, ale przedtem musisz się doprowadzić do porządku. Masz zapuchnięte oczy i zjadłaś całą szminkę z ust. Chodź, poprawimy makijaż. - Wciągnęła Liz do salonu i poprowadziła do gotowalni z lustrami i toaletkami. Otworzyła szufladę z całą masą środków upiększających.

- Już tu kiedyś byłaś? - spytała Liz.

- Wiele razy.

Shelley usiadła i przyglądała się, jak Liz doprowadza twarz do pierwotnego, doskonałego stanu. W końcu nie mogła się powstrzymać i zapytała:

- Naprawdę nigdy się nie malowałaś i używałaś tylko wody i mydła?

- Tak.

Shelley pokręciła głową. Potem obejrzała rezultat zabiegów kosmetycznych Liz i stwierdziła bez ogródek:

Nic dziwnego, że Tom był zaskoczony twoją transformacją. I za każdym razem, gdy ten chytry stary lis podsuwał mu ciebie jak trofeum, doznawał kolejnego wstrząsu. Moja droga, jesteś winna Tomowi szczegółowe wyjaśnienia. Nic dziwnego, że odebrał niewłaściwe sygnały, skoro z uporem godnym lepszej sprawy nie chciałaś wysyłać właściwych. Teraz wyprostuj wszystko, co pokręciłaś. Bo jak nie, to będziesz miała do czynienia ze mną. Znam Toma, nie jest okrutnikiem. Na pewno robi sobie wyrzuty, że cię źle potraktował. Ale wiesz, jak reaguje koń, gdy kolec dostanie mu się pod siodło? Wierzga jak oszalały. To samo robił Tom. No, spójrzmy, jak wyglądasz.

Liz wstała i otrzepała sukienkę.

- Ujdzie, chociaż w tej chwili to bez znaczenia. Mogłabyś założyć worek i posypać głowę popiołem, a i tak byś wyglądała cudownie.

Gdy wrócili do salonu, Tom i Don, pochyleni ku sobie, rozmawiali z ożywieniem. Adelina, która natychmiast zauważyła Liz, powiedziała im o tym i obaj się odwrócili. Liz spojrzała na Toma. Tom spojrzał na Liz. Ale coś się zmieniło. On się zmienił. Miejsce wrogości zajęło pragnienie wyciągnięcia ręki do zgody. Ledwo przytomna z ulgi i radosnego oczekiwania, Liz zobaczyła, jak Don klepie Toma po plecach i coś mu mówi z szerokim uśmiechem. Adelina zachęcająco kiwała głową.

- Zostawiam ci tę piękną damę - powiedziała Shelley, gdy Tom do nich podszedł. Ale traktuj ją dobrze, bo jak nie, to pożałujesz.

- Jestem twoim dłużnikiem - odparł Tom, nie spuszczać wzroku z Liz.

Możesz być pewny, że zgłoszę się po zapłatę - zażartowała Shelley i uśmiechnęła się do brzydkiego, choć interesującego mężczyzny, który z nadzieją ruszył do niej z drugiego końca salonu.

Tom wziął Liz za obie ręce.

- Chyba mamy sobie wiele do powiedzenia. Ale nie tutaj. Pójdziesz ze mną?

- Dokąd tylko zechcesz - zgodziła się radośnie. Chodź, pożegnamy się z...

- On wie - zapewnił Tom, przenosząc spojrzenie na Dona, który wesoło rozmawiała z wielbicielami. Teraz ja też już wszystko wiem. Do tej pory brałem pozory za prawdę, bo byłem zazdrosny i niepewny siebie. A przed chwilą sądziłem, że straciłem cię na zawsze.

-- A jak myślisz, dlaczego na tarasie wypłakiwałam oczy?

- Naprawdę płakałaś? Obawiałem się, że przygotowujesz zemstę! Czy mogę podać chwilową niepoczytalność jako okoliczność łagodzącą?

- Rób co chcesz, byle byś był ze mną.

W windzie stali w milczeniu blisko siebie i głupawo się uśmiechali, patrząc sobie w oczy. Tom kciukiem głaskał wnętrze dłoni Liz, co ją podniecało i rozpraszało.

Na dworze mżyło. Czekali pod markizą, aż portier przyprowadzi samochód Toma. Liz nie interesowało, dokąd pojedą. Liczyło się tylko to, że jedzie razem z Tomem.

Zatrzymali się pod mostem na brzegu rzeki. Liz nie wiedziała dokładnie, gdzie są, ale co ją to mogło obchodzić. Wtuliła się w ramiona Toma jak gołąb.

Po pewnym czasie Tom odezwał się zachrypniętym głosem:

- Musimy wreszcie się wyrwać z tego błędnego koła, które sami stworzyliśmy. Nie chcę cię stracić, a przecież już prawie tak się stało. Co takiego powiedziałem albo zrobiłem tam, w szpitalu, że mnie odtrąciłaś?

- Nic - odparła Liz. - To ja popełniałam błędy. Brakowało mi odwagi, żeby się przyznać do swoich kompleksów.

- A więc zrób to teraz.

Gdy Liz opowiadała, jak z każdego wydarzenia wyciągała fałszywe wnioski, Tom tylko kiwał głową. Ale gdy dotarła do rozmowy przed gabinetem prezesa, Carey przeżył prawdziwy wstrząs.

- Myślałaś, że żenię się z Melanie! Czyja wyglądam na szaleńca? Na Boga, jak coś takiego mogło ci przyjść do głowy?

- To dlaczego była o ciebie tak zazdrosna?

- Moje kochane niewiniątko, Melanie szalała z zazdrości od momentu, kiedy cię zobaczyła w restauracji. A co ważniejsze, dzięki swojemu seksualnemu radarowi natychmiast wyczuła, że zaczyna się we mnie budzić uczucie do ciebie. I że w miarę upływu czasu staje się coraz silniejsze. Ale przestańmy zawracać sobie głowę Melanie. Zapomnijmy o niej raz na zawsze. Moim obowiązkiem było utrzymać ją w ryzach do końca zdjęć. Wiedziała, jak ważną rolę odgrywa w całej kampanii, więc na wiele sobie pozwalała. Poza tym to piękna kobieta, a ja jestem normalnym mężczyzną. Jednak Melanie zamierzała złowić znacznie grubszą rybę. Przyjmij to jako usprawiedliwienie i wybac mi, proszę. W końcu złapała kogoś takiego na haczyk. Przyszła do mnie, żeby pokazać pierścienek z kamieniem wielkim jak skała i rzucić mi w twarz swoje zwycięstwo. Teraz jest żoną rekina finansjery, mieszka w Dallas i spędza czas na wydawaniu pieniędzy w salonach Neimana-Marcusa.

- A ja się dziwiłam, że dziś wieczorem przyszedłeś z inną kobietą...

~i Bo to Shelley zaproszono na przyjęcie. Jest piosenkarką. Akurat występuje w hotelu, w którym się zatrzymaliście. O tak, znałem waszą trasę. Wiem o tobie wszystko. Zbierałem wiadomości. Każda informacja była czymś w rodzaju ogniwa, które mnie z tobą łączyło, mimo że łańcuch się zerwał. Gdy się dowiedziałem o dzisiejszym bankiecie, zrozumiałem, że muszę cię jeszcze raz zobaczyć.

- Całe szczęście, że przyszedłeś. Przez moją głupotę straciliśmy zbyt wiele czasu. Aleja ci to wynagrodzę. Obiecuję.

r Trzymam cię za słowo...

- Liczę na to.

- Don również dużo mi dziś wyjaśnił – powiedział po chwili Tom. - Teraz mam pełny obraz wydarzeń. DiMarco bez przerwy nami manipulował, ale przyznaję, że też wyciągałem niewłaściwe wnioski.

- Oboje popełnialiśmy błędy, aleja większe, bo w relacjach z mężczyznami miałam mniej doświadczenia niż przeciętna piętnastolatka. Tak bardzo chciałam ci powiedzieć, co do ciebie czuję, ale po prostu nie wiedziałam jak.

- I właśnie dlatego wydałaś mi się taka intrygująca. Od samego początku czułem, że drzemie w tobie prawdziwa kobieta. A gdy wreszcie odrzuciłaś swoje workowate przebranie, najchętniej zabiłbym mężczyznę, który cię do tego zachęcił, bo sam pragnąłem nim być. Znowu pocałował Liz.

Odwzajemniła pocałunek.

- Nie mogłam ci powiedzieć, ile dla mnie znaczysz, bo bałam się odrzucenia. Potem już nigdy bym w siebie nie uwierzyła wyznała.

Och! Byłem prawie pewny, że nie jestem ci obojętny. Gdy cię całowałem podczas pożegnalnego przyjęcia, czułem, jak budzi się w tobie prawdziwa namiętność. Ale w szpitalu byłaś taka zimna, jadowita. I nawet biorąc pod uwagę szok po dramatycznych wydarzeniach wieczoru, nie mogłem zrozumieć, dlaczego nagle mnie odtrąciłaś.

- Nie przypominaj mi tego! - Liz ukryła twarz w dłoniach. Wtedy znów wyciągnęłam fałszywe wnioski.

- Ale więcej już tego nie zrobisz, prawda?

- Obiecuję - szepnęła Liz.

- I nie zmieniaj się, dobrze? Zawsze będę kochał tę niepewną siebie dziewczynkę, która udaje odważną dorosłą kobietę. - Ujął jej twarz w rękę. - Jesteś wszystkim, czego pragnę i potrzebuję. Chcę spędzić z tobą resztę życia. Zasypiać trzymając cię w ramionach, budzić się przy twoim boku. Chcę jeść z tobą śniadania, wracać do ciebie wieczorem, sprzeczać się i godzić. O mój Boże, jak ja tego pragnę... Jesteś światłem mojego życia. Gdy rok temu mnie opuściłaś, zapadła ciemność. Ogrzewasz mnie i rozjaśniasz świat. Nie odbieraj mi tego, dobrze?

- Chętnie dam ci jeszcze więcej - powiedziała drżącym głosem.

Znów zaczęli się całować, ich namiętność narastała.

Będę cię czcił szepnął Tom. Czyż nie tak należy traktować boginię?

- Więc zrób to...

- Nie tutaj. Pojedziemy do domu i będziemy się kochać, i kochać, i kochać... - Spojrzał jej w oczy. - Mieszkam niedaleko.

Liz posłała mu uśmiech będący obietnicą spełnienia wszystkich pragnień ukochanego.

- Bałam się, że nigdy tego nie powiesz.